

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ Nr 3/546 1993



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

JÓZEF CZAPSKI

W. BOLECKI: **PRZYCZYNY POLSKIEGO
KRYZYSU**

G. STRUMIŁŁO-MIŁOSZ: **LITWINI W POLSCE**

A. POSPIESZALSKI: **NOWY KATECHIZM, I CO
DALEJ?**

SPIS RZECZY

	JÓZEF CZAPSKI	3
	<i>Postanie żałobne prezydenta RP Lecha</i> <i>Wałęsy</i>	3
Wojciech Karpiński:	<i>Plomień</i>	4
Włodzimierz Bolecki:	<i>Dwadzieści jeden starych i nowych przy-</i> <i>czyn polskiego kryzysu</i>	14
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	28
	WIERSZE	
Tadeusz Chabrowski:	<i>Do księdza Jana poety</i>	45
Wacław Iwaniuk:	<i>Wiersz dla Pawła Mayewskiego</i>	46
Leszek Szaruga:	<i>W zwolnionym tempie; — Et in Arcadia</i> <i>ego</i>	46
	WYWIADY „KULTURY”	
Mieczysław Górski:	<i>Bogaci i biedni (Rozmowa z prof.</i> <i>Jerzym Zubrzyckim)</i>	48
Roman Lewandowski:	<i>Rozpad Jugosławii (Rozmowa z Krzyszto-</i> <i>fem Talczewskim)</i>	60
	KRAJ	
Krzysztof Wolicki:	<i>Przed egzaminem dojrzałości</i>	69
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	78
	SPRAWY I TROSKI	
Grażyna Strumiłło-Miłosz:	<i>Litwini w Polsce (Rozmowa z prezesem</i> <i>Litwinów w Polsce, Eugeniuszem Pie-</i> <i>truskiewiczem)</i>	93
—	<i>Sprawa Demidowa</i>	104
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Antoni Pospieszalski:	<i>Nowy katechizm — i co dalej?</i>	106
	SĄSIEDZI	
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina i sąsiedzi: łatanie dziur</i>	113
Dominik Morawski:	<i>Polsko-ukraińskie zgrzyty</i>	118
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	120
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	126
Bogusław Bakula:	<i>Z prasy ukraińskiej</i>	130
—	<i>Sezon bałtycki w Paryżu</i>	133
	KRONIKA KULTURALNA	
Włodzimierz Odojewski:	<i>Jerzy Stajuda — wszechstronna bujność</i>	135
Joanna Szczepińska-Tramer:	<i>Sztuka Celnikiera</i>	138
—	<i>Wyróżnienia POLCUL-u</i>	140
—	<i>Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom</i> <i>Polskim</i>	141

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec/Mars 1993

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Lucy A. Bayer-Zwirello, Longmeadow, MA (USA) — dol. can. 40,00	F. 172,00
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Il. (USA) — po raz 25-ty — dol. 50,00	F. 275,00
Wiesław K. Brodowski, Spartanburg, SC (USA) — zamiast kwiatów na grób Brata, 15-letniego wówczas Grzegorza, zabitego w grudniu 1970 r. — dol. 100,00	F. 550,00
Dla uczczenia pamięci moich drogich Rodziców Katarzyny i Konstantego Sieluk — córka Halina Jaskot, Burlington, ON (Kanada) — dol. can. 150,00	F. 651,40
Stefan J. Ginilewicz, Backersfield, CA (USA), po raz 15-ty — dol. 21,00	F. 116,00
Dr Jan J. Golnick, Papillon, NB (USA) — po raz 9-ty — dol. 50,00	F. 275,00
Roman Grygorcewicz, Scarsdale, NY (USA) — dol. 10,00	F. 55,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa — po raz 17-ty — dol. can. 100,00	F. 423,00
Stanisław Natęcz-Korzeniowski, River Forest, IL (USA) — po raz 34-ty — dol. 18,00	F. 99,00
Stefania Kossowska, Londyn	F. 2.000,00
Aleksander Kostrzanowski, Mermaid Waters, Qld. (Australia) — po raz 2-gi	F. 200,00
Dr Kazimierz Laski, Wiedeń — po raz 21-y	F. 560,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria) — po raz 14-ty	F. 400,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) — po raz 6-ty	F. 100,00
Józef Masiewicz, Toronto, ON (Kanada), po raz 14-ty	F. 255,00
A. Maszkowski, Tilburg (Holandia) — po raz 4-ty	F. 500,00
Renata i Witold Mikułowscy, Moroni (Wyspy Komory) — po raz 14-ty	F. 720,00
Maciej Morawski, Paryż — zamiast kwiatów na grób Józia Czapskiego	F. 500,00
Stefan Nędziński, Genewa, — po raz 22-gi — Frs. 100,00	F. 385,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA) — po raz 11-ty — dol. 21,00	F. 115,00
Zdzisław Pręgowski, Winterthur (Szwajcaria) — doceniając ważną rolę <i>Kultury</i> — która spełnia swe ważne zadanie — przekazał na fundusz „Kultury”: — z okazji swych 80-tych urodzin w dniu 17.11.92 r. — Frs. 250,00 — za nadanie mu tytułu zaszczytnego doktora <i>honoris causa</i> — Frs. 250,00 — razem Frs. 500,00	F. 1.860,80
Teresa Romer, Saint Eustache, PQ (Kanada), po raz 19-ty — dol. can. 11,00	F. 46,00
Stefan Henryk Rosé, Paryż — po raz 14-ty	F. 1.000,00
Jadwiga Rossa, Paryż — po raz 2-gi	F. 600,00

JÓZEF CZAPSKI

ZMARŁ 12-GO STYCZNIA BR. MSZĘ ŻAŁOBNĄ I EGZEKWIE ODPRAWILI OO. PALLOTYNI Z KSIĘDZEM REKTOREM ZENONEM MODZELEWSKIM W KOŚCIELE ST. VINCENT W MESNIL-LE-ROI. PO MSZY AMBASADOR RP W PARYŻU, JERZY ŁUKASZEWSKI, ODCZYTAŁ POSŁANIE PREZYDENTA RP, LECHA WAŁĘSY:

„Każda śmierć jest bolesna. Tym bardziej, kiedy odchodzi człowiek wielkiego formatu. Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Nikt jednak nie wypełni miejsca, które zostawił Józef Czapski. Kultura polska straciła wybitnego malarza, pisarza, humanistę, który swoim piórem i obecnością współtworzył paryską *Kulturę*. Nasza ojczyzna straciła człowieka związanego z jej losami na dobre i złe.

Wielką dziejową sprawiedliwością stało się, że było mu dane doczekać dnia, kiedy dokumenty rosyjskie dotyczące zbrodni katyńskiej poznał świat. Józef Czapski był sprawą katyńskiej symbolem i bojownikiem. Niestrudzonym demaskatorem fałszu. Toczył bój o prawdę nie z nienawiści czy chęci zemsty, ale z umiłowania sprawiedliwości.

Józef Czapski był Kawalerem Orderu *Virtuti Militari*. Ale nosił także krzyż męki swoich kolegów z Kozielska. Pokazywał go, by był przypomnieniem i ostrzeżeniem.

Utraciliśmy człowieka w najpełniejszym i najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. Pamięć o nim będzie żyła między nami”.

JÓZEF CZAPSKI ZOSTAŁ POCHOWANY NA CMÉNTARZU W MESNIL-LE-ROI, OBOK SWOJEJ SIOSTRY MARII. JEGO „DZIENNIKI”, PROWADZONE PRZEZ KILKADZIESIĄT LAT, POZOSTAŁE PO NIM PAPIERY, DOKUMENTY, KSIĄŻKI I KORESPONDENCJA ZOSTANĄ PRZEKAZANE DO MUZEUM IM. CZAPSKICH W KRAKOWIE.

KULTURA USTANAWIA DOROCZNĄ NAGRODĘ PLASTYCZNĄ IM. JÓZEFA CZAPSKIEGO.

ZOSTAŁA ZAMÓWIONA MASKA POŚMIERTNA JÓZEFA CZAPSKIEGO: JEDEN ODLEW DLA KULTURY, A DRUGI DLA BIBLIOTEKI POLSKIEJ W PARYŻU.

Płomień

Uderzał bezpośrednio — w życiu, pisaniu, malowaniu, mówieniu — a jednocześnie miał w sobie wiele postaci i każdą był w pełni. Malarz, pisarz, krytyk sztuki i literatury, działacz, publicysta, żołnierz, kwestarz, przyjaciel, był przede wszystkim żywym człowiekiem. Gruntownie dobrym, promiennym, reagującym natychmiast — na krzywdę, na dowcip, na momenty zachwycenia i momenty przerażenia.

Rzucał się w rozmowę, w dyskusję, żył chwilą, a jednocześnie tkwił w strumieniu czasu. Pamięć była ważnym motorem jego działania, jego sposobem rozpoznawania się w świecie. Wplątany w korzenie życia doczesnego, tkwił też mocno, myślami, uczuciem, w życiu duchowym. Był mu ten inny wymiar potrzebny, wierzył w jego istnienie. Ktokolwiek się z Józefem Czapskim zetknął, z jego osobą czy z jego dziełem, nie wątpił o obecności w nim tej potrzeby, tego wymiaru. Był żywym dowodem istnienia „innego świata”. A jednocześnie o konfesyjnym i instytucjonalnym kształcie swojej religijności mówił mało, on, który rozmowy, rozmowy istotne, tak cenił.

Także w życiu wewnętrznym był raczej rysownikiem niż filozofem. Kreślił szkice interesujących go światów, nie budował ideologii, systemów. Nie przez dedukcję odkrywał ludzi i siebie, nie dawał się szantażować spekulacjom, to stanowiło jego siłę; był jednak żywą, krytyczną, analityczną myślą zafascynowany, to też stanowiło jego siłę. Chciał chwycić mgnienia rzeczywistości, był malarzem, a jednocześnie walczył o otwarcie malarstwu i malarzom, także rozumianym jako sposób postrzegania świata, szerszych horyzontów. „We Francji nie istniał nigdy przesąd, popularny w Polsce, że malarz ma prawo być głupi”, napisał kiedyś z wyzywającą ironią. On nie był głupi, pracował nad tym, żeby nie być głupim. Uderzał mądrością konkretną i ludzką, która nie podlega okrutnej i celnej Gombrowiczowskiej formule: im mądrzej, tym głupiej, bo jego mądrość nie była mądrością spekulacji i instytucji, kapłanów i filozofów. To była jego mądrość, Józefa Czapskiego, przez niego zdobywana i rozwijana.

Posługując się nakrochmalonym językiem słów uczonych, obcych mu, można by powiedzieć, że był zwolennikiem idiografii, ustalania, opisu i wyjaśniania jednostkowych faktów, nie zaś nomologii, wykrywania naukowych praw rządzących sferą ducha i ciała. Chciał odnaleźć prawdę przeżycia, utrwalić sens doznanego szoku. Szukał wyjaśnienia faktów. Wtedy, gdy starał się oddać sobie właściwymi środkami wrażenie, jakie zrobiła na nim gra światła i czerwonych plam widoczna przez chwilę na dojrzonej w kawiarni czyjejs twarży. Wtedy także, gdy szukał kilku zaginionych towarzyszy broni, i wtedy, gdy szukał kilkunastu tysięcy towarzyszy niewoli. I wtedy, gdy z ledwo napotkanym rozpoczynał rozmowę i chciał się dowiedzieć, co tamten uważa i czuje. I wtedy, gdy otwierał szary kajet i notował tok myśli szkicując siebie.

Posługując się słownictwem trochę mu bliższym, lecz ciągle jeszcze odległym od jego bezpośredniości, powiedzieć by można: był poszukiwaczem epifanii, łowcą chwil, gdy rzeczywistość odsłania się oku, sercu, ciału, rozumowi — dostatecznie skupionemu, aby te znaki odkryć. Nie wierzył jednak w objawianie się w pustce. Nasze dochodzenie do rzeczywistości dzieje się tu, na tej ziemi, w chwili dzisiejszej, dzięki pracy przeszłej, z otwarciem ku jutru. Nie wydaje mi się więc krewnym Joyce'a (choć kto wie, jego powinowactwa z wyboru były tak szerokie — znajduje się wśród nich Beckett, jeszcze bardziej radykalny w oczyszczeniu). Potrafił być jednocześnie zafascynowany Tolstojem (w późniejszych latach bar-

dziej Tołstojem artystą niż moralistą, choć moralistą także) i Dostojewskim, Alioszą i Iwanem, tym, który wierzył i poszukiwał świętości, i tym, który spalał się w buncie, i Kirilowem, i Szatowem, na Piotra Wierchowienieńskiego patrzył z przerażeniem, tylko Stawrogin był mu nieskończenie odległy.

Czy fascynował go też Gogol? Jeżeli tak, to wyszedł raczej spod *Plaszcz* niż z *Nosa* (skąd — wedle złośliwych krytyków — wychynął Nabokov). Władimir Nabokov był mu obcy, on przyjaźnił się z tej rodziny z Siergiejem i Nikołajem, ale i w tej dziedzinie nie był dogmatyczny i kilka wierszy Władimira, kilka jego opisów, a zwłaszcza jego miłość do kultury rosyjskiej, do Puszkina, do słowa i poezji, były Czapskiemu bliskie, choć odmiennych sobie wybierali przyjaciół, z którymi zamierzali prowadzić rozmowy pod drzewami na Elizejskich Polach (niebieskich, nie paryskich). Już je prowadzą, prowadzili je obaj jeszcze tutaj, były dla obu ważne, stanowiły ich sposób istnienia w czasie, w kulturze. Myślę jednak, że ze sobą nawzajem mało rozmawiają.

Różnorodność duchowych powinowactw Czapskiego oddaje jego bogactwo, czy też raczej je współtworzy. Te parantele były dla niego ważne, życiodajne. Buntował się, chciał samodzielnie budować swój świat wewnętrzny, ale nie zamierzał zaczynać od zera. Nie uważał, że stwarza nową literaturę, nowe malarstwo. To także stanowiło jego siłę. Towarzyszył radykalizmowi krytycznej świadomości współczesnej tylko do pewnego punktu. Malarstwo nie było dla niego skończone, ani powieść, ani poezja. Dawna sztuka nie była dla niego martwa. Interesował się skrajnie sceptycznym spojrzeniem Pawła Valéry, nihilizmem Ciorana, przeżył kiedyś Nietzschego, kryzys ekspresji przedstawiony w *Liście Lorda Chandosa* Hofmannsthal'a odbierał jako przesłanie osobiste, list do siebie i o sobie, ale nie totalna krytyka i milczenie były jego punktem dojścia. Współczesne trucizny połykał bez szkody. Dlaczego? Bo łączyły go namiętne związki z przeszłością, z życiem.

Był postacią historyczną, co tylko utrudnia rozpoznanie sytuacji, bo był jednocześnie kimś innym. Kim był? Józefem Czapskim, Józkiem nie tylko dla rodziny i przyjaciół, tych już były setki, ale dla tych, na których padł promień jego obecności.

Kim będzie (jest)? Władzą spojrzenia. Umiejętnością nazywania ludzi, rzeczy, problemów. Odkrywania ich kształtu, ich wzajemnych związków. Miał ten dar: słowami i farbami kreślić portret osoby, krajobrazu, rzeczy martwych i bez ruchu

— i rzeczy w ruchu, żywych, grup ludzi trwających w czasie i w przestrzeni.

Dzieła Czapskiego, jego obrazy, jego rysunki, jego eseje, książki pozwalają mi patrzeć — na nie, na niego, na mnie i na innych. Budzą we mnie nie tylko zachwyt, że oto widzę nowy i trafny obraz czy rysunek, czytam żywą opowieść o ludziach, rzeczach i problemach, lecz także uczą patrzeć i mówić, także tych, którzy sami nie zamierzają malować ani pisać. Ożywiają przed nami świat, ożywiają nas, ożywiają Czapskiego. To nie jest frazes. Wiem o tym. Nie maluję i nie rysuję, ale płótna Czapskiego nie tylko nauczyły mnie rozpoznawać je wśród dzieł innych twórców, lecz także rozpoznawać potencjalne obrazy Czapskiego na stacjach metra, w pejzażu, w teatrze, w kawiarni. Jego książki dosłownie uczyły mnie mówić i myśleć o malarstwie. Kreślone przez niego słowami portrety ludzi i stanów duchowych uczyły mnie, choć nie nauczyły, szkicowania sylwetki ludzi czy zjawisk.

Czym jest, gdzie jest, widok zająca sprzed lat, gest ręki, która go wtedy wskazywała, pytał (przed laty) Miłosz w jednym z wierszy. Gdzie jest ból, gdzie jest radość, olśnienie, gdy zjawiają się, zarazem chwilowe i trwające w czasie? Ale — posuwając się dalej — czym jest, gdzie jest dar wywoływania tych stanów? Artyści są indywidualiami, indywidualistami, lecz uczą nas (istoty nie pozwalające się schwytać regułom i potrzebujące reguły) patrzeć i mówić. Zapala się czyjeś spojrzenie, gdy patrzy na obraz, gorszy lub lepszy, namalowany wczoraj bądź przed wiekami. Budzi się czyjś głos, pragnienie, żeby przemówić gdy słyszy czyjś głos żywy (co to znaczy, że głos jest żywy?).

Wiem, odsyłam pytanie na wyższe piętro, poszukuję praw i wyjaśnień, choć tak się od tego odżegnuję, gdy zastanawiam się nad Józefem Czapskim, nad jego istnieniem, uderzająco intensywnym. Jeden ze szczególnie bliskich mu wierszy — potrzebował poezji, choć jej nie tworzył; przez nią poznawał świat, świat poetów i swój świat — mówiący o tym, że nasze życie splata się z innymi żywotami, zamykają słowa jakby dla niego napisane: „A mój udział jest czymś więcej niż tego życia wąty płomień albo wąska lira”. Ale to lira, niekiedy wąska, niekiedy ciężka — czy paleta, czy pióro — pomagają nam zrozumieć, że nasz udział jest czymś więcej; to płomień, czasem wąty, czasem wybuchający wieloma językami, lecz zawsze przecież mający swój kres, to wewnętrzny płomień stanowi o tym większym udziale. Ten płomień

oświetla, powoduje, że widzimy, potrafimy rozróżnić i nazywać rzeczy, że rzucamy cień, że żyjemy. Niektórym dana bywa władza, aby ten płomień utrwalić — słowami, barwami, następstwem dźwięków. Potrafią przekazać chwilę, gdy widzą jasno w zachwyceniu.

Wąska lira, ciężka lira, widzieć jasno w zachwyceniu — cytaty, nawiązania, kontynuacje, domena francuska, domena niemiecka, domena rosyjska, gwoździe diamentowe cytatów, za to się chwytam, żeby jakoś określić, czym jest dla mnie jego odejście, jego obecność. Na czym polegała swoistość i siła tego płomienia, który zgasł?

Spotkałem go jesienią 1965 roku. Paryż, nie istniejąca już winiarnia La Reine Pédaque (Pod Królową Gęsią Nóżką), ulica La Pepinière przy dworcu Saint-Lazare i przy biurze Kongresu Wolności Kultury. Poszedłem tam z Zygmuntem Hertzem. Usiedliśmy niedaleko wejścia. Po pewnym czasie Zygmunt spojrział w głąb sali i powiedział. „O, jest Józio”. Zobaczyłem siedzącego przy dalszym stoliku mężczyznę o siwych włosach, w grubych okularach, pochylonego nad kajetem, w którym zapamiętało coś mazał nikogo nie dostrzegając. Zygmunt podszedł do niego i poprosił do naszego stolika. Czapski zrazu był zaskoczony i jakby rozdrażniony, że oderwano go od interesującego zajęcia, ale po chwili w jego oczach zapaliła się iskierka ciekawości. Przyszedł niewiarygodnie wysoki, o dość niezgrabnych, raptownych ruchach. Wydał mi się wówczas zarazem bardzo stary (zbliżał się do siedemdziesiątki) i bardzo żwawy. Usiadł. Natychmiast zaczął rozmawiać z nieznanym sobie studentem. Najpierw mówiliśmy o książkach, potem trochę o malarstwie. Następnego dnia pod drzwiami *chambre de bonne*, w którym mieszkałem dzięki uczynności znajomych znajomych, zastałem od niego list. Poczta jakoś odcyfrowała adres. Najpierw wydawało mi się, że tekst jest w ogóle nieczytelny. Wymagał tylko innego spojrzenia: powoli zgadywałem poszczególne słowa. Był to dalszy ciąg naszej rozmowy. Potem było wiele listów. Z Polski w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pisałem na adres jego francuskich przyjaciół, a on czasami dla konspiracji pisał po francusku, choć jego pismo, jedyne, rozpoznawalne było, gdyby ktoś się tym interesował, w oka mgnieniu.

Ale przecież to nie wtedy go poznałem. Wiedziałem kim jest, gdy podchodził do stolika. Znałem go, jego gusta malar-

skie i literackie, jego styl, nawet jego głos, wysoki, zwracający uwagę w kawiarni czy na salach muzealnych. Słuchałem go w audycjach Wolnej Europy, ale przede wszystkim czytałem jego teksty.

Znałem jego szkice i artykuły w *Kulturze*, znałem *Oko*. Także *Na nieludzkiej ziemi*, *Wspomnienia starobielskie*, *Lettre ouverte à Jacques Maritain et François Mauriac* pisany w 1944 roku w momencie upadku Powstania Warszawskiego, czytałem je w Bibliotece Narodowej w Warszawie na Rakowieckiej jeszcze jako uczeń liceum. To właśnie te tytuły — *Na nieludzkiej ziemi*, *Wspomnienia starobielskie* — wywołały zaniepokojenie bibliotekarzy, powiedziano mi, że tego rodzaju książek się nie wypożycza. Poznałem więc Czapskiego jako pisarza, ale na szczęście interesowałem się także malarstwem i poznałem go jako pisarza o sztuce. Piszę na szczęście, bo Czapski był wówczas dostrzegany w pierwszym rządzie jako barwna i sympatyczna postać historyczna, świadek ważnych wydarzeń, w dalszej kolejności — jako zapalczywy, może trochę egzaltowany publicysta, w końcu wreszcie jako dziwny malarz. Pamiętam wypowiedzi o nim ludzi starszych: malarze twierdzili, że powinien więcej pisać, literaci, że malować. Wszyscy zgadzali się, że to czarujący człowiek. Ta postawa wobec Czapskiego do dzisiaj zaślania i dzieło, i człowieka.

Poznałem go więc najpierw jako pisarza. Kłopot z Czapskim polega właśnie na peszącej współobecności wielu osobowości w jednej, wielu talentów, wielu technik i rodzajów artystycznych. Posługiwał się nimi w jednym celu: aby uchwycić otaczającą go rzeczywistość, aby utrwalić i rozwinąć swój świat wewnętrzny. Może więc zamiast sztucznie szatkować go na malarza, pisarza, publicystę, lepiej mówić o nim jako autorze — znakomitych — migawek rzeczywistości, rysunków świata i siebie, portretów układających się w dynamiczny autoportret. Taki był w pisaniu, taki był w malowaniu i taki był w rozmowie.

Taki jest jego dziennik, może jego autoportret najpełniejszy. Nikt dobrze nie wie, co te nagryzmołone dziesiątki tysięcy trudnych do odcyfrowania stron zawierają. Znam teksty drukowane, wspaniałe. Wielokrotnie oglądałem rękopisy. Oglądałem, bo wczytywanie się zajęłoby miesiące, lata: nerwowy zapis, czasem przechodzący z jednego języka w drugi, kontynuacja rozmowy z kimś czy lektura, zanotowany numer telefonu, szkic raptowny, doskonały (a czasem chyby) czyjejs twarzą nagle ujranej, ta sama twarz w nowym ujęciu, szkic do

przyszłego obrazu, albo wyrwany fragment przeniesiony do następnego kajetu, który zostanie wykorzystany (albo nie) do projektowanego płótna. A obok list od kogoś i szkic odpowiedzi. Ciągły dialog.

Uwielbiał rozmowy. Lubił dyskusje, ale nie systematyczne, lecz płynną konfrontację poglądów zawsze ilustrowanych przeżyciami, szkicami z rzeczywistości, które miały potwierdzić lub podważyć daną tezę. Miał olbrzymią tolerancję wobec stanowisk odmiennych, lubił sprzeciw. Nie znosił tylko zmyślania, grymasów niezgodnych z wewnętrzną prawdą. Takimi ludźmi przestawał się interesować. Takich pisarzy czy malarzy usuwał ze swojego świata.

Rozmawiać lubił w wąskim gronie, najchętniej w cztery oczy. Obecność trzeciego stanowiska i punktu odniesienia chyba mu przeszkadzała. Zapamiętałem go u francuskiego historyka, Philippe Ariès — siedział w kunsztownym mieszczkańskim fotelu, tak nie pasującym do jego sylwetki Don Kichota, krzyżował swoje niemożliwie długie nogi, kręcił się, czuł się niewygodnie, choć pana domu cenił i lubił i był przez niego lubiany. Ale chyba we dwójkę, w pokoju Józia czy w anonimowej kawiarni, rozmowa potoczyłaby się zwa- wiej.

Prawdziwe spotkania z nim łączą się z jego pracownią, oglądaniem nowych obrazów, pokazywaniem dziennika i fotografii płócien z ostatnich wystaw. Najchętniej pól siedział z butami na łóżku. Ręce trzymał założone za głowę i patrzył na rozmówcę albo przed siebie, jakby z pamięci wywoływał obrazy, którymi chce się podzielić. Jego opowieści podobne były do jego tekstów. Przerzucał się z tematu na temat, kreślił szybkie, czasem złośliwe portrety ludzi, niekiedy naśladował ich głos, mówił o problemach i lekturach, o sobie. I, jak w pisaniu, ważną rolę grały odpowiednio dobrane cytaty. W jakimś momencie nie wytrzymał i chciał jak najszybciej przeczytać fragment wiersza czy prozy ilustrujący jego wywód. Wówczas jedną ręką opierał się o łóżko, a drugą sięgał na półkę nad głowę, gdzie powinna stać potrzebna książka, mocno popodkreślana flamastrem, z jego „gwoździem diamentowym”. Książki i albumy zlatywały na tapczan i na głowę. Przerzucał je nerwowymi ruchami. Po pewnym czasie znajdował tam lub gdzie indziej potrzebny cytat i rozmawiał dalej — najczęściej już o czymś innym, bo spadające książki wywoływały nowe obrazy, nowe skojarzenia.

Podobnie czytał. Był czytelnikiem wspaniałym, impulsywnym. Świadczą o tym jego szkice i fragmenty dzienników,

świadczą też książki, które przeszły przez jego ręce, te z półki nad głowę i nie tylko. Czytał z piórem w ręku, podkreślał, stawiał wykrzykniki i znaki zapytania, smarował na marginesie komentarz, na końcu książki wypisywał ważniejsze strony i tematy, czasem jeszcze na okładce notował najbardziej znaczące odniesienia.

Z książkami też rozmawiał. Bywały to dyskusje ostre. Nie tylko aprobował, ale także zaznaczał swój sprzeciw, nawet u pisarzy sobie tak bliskich jak Brzozowski czy Simone Weil. Niekiedy bywał brutalniejszy. O pewnym skrajnym (chyba wyjątkowym) wypadku wiem od niego. Było to pod koniec lat sześćdziesiątych. Czytywałem wtedy z przejęciem Georges'a Bataille'a. Opowiadałem Czapskiemu o tych próbach ateologicznej mistyki, o przetworzeniu Nietzschego, o podjęciu problemu transgresji. Któregoś dnia postanowił poznać Bataille'a. Kupił w Paryżu *Madame Edwarda*, czytał ją w pociągu do Maisons-Laffitte i z taką niechęcią zareagował na mieszaninę mistycyzmu i erotyki (plus bodajże na rysunki Bellmera, zachwycał się nimi Kot Jeleński, Czapski ich nie znosił), że gdy pociąg za Sartrouville przecinał Sekwanę, wyrzucił książkę za okno. Zaimponowała mi ta reakcja, uważałem jednak, o czym mu nie wspominałem, że lepiej było mi książkę ofiarować; nie miałem jej, a była droga.

Potrafił być ostry w sądach o książkach czy obrazach, ale zawsze gotów był do zmiany zdania. Podobnie wobec ludzi — starał się ich dostrzegać z wielu stron. Nie był skłonny do potępień. Ta wielowarstwowość spojrzenia wywoływała sympatię — ktoś, kto chciał rozumieć, budził chęć do rozmowy, do spotkania. Połączenie ostrości spojrzenia i tolerancji nie we wszystkich jednak wzbudzało entuzjazm. W *Dzienniku* Lechonia można odnaleźć żywe ślady irytacji postawą Czapskiego.

Trudne złączenie wierności sobie i umiejętności uczenia się stało u źródeł uderzającej duchowej młodości Czapskiego do lat ostatnich. Wobec siebie był również stale pełen wątpliwości. I nadziei. Stale chciał się uczyć, uczyć na własnych potknięciach. Mówią o tym zapiski w jego dzienniku. Mówią o tym jego obrazy. To przecież w płótnach późnych, po przekroczeniu osiemdziesiątki, osiągnął — w niektórych martwych naturach i przede wszystkim w ostatnich krajobrazach — niezrównaną siłę wyrazu.

Po pierwszych spotkaniach do jego tekstów wracałem wielokrotnie i słyszałem w nich ten sam wysoki *timbre* głosu,

to samo podkreślanie pewnych słów, kursywą w druku, gestem i tonacją w rozmowie, to samo widzenie, błyskawiczne i celne, to samo używanie czasu teraźniejszego, gdy opowiadał o Delacroix czy o Corocie, o Degasie czy o Danielu Halévy, czy też o sobie sprzed lat kilku bądź kilkudziesięciu — dla niego wszystkie ważne problemy były współczesne.

Jego proza, często na granicy gramatycznej poprawności, brzmiała oryginalnie i naturalnie. Potem przekonałem się, że ta naturalność była wynikiem długiej pracy. Słowa o przyspieszonym rytmie, niektóre używane w swoistym sensie, cytaty inkrustujące opowieść, zawsze rozjaśniające, zawsze odkrywcze, nawet gdy się powtarzały, bo podporządkowywał je za każdym razem nowej tonacji. Dążył do kondensacji efektu. Z ciemności pojawia się kilka szczegółów, opisanych jego, Czapskiego stylem, znakomicie dobranych, nawzajem się wyjaśniających. Tak powstały w *Oku* wprowadzenia do poszczególnych części: *Tło paryskie i polskie*, *Tło rosyjskie*, *Tło paryskie*. Te teksty, jak i niektóre sylwetki malarzy i pisarzy, jak i szkice snów, książek, problemów, obrazów w *Wyrwanych stronach* należą do najważniejszych dzieł polskiej prozy dwudziestego wieku, polskiej prozy w ogóle.

Jest w nich siła ewokacji, umiejętność łączenia ze sobą wielu rzeczy, wielu dziedzin (za Hofmannsthałem uważał, że ta umiejętność stanowi pierwszą zasadę twórczości), jest niezrównana energia słów. Dlatego Czapski zajmuje, moim zdaniem, miejsce wyróżnione w „szkole ontologicznej” polskiej prozy — nie chodzi mi o poglądy religijne czy filozoficzne, lecz właśnie o to, ile się w swych tekstach potrafi zawrzeć rzeczywistości, w jakim stopniu jest się władnym zatrzymać w słowach obrazu życia duchowego, przymusić słowa, aby znały, stały się zrozumiałe i nośne dla innych.

Dwa cytaty, dwa drogie mu „diamentowe gwoździe”, najcelniej chyba określają tajemnicę tego twórczego płomienia, który rozjaśniał jego życie. Pierwszy to końcowa strofa wiersza *Manche freilich...* Hugona von Hofmannsthal. Czapski często do tego wiersza powracał, w szkicu o Pawle Hostowcu dał jego znakomity polski ekwiwalent: „Jedni umierają, pisze poeta, tam gdzie się poruszają ciężkie wiosła statków, inni mieszkają przy sterze, znają lot ptaków i krainy gwiazd. Jedni tkwią u korzeni zawilego, pełnego zamętu życia, inni mają swe przybytki przy sybillach — królowych. Ale na tych szczęśliwców lekkich pada cień, cień od tamtych, dławionych w zamęcie życia, i związani oni są ze

sobą, ci lekcy i ci ciężcy, jak powietrze z ziemią... Zmęczenia zapomnianych ludów nie może on sprzed powiek swoich usunąć, ani nie potrafi jego przerażona dusza z pamięci swej zetrzeć niemego zapadania się dalekich gwiazd. I losy wszystkich w jego los wrośnięte, wetkane, to więcej niż smukły płomień jego życia i jego wąska lira”. Ten wiersz, tę strofę — podaję ją w niedawno opublikowanym tłumaczeniu Pawła Hertza — uznać można za motto całego życia i dzieła Czapskiego, lecz myślę o tych słowach przede wszystkim, gdy zastanawiam się nad magią jego pisarstwa:

*Z moim losem wiele losów się splata,
Wszystkie snuje w nieladzie istnienie,
Mam w nim większą część niż tego życia
Smukły płomień albo wąską lirę.*

Drugi cytat to słowa Dürera. W monografii Pankiewicza Czapski wkłada je w usta swojego nauczyciela. W późniejszych rozważaniach o naturze pracy twórczej przytacza je jako słowa, do których miałby szczególne prawo Corot, malarz, który obudził w Czapskim przed laty, w Londynie, twórczą siłę. Ale przecież Czapski rozpoznał się w tych słowach. O nich myślę, gdy oglądam jego obrazy: „Czym jest piękno, nie wiem. Prawdziwa sztuka tkwi w naturze, kto ją może z niej wydobyć, ten ją posiada. Im bardziej dzieło twoje zgodne jest z życiem, tym jest lepsze. Nie wyobrażaj sobie, że mógłbyś stworzyć coś lepszego niż to, co Bóg stworzył. Z siebie samego nie może wykonać człowiek żadnego dobrego obrazu, ale jeżeli długo badał przedmiot i cały nim nasiąknął, to sztuka tak zasiana przyniesie owoc i wszystkie skarby tajemne serca będą wyrażone w dziele, w nowym stworzeniu”.

Wojciech KARPİŃSKI

Dwadzieścia jeden starych i nowych przyczyn polskiego kryzysu

Opublikowana w wakacyjnym numerze *Kultury* (nr 7-8) ankieta nt. „Jak wyjść z impasu” minęła w Polsce bez echa, mimo że dotyczyła najważniejszych spraw III Rzeczypospolitej i mimo że każda wypowiedź powinna była rozpętać burzę polemik, dyskusji, replik, etc. Szkoda.

Burzę rozpętała natomiast inna ankieta zamieszczona w tym samym numerze *Kultury* („Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni”), mimo że dotyczyła spraw, które trudno byłoby nazwać publicznymi interesami III Rzeczypospolitej, i które sprowadzają się jedynie do efektywnego uzasadnienia opinii „cenię — nie cenię”.

Rzecz zatem znamienita: w sprawach publicznych, które dotyczą wszystkich, a w tym najważniejszych osób w państwie, publikacjom *Kultury* odpowiada milczenie, natomiast w sprawach, które dotyczą marginesu życia publicznego i są co najwyżej środowiskową lub towarzyską sensacją, nie żałuje się czasu, papieru, słów i energii.

Rzecz nie w zachwianiu hierarchii spraw ważnych lub nieważnych dla interesu publicznego, bo komentarze, jakie sprowokowała ta druga ankieta *Kultury*, uważam za pozytywne i potrzebne. Rzecz w tym, że pomijanie milczeniem kontrowersyjnych sądów, dotyczących funkcjonowania państwa i samych polityków, stało się w Polsce chorobą chroniczną.

Co prawda, w ankiecie poświęconej pisarzom niemal każda opinia znajdowała swoje zaprzeczenie w innej wypo-

wiedzi, podczas gdy w ankiecie poświęconej politycznemu impasowi wypowiedzi były w zasadzie zgodne. Można by zatem sądzić, że w ocenach politycznych nt. polskiego kryzysu panuje powszechna zgoda, ubarwiona jedynie różnym rozłożeniem akcentów, natomiast ocenami literackimi rządzi nieprzewidywalny konflikt. W rzeczywistości jest odwrotnie.

Czytana dziś ankieta *Kultury* zaskakuje swoją wieloraką aktualnością. Nadal jest aktualne, a nawet jeszcze bardziej niż pół roku temu, tytułowe pytanie sformułowane przez Redakcję: „Jak wyjść z impasu?” Nie straciły nic na trafności wypowiedzi, które dotyczyły generalnych mechanizmów życia politycznego w III Rzeczypospolitej. I pouczające są też te odpowiedzi, z których pozostały jedynie polityczne emocje, np. teza, że źródłem wszelkiego zła był poprzedni rząd, a w poprzednim rządzie ZChN, i że źródłem błogosławionej nadziei może być jedynie PSL w osobie Waldemara Pawlaka. Tymczasem w nowym rządzie ZChN ma większe wpływy niż poprzednio (a apetyt mu jeszcze rośnie), Pawlak nie wzbudził niczyjej nadziei (poza PSL-em, byłymi komunistami i prezydentem), a kryzys jak istniał, tak istnieje.

Zmieniły się tylko jego ogniska zapalne. Moim zdaniem kryzys jest chroniczny, a nie sytuacyjny, strukturalny, a nie personalny.

Moja odpowiedź na pytanie sformułowane przez Redakcję *Kultury* będzie niekiedy podążać tropem już wskazanym przez innych Autorów, ale pozwalam sobie na zmianę perspektywy. Ważniejsze od wskazania dróg wyjścia z impasu — tych bowiem zawsze może być wiele — jest dla mnie nazwanie jego źródeł. Afazji nie usunie amputacja prawej nogi, a choroby wieńcowej — odcięcie lewej ręki.

I. BŁĘDY OKRESU PRZEJŚCIOWEGO

1. Grzech pierworodny elit politycznych, które przejęły w 1989 r. w Polsce władzę, był dokładnym zaprzeczeniem tego, który zdarzył się naszym prarodzicom. Nie chciano gorzkiej wiedzy z Drzewa Wiadomości. Nie myślano ani o tym, jak sprawować władzę, czyli jak budować ustrój RP po upadku komunizmu, ani jak jej nie sprawować.

A przecież dwa gorzkie owoce demokracji parlamentarnej znane są „od początku świata”: nie można skutecznie rządzić państwem bez poparcia większości oraz nie można wprowadzać trudnych reform unikając krytycznej dyskusji na

ich temat. Ilustracją pierwszego przypadku była klęska obozu Tadeusza Mazowieckiego w wyborach prezydenckich i... rządu Jana Olszewskiego w sejmie. Ilustracją drugiego — skutki tzw. planu Balcerowicza, którego nieustanne poprawianie zajęło już chyba więcej czasu niż jego realizacja.

Poza tym wydaje się, że żadne z ostrzeżeń dotyczących nadchodzącej ery postkomunizmu i zakresu niezbędnych zmian w nowej sytuacji (ekonomia, sprawy wewnętrzne i polityka międzynarodowa, głównie wschodnia), o jakich przez całą dekadę lat 80-tych pisano wielokrotnie w *Kulturze* (a także w innych pismach emigracyjnych, i podziemnych w kraju) nie zostało uwzględnione przez elitę „Solidarności”, gdy w 1989 r. dochodziła do władzy. Jeśli więc dziś narzeka się, że ani rząd, ani kancelaria prezydenta nawet nie słuchają ani nie czytają przedstawionych im ekspertyz, to warto pamiętać, że taka choroba szalała już wcześniej. Idealnym przykładem może być polityka rządu Mazowieckiego w stosunku do Litwy (od momentu uchwalenia przez Litwę deklaracji niepodległości), realizowana bez wyobraźni i tchórzliwie, wbrew wszystkim ośrodkom opinii publicznej i nawet samego parlamentu. Skutki znane.

2. Drugim wielkim błędem elit „Solidarności” w drugiej połowie lat 80-tych był brak „okrągłego stołu” całej opozycji przed przystąpieniem do rozmów z komunistami (co np. zrobili Węgrzy). Konflikty, które wówczas, w trakcie rozmów wewnątrz ówczesnej opozycji, można było zażegnać (załagodzić, przewidzieć, osłabić, wyjaśnić, zneutralizować, etc.), wybuchły wkrótce ze zwielokrotnioną siłą podczas kampanii prezydenckiej i wyborów parlamentarnych, a dziś są jedną z sił napędowych kolejnych kryzysów politycznych. Są już też nieodwracalne, choć w wielu przypadkach ich pierwotny charakter był jedynie personalny.

3. Katastrofalne skutki społeczne miała zmiana ordynacji wyborczej w trakcie wyborów 1989 r. (w związku z klęską tzw. listy krajowej przygotowanej przez i dla komunistów). Została odebrana jako sygnał instrumentalnego traktowania prawa przez ówczesną „drużynę Solidarności” i świadectwo nieliczenia się z wolą wyborców, czyli zły prognostyk na przyszłość. Sprawdził się, niestety.

4. Również katastrofą okazało się zonglowanie terminami wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Sprawy dla ustroju Rzeczypospolitej fundamentalne stały się przedmiotem politycznej licytacji między zwaśnionymi obozami opozycji.

Projekt wysunięty przez Porozumienie Centrum był następujący: urzędujący prezydent, gen. Jaruzelski, podaje się do dymisji, na jego miejsce parlament wybiera tymczasowego prezydenta w osobie Lecha Wałęsy, który czuwa nad przygotowaniem wyborów parlamentarnych. Nowy parlament staje się konstytuanta, przyjmuje nową konstytucję, nową ordynację wyborczą i rozpisuje powszechne wybory prezydenckie. Projekt ponownego „wyboru” prezydenta przez parlament, a nie w wyborach powszechnych, został wówczas ośmieszony (sam, przyznaję, nazwałem go „groteskowym”), choć dziś widać, że był rozsądny. Równocześnie ówczesny ROAD zgłosił kontrpropozycję: najpierw powszechne wybory prezydenckie, a dopiero potem parlamentarne. No i stało się.

5. O przyczynieniu się kilku posłów z „Solidarności” do wyboru gen. Jaruzelskiego na prezydenta RP (w lipcu 1989 r.) nie ma co pisać. Jeśli nie wysunięto własnego kandydata, to przynajmniej nie trzeba było popierać kandydata komunistów. Miał być „nasz” premier, a „ich” prezydent, a okazało się, że „ich” prezydent jest także naszym.

Skutki tego fatalnego zatarcia różnicy między winą a zasługą, karą a nagrodą, katem a ofiarą, przestępstwem a działalnością *pro publico bono* zatrwały i nadal zatrzymują atmosferę życia publicznego.

6. Politycznym i moralnym nieszczęściem był w konsekwencji brak wyraźnej cezury między systemem komunistycznym a ustrojem III RP. W roku 1990 była jeszcze szansa, by w sposób nierepresyjny i cywilizowany doprowadzić do naturalnej dekomunizacji struktur państwa. Jest wszak przyjętą procedurą w każdym państwie demokratycznym, że zwycięstwo w wyborach partii opozycyjnej oznacza gruntowne zmiany personalne w administracji państwowej. A przecież w Polsce miało miejsce coś więcej niż tylko wyborcze zwycięstwo opozycji.

Ale zrobiono wszystko, by zablokować ten naturalny proces wymiany komunistycznej administracji, a samą ideę dekomunizacji ośmieszyć i skompromitować (*nb.* nie bez winy potencjalnych dekomunizatorów). Równocześnie w przypadku własnych ludzi (jak powiada w *Kulturze* Smecz: „z notesu”) nie uruchomiono kryteriów kompetencji zawodowej (konkursów, konkurencji etc.). Z zewnątrz ten układ zaczął być widziany — cóż z tego, że często niesprawiedliwie — jako pomieszczenie nietykalności politycznej ludzi dawnego reżimu z arywizmem politycznym beneficjentów nowej władzy.

7. Filozofia polityczna tej praktyki została — jak wiadomo — nazwana zasadą „grubej kreski”. Zastosowana wobec twórców stanu wojennego i osób odpowiedzialnych za stan państwa (rząd Mazowieckiego nie sporządził „bilansu spadku” po komunistach) sankcjonowała „zbiorową nieodpowiedzialność”, czyli była inną wersją powszechnie potępianej zasady „zbiorowej odpowiedzialności”.

8. W państwach demokratycznych błędy polityków koryguje opinia publiczna. U progu III RP opinia publiczna została podzielona wedle zasady „popieramy swoich, zwalczamy obcych”, „kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam”. Przykładem może być brak rzeczowej dyskusji nad konsekwencjami tzw. planu Balcerowicza przedstawianego w swej pierwszej, dogmatycznej wersji jako koncepcja jedynie słuszna i bezalternatywna. A przecież późniejsze korekty tego „planu” były niczym innym niż spóźnionym o wiele miesięcy przyznaniem racji krytykom. Stracono mnóstwo czasu, a błędy trzeba będzie odrabiać latami.

9. Paraliżowi dyskusji towarzyszył zdumiewający brak refleksji nad mechanizmami rozgrywających się zmian ustrojowych. Sama formuła, że to „my pierwsi przechodzimy od komunizmu do demokracji”, że „nikt przed nami tego nie robił” wprawiała w taki zachwyt, że zwalniała od myślenia o sprawach — nazwijmy je tak — systemowych. Rzecz ciekawa, że były to dokładnie te same sprawy, którym przez cały okres PRL — gdy dotyczyły przeszłości — socjologowie i historycy poświęcali najwięcej uwagi.

Czyż systemowe wyznaczniki zmian ustrojów społecznych (np. przejście od niewolnictwa do feudalizmu, od feudalizmu do kapitalizmu, a od kapitalizmu do socjalizmu) nie były wałkowane na setkach seminariów, wykładów i konferencji, czyż nie poświęcono im dziesiątków dysertacji i publikacji? Pewien jestem, że jeszcze u schyłku lat 80-tych nie jeden instytut PAN „pracował” intensywnie nad warunkami i skutkami zmian ustrojów, formacji społecznych, czy systemów politycznych, etc. I nagle, gdy w Polsce ma miejsce przejście od komunizmu do demokracji parlamentarnej, okazuje się, że na wszystkie pytania odpowiedzią jest okrzyk: „komunizm skończył się 4 czerwca!”

A przecież było kilka pytań, które narzucały się same: kto i w jaki sposób będzie w Polsce po roku 1989 r. zabezpieczał strategiczne i finansowe interesy ZSSR, a potem — byłego ZSSR? Jaki był w PRL system współfinansowania

międzynarodowych operacji KPZS i co się z nim stało? Czym będzie Polska w nowej grze interesów między Wschodem i Zachodem (np. Rosją a Ameryką)? Jakie grupy interesów w Polsce zainteresowane są blokowaniem zmian ustrojowych w Polsce, etc.?

II. TRZY LATA PÓŹNIEJ

10. Za główne nieszczęście III RP uważam dewastację wypowiedzi publicznych. Nikt już w nic nie wierzy. Fakty, podawane przez publiczne środki przekazu jako prawdziwe, następnego dnia stają się fałszywe lub odwrotnie. Coś, co wczoraj przedstawiano jako przestępstwo, następnego dnia okazuje się „dziennikarską prowokacją”. Każda wypowiedź może być zarówno kłamstwem jak i prawdą, toteż nikt nie może być pewien faktycznego stanu rzeczy. Każdemu, kto cokolwiek twierdzi o postępowaniu innych osób (zwłaszcza polityków), można zarzucić manipulację, prowokację, oszczerstwo i nikt, ani osoba zniesławiona, ani zniesławiająca, nie przeprowadza dowodu prawdy.

Konsekwencją tego stanu rzeczy jest brutalne zniszczenie wiarygodności każdej informacji dziennikarskiej (gazety, radio, TV) i każdej wypowiedzi publicznej — w tym polityków zajmujących najwyższe pozycje w państwie (rząd, parlament, kancelaria prezydenta).

Skutkiem tego jest z jednej strony zatarcie granicy między prawdą a fałszem, zniesławieniem a informacją, przestępstwem a działaniem legalnym i utrwalenie się przekonania, że „wszyscy kłamią”, co znaczy także, że „nikt nie mówi prawdy” i „nikomu nie można wierzyć”. Ten kryzys zaufania może się okazać głębszy niż zapaść gospodarcza.

Z drugiej strony natomiast widoczny brak związku między wypowiedziami publicznymi a ich konsekwencjami w życiu publicznym. Tak więc w sferze najwrażliwszej, jaką jest komunikacja społeczna, bez której nie sposób wyobrazić sobie funkcjonowania cywilizowanego państwa, zdaje się już panować totalny relatywizm, a niekiedy najzwyczajniejszy cynizm.

Gdyby w książce Mirosława Dakowskiego o aferze FOZZ-u, w artykule J. Kurskiego o kancelarii prezydenta w *Gazecie Wyborczej*, czy w tzw. teczkach Macierewicza oraz w dziesiątkach artykułów o rozmaitych aferach, dotyczących ludzi na najwyższych stanowiskach w państwie (np. tzw. afery firm Coapriv czy Veltinex) prawdziwa była tylko jedna

setna informacji, to jej skutkiem powinno być polityczne trzęsienie ziemi. Znacznie bliższe oskarżenia, przecieki, skandale, fakty powodują w państwach demokratycznych dymisję ministrów i całych rządów. A w Polsce sformułowano już przecież zarzuty najcięższe — od spraw kryminalnych po zarzut zdrady narodowej. I nic.

Ale równocześnie jeśli jedna setna tych oskarżeń okazała się nieprawdziwa, to byłby to wystarczający powód, żeby oskarżycieli postawić przed sądem lub Trybunałem Stanu. Tymczasem oskarżyciele i oskarżeni zachowują się tak, jakby nic się nie stało. Rzecz niemożliwa w państwach demokratycznych.

11. Drugą katastrofą jest dewastacja prawa, a przynajmniej jego publicznego obrazu. W potocznej opinii prawo nic nie znaczy. I tak jak dawniej służy do karania „maluczkich”, a nie dotyczy „wielkich”. Ktoś powiedział, że nie-szczęście polega na tym, że ci, którzy stanowią prawo, nie czują się zobowiązani do jego przestrzegania. Znamienne były i są ataki na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich oraz zapis o przestrzeganiu tzw. wartości chrześcijańskich w TV (zob. niżej).

Dochodzi do tego powszechne przekonanie o ośmieszeniu tej najważniejszej instancji regulującej życie publiczne w państwie. Przykłady tego typu działań były wielokrotnie podawane: np. aresztowanie i uwolnienie prezesa NBP, afery alkoholowa, rublowa, FOZZ-u, afery w których wymieniane są nazwiska członków parlamentu.

12. Powody tego stanu rzeczy są zapewne konsekwencją obecnej sytuacji politycznej. Polityka wewnętrzna rządu przypomina niekiedy system centralnego, ręcznego sterowania życiem publicznym, zwłaszcza gospodarką, w której każda reglamentacja prawa (np. kontyngenty, koncesje) musi oznaczać powstanie grupy ludzi uprzywilejowanych, a w konsekwencji stworzenie sytuacji sprzyjającej korupcji.

Obawiam się, że jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest też specyficzne rozumienie przez partie polityczne „koalicyjności” rządu. A mianowicie, koalicję łączy nie program, lecz umowa: trzymamy się razem, bo inaczej stracimy władzę. Owo „trzymanie się razem” oznacza faktyczną parcelację władzy na folwarki podległe poszczególnym partiom, czyli inaczej mówiąc — rozszarpywanie państwa przez grupy interesów powiązane z ośrodkami politycznymi. Niebezpieczeństwo polega na tym, że konkurencja czy rywalizacja między

grupami interesów „na dole” ma wpływ na to, co się dzieje „na górze”.

13. Wśród prawników mówi się otwarcie o polityzacji aparatu ścigania. „Jeśli złapiesz aferę — streszczam typową opinię — i okaże się, że jest w niej ‘umoczony’ znany polityk, to zostajesz odsunięty od prowadzenia śledztwa”. Oznacza to po prostu, że powiązania aparatu sprawiedliwości i partii politycznych grożą wewnętrznymi blokadami w aparacie wymiaru sprawiedliwości. Być może właśnie z tego powodu wiele bulwersujących spraw długo nie jest ujawnianych.

14. Prawo polskie jest w tej chwili bardziej niespójne niż kiedykolwiek. Obowiązują w nim bowiem co najmniej trzy różne zespoły przepisów prawa, tzn. te, które należały do prawa przedwojennego (np. kodeks handlowy, prawo upadłościowe, wekslowe, tj. te które po 1945 nie były uchylone ani stosowane), następnie te, które zostały wprowadzone przez państwo komunistyczne oraz te, które wprowadzono ostatnio, po 1989 r.

15. Niewydolność aparatu sprawiedliwości ma też powody organizacyjne, których źródłem są już suwerenne decyzje „naszej” władzy. Wydaje się, że błędem było połączenie w jednej osobie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. W dzisiejszych warunkach jeden człowiek nie panuje nad wszystkimi problemami obu resortów, a brak efektywności oznaczać może postępujący paraliż.

16. Wewnętrznym problemem antagonizującym prawników stała się niedawna prywatyzacja notariatów połączona z niebotyczną zwyczają opłat notarialnych. Nie chodzi o to, że skarb państwa przekazał część swoich dochodów małej grupie zawodowej, bo wszak notariaty płacą podatki, a prywatyzacja ich była koniecznością, chodzi natomiast o astronomiczną dysproporcję zarobków między np. notariuszami a sędziami. Ci pierwsi — jak twierdzą moi rozmówcy — mogą zarobić od 70 do 200 mln zł miesięcznie (czyli ok. 4.500 \$ do ok. 12.000 \$), ci drudzy w granicach 4-7 mln. zł (ok. 260-450 \$). Ten kontrast płac musi oczywiście działać demoralizująco na wszystkie grupy zawodowe zatrudnione w aparacie sprawiedliwości. Sędzia, adwokat czy prokurator, który w dzień i w nocy marzy jedynie o przejściu do notariatu (może sobie marzyć, bo to korporacja hermetyczna) prędzej czy później zostanie frustratem.

Najpoważniejszym problemem jest więc zapewne paupe-

ryzacja sędziów, powodująca masowe ucieczki prawników na lepiej płatne stanowiska (np. radców prawnych). Powstaje luka między sędziami najstarszymi, często gubiącymi się w sprawach gospodarki wolnorynkowej, a sędziami najmłodszymi, którzy co prawda lepiej „czują” prawne mechanizmy wolnego rynku, ale są niedoświadczeni w zakresie orzecznictwa. Luka powstaje więc pośrodku, w tej grupie wiekowej sędziów, na której faktycznie spoczywa ciężar funkcjonowania aparatu sprawiedliwości. Mówiąc brutalnie, wymierzaniu sprawiedliwości zagraża walka sędziów o byt...

17. Ale jest też inne zjawisko: ci sami ludzie, którzy tworzą prawo lub są za jego wykonanie odpowiedzialni, równocześnie doradzają jak je obejść. Prasa podała niedawno przykład, że inspektorzy jednej z wojewódzkich izb skarbowych przeszli do pracy w dużej firmie (skokowa różnica wynagrodzenia), gdzie doradzają, jak uniknąć płacenia podatków.

Jednym z częściej stosowanych dziś sposobów wyjścia z sytuacji, gdy skarb państwa domaga się od firm płacenia zaległych podatków (niekiedy miliardowych) jest ogłoszenie upadłości firmy. Potem rejestruje się nową i gra toczy się dalej. Dzisiejsze prawo nie przewiduje odpowiedzialności za doprowadzenie do nieuzasadnionej upadłości firmy, czyli do świadomego krzywdzenia wierzycieli, a w tym skarbu państwa (co przewidywały przepisy kodeksu karnego z 1933 (art. 273-277).

Na całym świecie tzw. zamówienia rządowe są źródłem największych dochodów dla wszystkich firm. „Biznesem” dla urzędnika państwowego jest już samo posiadanie informacji. Jej zatajanie lub ujawnienie może dla kogoś oznaczać fortunę. Kilkakrotnie prasa opisywała sytuacje, w których — jak można przypuszczać — dochodziło do „sprzedawania informacji”. Mówi się np., że spośród ok. trzystu firm consultin-gowych w Polsce zamówienia rządowe jednego z ministrów otrzymuje stale kilkanaście tych samych firm. Wszystko odbywa się zgodnie z prawem, ale...

Dramatycznym i bardzo delikatnym problemem jest korupcja administracji państwowej i aparatu sprawiedliwości. Słyszałem od moich rozmówców wielokrotnie, że najsilniej skorumpowana jest rejestracja spraw handlowo-rejestrowych. Biznesmeni mówią nawet (szeptem) o istnieniu stałych stawek wyznaczonych na załatwienie poszczególnych spraw.

Środki masowego przekazu przedstawiają instytucję sądu

jako instytucję represyjną, przed którą stanięcie jest niemal jednoznaczne z otrzymaniem wyroku skazującego. W Polsce prawie nikt nie uważa sądu za miejsce bezstronnego ustalania i dochodzenia prawdy, mediacji, obrony dóbr osobistych, oddalenia nieuzasadnionych oskarżeń.

Ciekawym przypadkiem jest Trybunał Stanu. Postawienie przed nim polityka przedstawiane jest niemal jak publiczne napiętnowanie równoznaczne z wyrokiem skazującym. Dlaczego? Przecież Trybunał Stanu to nie byle jaki sąd, dla nie byle jakich obywateli. To miejsce wyjątkowe, w którym członkowie najwyższych władz w państwie mogą bronić swoich racji i odeprzeć zarzuty, które nie potwierdzone ani nie zaprzeczone ciążą nad całą administracją państwa. Trybunał Stanu wymyślono przecież nie dla oceny działalności pana Malinowskiego z Pcimia czy pani Kociubińskiej z Ryk, lecz dla obrony interesów państwa w osobach jego najważniejszych urzędników. Nieposzlakowane imię członków rządu, parlamentu i kancelarii prezydenta jest też sprawą wagi państwowej (*vide* sprawa tzw. lustracji urzędników państwowych). Trybunał Stanu miał przypominać, że elita władzy to jedynie najwyżsi w państwie urzędnicy, którzy tak jak wszyscy urzędnicy ponoszą odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Ale to fikcja.

18. Dramatyczne w skutkach może się okazać wciąganie autorytetu Kościoła do bieżącej walki politycznej między partiami, które — gdy idzie o ich interesy polityczne — chętnie zapominają o Drugim Przykazaniu: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno”.

Instrumentalne traktowanie Kościoła przynosi partiom politycznym absolutne poczucie pewności i krótkotrwałe korzyści. Kościołowi — jedynie uszczerbek na jego powadze i dostojęństwu, natomiast państwu — zupełnie niepotrzebne konflikty, które łatwiej wzniecić niż uspokoić. Za źródło tych konfliktów będzie bowiem uważana nieprzewycięzalna sprzeczność między instytucją Kościoła a demokracją, co dla dobra i Kościoła, i demokracji w Polsce będzie miało fatalne skutki. Tymczasem w państwach o ustabilizowanych systemach demokratycznych sprzeczność ta w życiu publicznym nie istnieje.

Źródłem konfliktu w państwie demokratycznym nie może być bowiem ani religia, ani etyka, ani nauka społeczna Kościoła, ani jego misja ewangelizacyjna. Źródło tego konfliktu ma charakter ludzki, a nie transcendentny. Konflikt,

jaki zarysował się w Polsce, tkwi natomiast w dzisiejszej sytuacji historycznej, gdy aktywiści jednej partii politycznej (ZChN) uznali się za zbrojne ramię i karzący miecz Kościoła.

Nie wiem, czy Episkopat identyfikuje się z tą działalnością, choć przypuszczam, że jest ona odbierana niejednoznacznie. Ale wiem, że brak zdecydowanego oporu Episkopatu przeciw politycznej instrumentalizacji Kościoła przez partie polityczne ściągnie w krótkim czasie na Kościół w Polsce największe nieszczęście w postaci prymitywnego, szyderczego antyklerykalizmu.

Pierwszy akt mamy już za sobą. Sejm przyjął najbardziej absurdalny z możliwych zapis o respektowaniu przez stacje RiTV wartości chrześcijańskich. Zapis ten kompromituje przede wszystkim ustawodawców, co jednak nie dziwi, ponieważ skompromitowali się już o kilka razy za dużo. Ale ci, którzy wprowadzili do ustawy o RiTV zapis o respektowaniu wartości chrześcijańskich, równocześnie oddali Kościołowi niedźwiedzią przysługę. O ustawodawcach wszyscy wkrótce zapomną, natomiast konsekwencje ich nonsensownych pomysłów spadną na Kościół. Teraz dwa argumenty.

a. Zapis ten jest prawnym nonsensem, albowiem jest sprzeczny ze wszystkimi aktami wyższego rzędu niż sejmowa ustawa o RiTV. Do respektowania czyli do poszanowania wartości religijnych radio i telewizja zobowiązane są nie na mocy ustawy, lecz na mocy dopiero co przyjętej (!) Małej Konstytucji. Co więcej, na mocy tej samej Konstytucji do poszanowania wartości religijnych zobowiązani są prawem wszyscy obywatele i wszystkie instytucje RP. Skoro zapis ten został wprowadzony tylko do ustawy o RiTV, to czy nieposzanowanie wartości religijnych (tu: chrześcijańskich) jest dozwolone w innych instytucjach i innych niż radio i telewizja dziedzinach życia społecznego?

Ponadto zapis ten jest też sprzeczny z tymi artykułami Małej Konstytucji, które zapewniają wszystkim obywatelom RP „wolność słowa” i „równe prawa bez względu na wyznanie”. Nie mam wątpliwości, że we wszystkich tych sprawach będzie w Trybunale Konstytucyjnym interweniował Rzecznik Praw Obywatelskich, co wciągnie Kościół w sytuację, w której każde rozwiązanie będzie dla niego coraz gorsze. Jeśli bowiem Trybunał Konstytucyjny uzna zapis ustawy za niezgodny z Konstytucją, to ucierpi na tym autorytet Kościoła, jeśli natomiast uzna go za zgodny, to w krótkim czasie ucierpi na tym powaga Kościoła.

Stosowanie ustawy oznaczać bowiem będzie, że:

Albo zapis ten będzie martwy od dnia poczęcia, tzn. stanie się taką samą atrapą prawną jak słynna w latach siedemdziesiątych komunistyczna uchwała sejmowa o „jakości” („towary produkowane w PRL mają mieć wysoką jakość”).

Albo ustawa będzie wykonywana „po cichu”, z absolutną dowolnością, w ramach tzw. prewencyjnej cenzury redakcyjnej.

Albo też do realizacji tej ustawy zostanie powołany jakiś organ, który bez względu na nazwę będzie instytucją cenzury kościelnej w publicznych środkach masowego przekazu.

Każde rozwiązanie będzie dla powagi i autorytetu Kościoła w Polsce katastrofą.

b. Zapis ten przede wszystkim doprowadzi do ośmieszenia pojęcia „wartości chrześcijańskich”, które — choć nieprecyzyjne i ułomne — miało do tej pory czytelne dla wszystkich znaczenie symboliczne i metafizyczne. Było wartością m.in. dlatego, nie stało za nim prawo karne.

Teraz natomiast zawsze będzie możliwa sytuacja, gdy znajdzie się w Polsce grupa osób, która poczuje się obrażona np. pokazywaniem filmów opartych na mitologii antycznej, a nawet na motywach Starego Testamentu (tak, tak...), nie mówiąc o tysiącu innych pretekstów. TV nie będzie mogła już sobie pozwolić na pokazanie np. „Casanovy” Felliniego, czy komedii, w których bohaterem jest komik Louis de Funès, a zakonnice jeżdżą na rowerze. Wykluczona okaże się inscenizacja „Monachomachii” biskupa Krasickiego oraz recytacja wierszy erotycznych innych księży Kościoła katolickiego. Gdyby zapis o respektowaniu wartości chrześcijańskich w TV miał być wykonywany rygorystycznie, to *de facto* z programów TV powinny też zniknąć wszelkie wypowiedzi i audycje niezgodne z dogmatami Kościoła rzymskokatolickiego (np. na temat Teorii Wielkiego Wybuchu, jednej z koncepcji początku wszechświata), tzn. takie które stoją w sprzeczności z Prawdami Objawionymi chrześcijaństwa.

Perspektywa jest tak groteskowa, że strach nawet podawać przykłady. Każda dyskusja tych kwestii będzie ośmieszać jej uczestników...

19. Powyższa sytuacja dobrze ilustruje kolejną przyczynę kolejnych impasów w Polsce: brak kompetencji ustawodawców. Powstają więc ustawy (lub akty niższej rangi), o których już w chwili ich uchwalenia wiadomo, że zawierają rażące luki prawne. Oznacza to, że trzeba będzie je zaraz mozo-

nie poprawiać, a potem przez lata usuwać negatywne skutki ich stosowania.

20. Nad większością decyzji ustrojowych ciąży brak publicznych debat dotyczących fundamentów ustroju III RP i strategicznych problemów Polski. Pyskówki w sejmie czy telewizyjne pogawędki dziennikarzy reprezentujących różne gazety to zbyt mało jak na wagę problemów, z którymi boryka się RP.

Faktycznie żadna sprawa wagi państwowej nie została w ciągu ostatnich lat przedyskutowana *sine ira et studio*, z perspektywy nadrzędnego interesu RP.

Przykładem może być problem tak fundamentalny jak wybór między prezydenckim a parlamentarnym systemem rządów. Zanim stworzy się fakty dokonane, najpierw chyba należałoby starannie wytłumaczyć społeczeństwu istotę i konsekwencje obu tych systemów, a następnie sprawę rozstrzygnąć w referendum, którego wynik musiałby być obowiązujący dla parlamentarnej komisji konstytucyjnej. W przeciwnym przypadku pisanie konstytucji będzie uzależnione od gry sił między poszczególnymi partiami, parlamentem, a kancelarią prezydenta. Nb. fakt, że dopiero teraz uchwalono Małą Konstytucję, a pełny tekst Konstytucji uchwali być może dopiero parlament następnej kadencji jest sam w sobie świadectwem impasu porażającego elity polityczne RP.

Zagrożeniem dla RP jest bowiem sprowadzenie polityki do politykierstwa. Dzieje się tak zawsze, gdy doraźna polityka nie ma żadnej przeciwwagi w bezstronnej refleksji politycznej ekspertów, intelektualistów, specjalistów od różnych wymiarów życia społecznego, czyli ludzi, których zawodowym obowiązkiem jest problematyzowanie i najostrożniejsze krytykowanie decyzji politycznych, a nie tworzenie fanclubów wokół „swoich ludzi w polityce”. Intelektualiści zanurzeni w bezpośredniej walce politycznej znów ryzykują utratę swego prestiżu, ponieważ klęska tej czy innej polityki będzie zawsze także ich klęską. Oczywiście, podniosą się z niej jak ze wszystkich poprzednich, ale słowa ich będą coraz mniej znaczyły (toteż będzie ich coraz więcej...).

21. Niebłahym źródłem kryzysu jest też zrastanie się prasy i grup interesów finansowych. Dotyczy to przede wszystkim prasy prowincjonalnej. Znajomi dziennikarze mówili o przypadkach „kupowania” dziennikarzy przez lokalnych i ponadlokalnych rekinów.

Towarzyszy temu „partyjność” wszystkich gazet i brak

niezależnej opinii publicznej jako rzeczywistej „czwartej władzy”. Upolitycznienie (upartyjnienie) życia publicznego stało się nie tylko jego cechą, lecz przede wszystkim realnym zagrożeniem. Tolerancja staje się coraz częściej tolerowaniem („w twarz ci nie napluję, ale ręki nie podam”), którego następnym krokiem będzie — jak to już powiedział pewien polityk — „izolowanie przeciwników”. Stąd już tylko krok do „politycznego rasizmu”.

Źle wróży Rzeczypospolitej, gdy „demokraci” (narodowi, chrześcijańscy, zjednoczeni, podzieleni, dawni, nowi i najnowsi oraz wszyscy pozostali) zapominają, że warunkiem nowoczesnej demokracji jest szacunek dla innego myślenia i działania, jeśli nie narusza ono prawa. Prawa powszechnie szanowanego i stosowanego z równą bezstronnością wobec wszystkich obywateli — od „szarego człowieka” po „wszystkich ludzi prezydenta”.

31 grudnia 1992/1 stycznia 1993

Włodzimierz BOLECKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefani Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

Dziennik pisany nocą

Rzym, 8 listopada 1992

Ilekczo przyjeżdżałem do Rzymu, ciągnęło mnie zawsze, jakby to był nienaruszalny rytuał, do dwóch miejsc. Do Placu Hiszpańskiego z *Trinità dei Monti* i „ulicą Gogola” (*Sistina*) w górze. Do *Piazza Navona*, *Campo dei Fiori* i *Piazza Farnese*, z siatką cudownych ulic starego Rzymu. Ale wyprawiałem się tam, mieszkając w innej dzielnicy miasta, a tym razem stanąłem na dwa dni w nowym mieszkaniu mojego amerykańskiego przyjaciela i tłumacza RONALDA STROMA, obok NAVONY z jednej strony, a Kwiatowego Pola z drugiej. Przyjemność nie do opisania. Stary Rzym zachował tutaj swoją patynę czasu, nawet ludzie (choć to pewnie złudzenie) poruszają się w wąskich uliczkach inaczej. Uliczki noszą nazwy dawnych cechów, codzienny targ na Kwiatowym Polu narzucił całej dzielnicy znamię breuglowskiej obfitości. Kotłuje się na straganach i w sklepikach, przelewa się w dużych sklepach. Zakapturzony Giordano Bruno (następny do „rehabilitacji” po Galileuszu) tonie wśród jarmarcznego dobra. Niekiedy znika, po prostu daje się bez oporu pochłoniąć, połykają go ogromne gardziele na Placu Wielkiego Obżarstwa. Ten kontrast jest niezatarty. Projektodawcy pomnika znakomicie zamknęli inskrypcję słowami „gdzie płonął stos”. A płonął wśród stosów mięsiwa, kielbas, serów, owoców, jarzyn i powideł, wśród wielkich płatów *trippy*, wśród piramid ustawionych zrecznie z butelek oliwy i wina. Tak toczy się świat: płomienie i jadło.

Kiedyś zakończyłem szkic o malarstwie Caravaggia obrazem malarza, który pijąc na Kwiatowym Polu wino, wpatruje

się w ogień trawiący heretyka. Dziś, podczas niedzielnej przechadzki, uprzytomniłem sobie źródło tego obrazu. Zaszedłem do Świętego Ludwika Francuzów, gdzie Caravaggio zajmuje całą niszę. Obraz, nieświadomie, wziąłem z *Powołania Świętego Mateusza*, grupy która wraz z wzywaniem właśnie Świętym obsiadła stół w tawernie na (jestem tego pewien) Kwiatowym Polu.

Neapol 11 listopada

Mój głęboko negatywny (naturalnie eufemizm) stosunek do Jaruzelskiego nie przeszkadza mi uznać, że udały mu się wyborne dwie rzeczy. Pierwszą była odpowiedź na pytanie dziennikarza włoskiego podczas oficjalnych wizyt w Rzymie i za Spizową Bramą (tę drugą papież nazwał „historyczną”) w roku 1987. Dziennikarz włoski poprosił generała o jakiś krótki i syntetyczny wizerunek Polski, „bo Włochom tak trudno wasz kraj zrozumieć”. Odpowiedź wzbudziła podziw i wesołość czytelników gazety: „Widzi pan, Polska to jest taki dziwny kraj, w którym ja kształciłem się w zakonnym gimnazjum OO. Marianów, a prymas Glemp dojrzewał w komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej”.

Brawo za drugi udany występ Jaruzelski musi dzielić po równi z papieżem. Mam na myśli jego niedawne spotkanie z papieżem w roli już nie urzędowej, lecz czysto prywatnej, z okazji prezentacji w Rzymie przekładu włoskiego pamiętników generała. Podobno (opowiadano mi w Rzymie) Jan Paweł II był oczarowany swoim gościem. Trudno to spotkanie nazwać „historycznym”, jakkolwiek generał natychmiast po powrocie do Warszawy wykrzyknął „historia przynosi mi rację” oraz pochwalił się „jednomyslnością” obu rozmówców. Ponieważ prywatne audiencje w Watykanie są honorem, wolno teraz o Jaruzelskim mówić jako o osobie uhonorowanej. Za co, za co? — powtarzał w Rzymie na spacerze mój wrocławski przyjaciel, naukowiec i działacz KIK. Rzeczywiście, za co? Za ogłoszenie stanu wojennego bez żadnej (według mnie) potrzeby, skoro argumenty o konieczności odwrócenia inwazji sowieckiej lub wojny domowej uważam za zwykłe oszustwo niegodne wysokiego oficera (co prawda „ludowego” i zaczynającego swoją karierę w dziale „wychowania politycznego”). Wątpię, czy „historia przynosi rację” Jaruzelskiemu (chyba że, na świeżą modłę litewską, Historia znów z dużej litery), ma on jednak teraz prawo powiedzieć, że w

zaczynu Biblioteki Papieskiej doszło do najwyższej, moralno-narodowej legitymizacji stanu wojennego.

Narody mają niewidzialne busole, które bardzo trudno określić i szczegółowo opisać. Polską busolę najpierw chwycił mocno w dłoń, a potem bezmyślnie uszkodził Wałęsa. Jak potoczą się jej dalsze dzieje w rękach papieża i generała?

17 listopada

Posłużyłem się w swoim czasie rosyjskim powiedzonkiem *wri no mieru znaj* w związku z twierdzeniem Jaruzelskiego (w Paryżu), że stan wojenny przyspieszył bieg wypadków historycznych: zamiast ośmiu lat czekalibyśmy osiemdziesiąt na okrągły stół i kto wie, kiedy pojawiłby się Gorbaczow ze swoją *pieriestrojką*. Widzę teraz z *Trybuny*, że Kiszczak bije na głowę Jaruzelskiego w lekceważeniu zasady *wri no mieru znaj*. Wywiad z nim zatytułowany jest *Gotowi do obrony*, w dziale *Trybuny* nazwanym filuternie *Odkurzenie historii*. Co poprzez gesty kurz każe nam widzieć i podziwiać Kiszczak, specjalista od „prawie całej prawdy”? To mianowicie, że w roku 1981 czwórka generałów (Jaruzelski, Siwicki, Janiszewski, Kiszczak) jednocześnie z przygotowywaniem stanu wojennego przygotowywała obronę kraju przed wkroczeniem do Polski oddziałów z bratnią pomocą. Brano w rachubę dwa warianty: „sowieccy przyjaciele wyprzedzą wprowadzenie przez nas stanu wojennego”; wkroczą „w pierwszych dniach obowiązywania dekretu (o stanie wojennym), pod pretekstem pomocy polskiemu towarzyszom walczącym w obronie socjalizmu”. Szczególnie ciekawy jest wariant drugi. Szaleje oto stan wojenny, internuje się opozycję z przyległościami, strzela się do górników w szybach, przecina się linie telefoniczne, ogłasza się godzinę policyjną, powierza się patrolom pilnowania zbuntowanych Polaków, a tu naraz — jakby nie dostrzegając tego, do czego przecież wzywali polskich towarzyszy — „sowieccy przyjaciele” pędzą z bratnią pomocą w obronie socjalizmu. Kierownictwo stanu wojennego dokonuje zwrotu o 180 stopni, Jaruzelski po raz drugi siada przed mikrofonami telewizji i wzywa dramatycznym głosem obywateli i obywatelki (albo na wzór Stalina po ataku niemieckim w roku 1941: braci i siostry) do obrony ojczyzny w niebezpieczeństwie. Błyskawicznie mija w narodzie gniewne oszołomienie wywołane stanem wojennym, Polacy proszą o broń, dostają ją i krzyczą co tchu w piersiach: „Wodzu, prowadź

nas do zwycięstwa, powtórz rok 1920”. Wariacie nasz, miły i bohaterski wariacie — mogliby zaśpiewać generałowie. A Kiszczakowi szepnąć po cichutku na ucho: *wri no mieru znaj*, kochany Czesiu.

Dlaczego przez tyle lat, w rozgwarze sporów o stan wojenny, nie padła na stół ta atutowa, wallenrodyczna karta? Dlaczego dopiero teraz wzbil się w powietrze kurz okrywający patriotyczną historię? Prawdopodobnie dlatego, że generałowie ubezpieczają się z góry przeciw dowodom problematyczności interwencji sowieckiej w roku 1981. W aureoli przygotowań do obrony równocześnie z „tragiczną koniecznością” ogłoszenia stanu wojennego, w takiej atmosferze łatwiej przełknąć kłopotliwą prawdę, że w roku 1981 wchodziło owszem w grę szantażowanie interwencją zbrojną, nie wchodziła natomiast w grę realna groźba interwencji.

19 listopada

Przed laty napisałem ostrą recenzję z tomu esejów Mary McCarthy; skłonił mnie do niej niepoczytalny esej o Orwellu (pociemniało mi w oczach podczas jego lektury), pełen ubolewania, że autor *Folwarku zwierzęcego* jest „za mało lewicowy”. Tytuł recenzji był dość złośliwy, *Wścieklizna lewicy*, ale poza złośliwością oddawał dobrze sposób myślenia obozu lewicowego na Zachodzie: im bardziej na lewo, tym radykalniejsze i skuteczniejsze panaceum na wszystkie bolączki i niedomagania naszej epoki. Orwell, rzecz jasna, nie pasował do takiej obłąkanej recepty.

Recenzja ukazała się w *Kulturze*, Mary McCarthy dowiedziała się o niej od polskich przyjaciół. Kot Jeleński, który uwielbiał Mary, kategorycznie odmówił przetłumaczenia tekstu polskiego na angielski (ustnie). Zrobił to ktoś inny, zdaje się że syn pisarki z pierwszego małżeństwa z Edmundem Wilsonem, student amerykańskiej polonistyki. Odtąd, ilekroć spotykałem autorkę dwóch świetnych książek, *Pamiętnik katolickiego dziewczęctwa* i *Grupa*, odpowiadała ozięble na moje powitanie.

Przypomniał mi się ten epizod, bo pisząc na prośbę warszawskiej PPS list na akademię stulecia, obudowałem go wokół określenia „wścieklizna prawicy”. Oto choroba, przykra a czasem i groźna, polskiej elity politycznej (jeżeli coś takiego istnieje). „Prawica nam wszystko załatwi”, jak w przedwojennej piosence „Miłość nam wszystko wybaczy”. A

tymczasem można wymienić jedną tylko partię, nowopowstałą „Konwencję polską” Halla, która ma szansę stworzyć naturalną, sensowną i konieczną formację pravicową w Polsce (plus KDL i UD w centrum). Reszta ma gęby wypchane frazesami i przypochlebstwami pod adresem (równocześnie!) Kościoła (głównie niższego kleru), zachodnich kapitalistów i osieroconych wyborców Tymińskiego.

Skoro jednak naturalna, sensowna i konieczna jest dziś w Polsce formacja pravicowa (byle tylko inteligentna, autonomiczna, „ani klerykalna ani antyklerykalna”, jak powiada Hall), to trudno sobie wyobrazić optymalnie funkcjonujący ustroj demokratyczny bez jej lewicowej przeciwwagi, formacji socjaldemokratycznej. Zdają sobie z tego sprawę ludzie rozumni: dostałem właśnie od redaktora krakowskiej *Arki*, „pisma (według własnej definicji) orientacji konserwatywnej”, zaproszenie do odpowiedzi na ankietowe pytanie: „Jakiej lewicy Polacy potrzebują? — po 45-ciu latach realnego komunizmu, po trzech latach prób budowania nowego systemu politycznego i gospodarczego, w obliczu wyzwania cywilizacyjnych końca wieku”.

Odpowiadam bez chwili wahania: „Polacy potrzebują uczciwej i czystej socjaldemokracji, która nie otarła się nigdy i nigdy się nie otrze o komunistów zarówno w dawnym, jak w obecnym (zamaskowanym inną nazwą) wcieleniu”. Pisz mi mój genewski przyjaciel, człowiek politycznie wyrobiony (z poglądów chadek): „Wracam właśnie z Polski. Dola kilku milionów (mówi się o 6-8 milionach!) ludzi starych jest nadal bardzo zła. Jeśli zaś w kraju postkomunistycznym mówi się o życiu tak wielkiej grupy ludzi poniżej socjalnego minimum, to w skali pojęć normalnych państwa oznacza to przecież nędzę. Przydałaby się zdrowa, wolnościowa i przywiązana do tego kraju partia socjaldemokratyczna, ale po przedwczesnej śmierci Jana Józefa Lipskiego przestałem w taką możliwość wierzyć”. Znacznie dalej w ponurym obrazie sytuacji ludzi dotkniętych zmianami systemowymi posuwa się artykuł Aleksandra Małachowskiego pod wymownym tytułem *Brazau-skas... jak to brzmi po polsku?* Kto tych ludzi weźmie w obronę, gdzie szukać będą swojej reprezentacji politycznej? Na prawicy, wśród zachłannych kapitalistycznych nowobogackich? Przeczytałem ostatnio rozmowę z ekonomistą profesorem Wilczyńskim, który nie wierzy w żadną tzw. „trzecią drogę”. Byłaby ona (wyjaśnia) „niczym innym jak naruszeniem reguł gry, odejściem od logiki systemu, który się sprawdził w czołowych krajach; trzecia droga oznacza wybór

systemu ułomnego, sprzecznego wewnętrznie, skazanego na nieskuteczność”. Warto by jednak, w imię ścisłości, dorzucić że w czołowych krajach nie ma co prawda „trzeciej drogi”, jest za to niestanna socjaldemokratyczna korektura „reguł gry” czy „logiki systemu” (często w formie koalicji), a nawet wisząca w powietrzu realna alternatywa socjaldemokratyczna (wyborcza) wobec rządów, które nie interesują się zanadto losem „upośledzonych i skrzywdzonych z własnej winy”. Taka jest fizjologia względnie przyzwoitej (przy wszystkich swoich organicznych kalectwach) demokracji. Lekceważenie jej prowadzi do ślepych wybuchów rewolucyjnych; albo do absolutnego, apatycznego wyłączenia się „dołów społecznych” z życia publicznego. Jeżeli powstanie w Polsce silna i autentyczna formacja socjaldemokratyczna, będzie nie tylko naturalną i potrzebną przeciwwagą prawicy, lecz postkomunistom stworzy dokładnie taki sam status, jaki od końca wojny mają w parlamencie włoskim postfaszyści (zwani częściej neofaszyistami): partii, która w imię zasad demokratycznych istnieje (pod zmienioną nazwą *Movimento Sociale Italiano*), posiada średnio od 30 do 40 posłów, przemawia gromkim głosem wiecznej opozycji, uczestniczy w komisjach parlamentarnych, ale politycznie jest pozycją martwą: nie bierze się jej pod uwagę przy negocjowaniu koalicji rządowych, jej głosy nie są wliczane do większości parlamentarnej, gdy dochodzi do głosowania nad votum zaufania dla nowego rządu.

23 listopada

Kiedy w ramach Biblioteki *Kultury* powstała seria *Archiwum Rewolucji*, udało mi się namówić Silonego, by napisał krótki tekst do użycia na odwrotnej stronie okładki każdego tomu. Otwiera go szereg pytań, stawiających znak zapytania nad możliwością dotarcia w przyszłości (po upadku reżymu komunistycznego) do materiałów i dowodów różnych zbrodni w archiwach sowieckich. Wśród wielu pytań jeden dotyczył Katynia: „Odnajdzie się kiedyś świstek papieru z rozkazem wymordowania w Katyniu więźniów Kozielska?”. Silone wyjaśnił dalej przyczynę swego sceptycyzmu. „Są to naiwne pytania — wyznał raz Togliatti swemu b. towarzyszowi — zważywszy że uchwały o pewnej wadze nie podlegają nigdy zaprotokołowaniu, odnośnych rozkazów nie wydaje się nigdy na piśmie”. Tym „eks-towarzyszem” był właśnie Silone, który na marginesie swego

tekstu dla *Kultury* opowiedział mi szczegółowo, w jakich okolicznościach padło z ust Togliattiego „uspokajające zapewnienie”. W roku 1930 Silone, na emigracji w Szwajcarii, postanowił zerwać z partią. Zaniepokojony (a nawet więcej) Togliatti przyjechał z Moskwy do Zurychu z zamiarem powstrzymania towarzysza od tego kroku. Pod koniec całonocnej rozmowy Silone wysunął nie najmniej ważny (w jego ówczesnym przekonaniu) argument: „Pewnego dnia otworzą się archiwa sowieckie, wyjdzie na jaw cała prawda o stalinowskich nikczemnościach; będziemy za nie współodpowiedzialni jako towarzysze włoscy, którzy zamiast protestować kwitowali je milczącym przyzwoleniem”. Wtedy właśnie Togliatti, z właściwym mu cynizmem zagranicznego aparaczkika w Moskwie, usiłował rozwiać obawy swego rozmówcy przytoczonym wyżej zapewnieniem.

Wierzył naprawdę w jego ścisłość, czy po prostu miał nadzieję, sam liczył na to, że towarzysze sowieccy nie pozostawią obciążających śladów w archiwach? Myślę, że to drugie. Gdyby żył, byłoby dla niego zaskoczeniem jak dużo przechowano na archiwalnych półkach „zaprotokołowanych uchwał o pewnej wadze” i „odnośnych rozkazów na piśmie”. Podobnie zawartość „raportu Chruszczowa” nie była dla niego wstrząsem. Do wściekłości, której zbytnio nie ukrywał, doprowadziła go decyzja Chruszczowa ujawnienia tego wszystkiego, co powinno być pasmem „koniecznych historycznie gwałtów” nigdy nie wyznanych na głos przez sprawców.

Obiecałem sobie (i czytelnikom), że przestanę się zajmować w dzienniku „sprawą Jaruzelskiego”, wierny od lat hipotezie (tylko hipotezie), że generał ogłosił w grudniu 1981 stan wojenny nie dla ratowania Polski przed sowieckodemoludową interwencją zbrojną, lecz dla ratowania władzy partii i swojej przed „Solidarnością”. Hipoteza staje się dziś półkategorycznym twierdzeniem. Naczelnym archiwista rosyjski Rudolf Pichoja powiada: „W dokumentach Biura Politycznego KC KPZS, które dokładnie przeglądałem, nie ma mowy o ewentualnej interwencji wojskowej ZSSR w Polsce w 1980 lub 1981 roku”. W archiwach odnaleziono dokumenty o interwencji wojskowej na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Afganistanie. „Nie znaleźliśmy natomiast (ciągnie Pichoją) niczego, co wskazywałoby na podobne plany wobec Polski. Nasi wojskowi zaangażowali się w grudniu 1979 w krwawą wojnę w Afganistanie i nikomu nie mogło przyjść do głowy wszczynanie takiej awantury w Polsce (nawiasem mówiąc,

teza generała Juliusza Hibnera w rozmowie z Andrzejem Albrechtem na łamach *Zeszytów Historycznych*). Wyrzuciliśmy wam wiele krzywd (konkluduje archiwista rosyjski), jednak nie wszystko można zwalić na sąsiada”.

W archiwach pozostaje jeszcze trochę zalakowanych kopert, dlatego nazwałem ostrożnie twierdzenie Pichoji „półkategorycznym”.

Interesuje mnie, czy Jaruzelski, podobnie jak jego partyjny towarzysz Togliatti, wierzył że w archiwach sowieckich nie przechowuje się „zaprotokołowanych uchwał o pewnej wadze” i „odnośnych rozkazów na piśmie”. W przeciwieństwie do wiary Togliattiego, taka wiara byłaby dla niego zgubna, jakkolwiek wzmocniona może nadzieją, że archiwa sowieckie pozostaną w ogóle na wieki zamknięte. Jeżeli na to liczył, to się po prostu przeliczył. Przeliczyli się obaj, Togliatti i Jaruzelski, każdy na inny sposób. W wypadku generała, poszukującego rozpaczliwie godziwej przyczyny ogłoszenia stanu wojennego, ta archiwalna pustka zadaje półśmiertelny cios (ciągle pół) legendzie „zbawcy zagrożonej śmiertelnie ojczyzny”. Co dla Jana Pawła II winno stać się przedmiotem głębokiej refleksji w chwilach wolnych od trosk uniwersalnych.

(Dopisane 30 listopada). Jerzy Giedroyc w rozmowie z wysłannikiem *Tygodnika Solidarność*, numer z 20 listopada: „Z udostępnionych nam ostatnio dokumentów sowieckich jasno wynika, że interwencja zbrojna wcale nie wchodziła w rachubę. Cała więc legenda, tak pracownie stworzona przez Jaruzelskiego — i w którą uwierzyła większość społeczeństwa — leży w gruzach”.

1 grudnia

W roku 1990, w rozmowie ze Zdzisławem Kudelskim zatytułowanej *Starzy mistrzowie* dla nieistniejącego już *Tygodnika Literackiego*, wspomniałem o moim „przywiązaniu do wielkich mistrzów prozy z zeszłego stulecia, lub jeszcze dawniejszych”. To przywiązanie należy często sprawdzać. Robię to, zwłaszcza że współcześni prozaicy nie wydierają mi za wiele czasu.

Czy *Ojciec Goriot*, właśnie przeczytany na nowo, jest arcydziełem, najlepiej skomponowanym członem *Komedii ludzkiej* (jak twierdził Henry James?) Dwa razy tak i dwa razy nie. Tak, bo podbija zawrotne tempo powieści, napisa-

nej jakby jednym tchem, bez narracyjnych „dziur”, z niewiarogodnym (pamiętając o szybkości twórczej Balzaca) poczuciem panowania nad biegiem wypadków. Tak również, bo widać tu przy robocie pisarza, którego Lukacs uważał za absolutnego mistrza „realizmu powieściowego”, jakkolwiek tę palmę pierwszeństwa obwieszał kiepskimi argumentami ze „skarbnicy marksizmu” i „dialektyki walki klasowej”. Balzac nie mógłby żyć w „społeczeństwie bezklasowym”, które Lukacs miał zawsze na oku w tle przyszłości, nie dlatego że był rojalistą przywiązany do klasy uprzywilejowanej, ale dlatego że samo istnienie i walka klas były dlań źródłem życia, składającego się z nieustannych konfliktów. Jego stosunek do tych spraw nie był społeczny, lecz filozoficzno-artystyczny. Dla Balzaca życie było ciągłą walką między ludźmi. Studiował ją jak prawa dżungli, zaczytując się w powieściach Fenimore Coopera. W innych czasach twórca *Komedii ludzkiej* byłby zapewne autorem romansów rycerskich i powieści awanturnych. Gdyż w gruncie rzeczy był Walter Scottem gasnącej świetności arystokracji francuskiej i heroiczno-pirackiego okresu burżuazji francuskiej.

Nie, z przyczyn niekiedy widocznych jak na dłoni, a nawet jaskrawych, niekiedy zaś rozpuszczonych w uczuciu ogólnego podziwu. Balzac (i tu miał rację Sainte-Beuve) był bardzo nierówny w rysunku postaci. Potrafił wykreować znakomitego Rastignaca, ale potrafił też haniebnie przerysować tytułowego bądź co bądź Goriota, chwilami niezdolnego wręcz w swoich manifestacjach uwielbienia, niemal bałwochwaltwa i żalu w stosunku do córek (wbrew pozorom, ten paryski Król Lear jest anemiczny, płaski i schematyczny do granic niegodnych doprawdy pióra Balzaca). Drugie nie, gdyż uderzyło mnie podczas świeżej lektury *Ojca Goriota*, że Balzac w przeciwieństwie do Stendhala był nieudolny i prawie bezradny w opisach miłości. Miał w palecie dwa tylko kolory: przesłodzoną, lepłą czułość albo pochmurną, nieociosaną zaborczość. I w jednym i w drugim brak miejsca dla słynnych stendhalowskich „odcieni”.

4 grudnia

W parę lat po wojnie pojechałem, zachęcony przez Ciołkosza i zaproszony przez Retingera, do Lozanny na kongres kulturalny Ruchu Europejskiego. Zorganizował to zbiegowisko międzynarodowe właśnie Retinger (Jusuf, jak go

nazywał stary znajomy i drugi polski zaproszony, Jerzy Stempowski; trzecim był profesor Folkierski). Wtedy uświadomiłem sobie na całe życie, w jakim sosie czują się najlepiej tzw. intelektualiści. Kochają wszelkie formy *Debating Society*, stowarzyszenia dyskusyjnego, w którym się mnóstwo gada i peroruje, trzymając się możliwie na dystans od faktów (zwłaszcza przykrych), smakując za to w umysłowej i możliwie erudycyjnej gimnastyce. Pamiętam, że z poduszczenia Stempowskiego, zbyt na takie tłumne imprezy kameralnego, zabrałem głos i poprosiłem, żeby zwrócono uwagę na kłopoty z kulturą we wschodniej („odpisanej”) Europie, z uszczerbkiem dla żywo dyskutowanej sprawy zaopatrzenia Afryki w materiały piśmienne. Zostałem surowo zgromiony przez przewodniczącego, liberalnego posła do Izby Gmin, a w przerwie polski sekretarz czy też goniec Retingera nie szczędził mi wymówek w duchu „należy takie wystąpienia z góry uzgadniać”. Odtąd unikam na ogół kongresów, sympozjów, kolokwium i tym podobnych turniejów dyskusyjnych.

We Włoszech ukazał się trójgłos z moderatorem, mały okrągły stół, *La democrazia in Europa*. Trzy głosy to historyk francuski Furet, socjolog niemiecko-brytyjski Dahrendorf i Geremek. Książki nie czytałem, ale z ogromną przyjemnością przeczytałem artykuł pióra Barbary Spinelli. Właśnie o kulcie debaty, dyskusji, wśród najważniejszych nawet intelektualistów. Autorka artykułu przytacza odpowiedź Geremka na pytanie moderatora, jak tłumaczy swoją komunistyczną przeszłość. Nie chce się wierzyć, a jednak brzmi to tak: „Stając się komunistą, chciałem uczestniczyć w debatach intelektualnych lewicy europejskiej. W tym okresie czytałem literaturę zachodnią, gazety i czasopisma europejskie w rodzaju *Lettres Françaises*. Śledząc wielkie debaty kultury zachodniej, czułem się na swoim miejscu”. A może zajęty bardzo Geremek ma sobowtóra, który zamiast niego jeździ na rozmaite duże i małe okrągłe stoły zachodnie, pamiętając tylko, że musi się zawsze „czuć na swoim miejscu”?

Przedmiotem Wielkiej Debaty jest dzisiaj Europa, zjednoczona Europa. Rządzą się zdarza, by odurzając siebie i innych swoją elokwencją, dyskutanci pamiętali oglądane w telewizji obrazy z Jugosławii, czy popisy skinów (nie tylko w Niemczech). A jeżeli nawet pamiętają, to jedynie jako temat do następnej debaty.

Zjednoczenie Europy wydaje mi się przedwcześnie, jego architekci muszą nad nim długo jeszcze popracować. Odpowiedziałem tak na ankiety wielkiego dziennika londyńskiego,

mimo że kilka wieczorów zajęła mi lektura pasjonującej książki Krzysztofa Pomiana *Europa i jej narody*.

6 grudnia

Codziennej telewizyjnej porcji obrazów z Bośni towarzyszy, w moim odbiorze, epizod wojenny we Włoszech z roku 1943. Towarzyszy tym natrętniej, że ostatnio wykryto po tylu latach w Niemczech sprawę masakry w San Giovanni e Paolo koło Caiazzo. Stary Niemiec, zakopany dla zatarcia śladów w jakiejś bawarskiej wiosce, był podczas wojny młodzieńskim porucznikiem, dowódcą plutonu wycofującego się z południowych Włoch na północ. Opisałem epizod w szkicu wspomnieniowym *Willa Tritone* (1951), do którego impuls dała mi lektura ogłoszonego wkrótce po wojnie fragmentu dziennika Crocego *Quando l'Italia era tagliata in due*. Opisałem, to za dużo. Przełożyłem po prostu na polski tekst Crocego na tablicy upamiętniającej zbrodnię.

W pobliżu Caiazzo

W miejscowości San Giovanni e Paolo

Kilka rodzin wiejskich

Które schroniły się w jednym domu

Zostało 13 października 1943

Rozstrzelanych

Na rozkaz młodego oficera pruskiego

Mężczyźni kobiety dzieci

Dwadzieścia trzy pokorne istoty

W tym tylko winne

Ze nieświadomie

Na pytanie gdzie znajduje się nieprzyjaciel

Wskazały mu oczywiście drogę

Na którą skierowali się Niemcy

Znienacka wyszło z ich ust

Słowo prawdy

Wskazując nie ludzkiego przeciwnika

W ludzkich wojnach

Lecz okrutnego terazniejszego wroga

Ludzkości

Dlaczego obrazy z Bośni kojarzą mi się z tym epizodem, a nie z setkami powielekroć okrutniejszych w Polsce?

Miesiąc temu, jeszcze przed wytropieniem sprawcy zbrodni w bawarskiej wiosce, znajomy opowiedział mi o swoim przymusowym kilkugodzinnym postoju w San Giovanni e Paolo koło Caiazzo. Mord przybladł nieco w pamięci starych mieszkańców, ale ranę rozdrapuje codziennie kobieta, której zastrzelono wtedy męża i troje dzieci. Żyje od roku 1943 w samotności, jej dzień składa się z przesiadywania w kościele i nad grobami bliskich. Nie odzywa się do nikogo, nie szuka pociechy. Oniemiała i oślepla. Oślepla naprawdę? Nie ma co do tego pewności, skoro codziennie, niezależnie od pogody, idzie pewnym krokiem do kościoła i na cmentarz; i nigdy, starzejąc się, nie używa laski. Ale zdaje się nie widzieć ludzkich twarzy, nie rozpoznawać mieszkańców San Giovanni e Paolo. Być może jest to ślepotą, jaką lekarze zauważyli u osieroconych kobiet w Kambodży, ślepotą z własnej woli, odmowa oglądania świata, która w wielu wypadkach, na krótko przed śmiercią, kończyła się nagłym przejrzeniem.

Kobiety u progu takiej ślepoty widuję w telewizyjnych obrazach z Bośni. Zwrot „odmowa oglądania świata” został w Kambodży ukuty przez lekarzy jako nazwa medyczna nowej choroby.

9 grudnia

Nie wiedziałem o istnieniu szkicu Szalamowa *Moja proza*, napisanego w roku 1971, ogłoszonego przez *Nowy Mir* w roku 1989. Często w przeszłości zastanawiałem się, czy zdawał sobie sprawę, że stworzył nowy, własny gatunek opowiadania, dzięki któremu *Opowiadania kołymskie* są największym dziełem literackim o Gułagu, gdy trzynomowy *Archipelag* Sołżenicyna zasługuje raczej na nazwę Wielkiej (zresztą doskonałej) Encyklopedii sowieckiego wszechświata koncentracyjnego.

Moja proza dowodzi, że zdawał sobie dobrze sprawę, choć nie potrafił jasno określić istoty swoich opowiadań. Pisał *Moją prozę* przekonany głęboko, że Oświęcim i Kołyma „sprowadziły literaturę do zera”. Adorno (nieznany mu zapewne) sądził podobnie. Co, zdaniem Szalamowa, ma szansę ocalić w literaturze unicestwionej przez krematoria kacetów i białe krematoria łagrów? „Zderzenie z życiem realnym, jedyny *leitmotiv*, jedyny problem naszego stulecia”. *Opowiadania kołymskie* uważał za „ostatnią cytadelę realizmu”. Nie przeszkadzało mu to twierdzić w innym miejscu

szkicu, ignorując sprzeczność albo ją lekceważąc: „Nie ma w nich ani krzty realizmu, romantyzmu, modernizmu; są to opowiadania poza sztuką, mimo że posiadają siłę zarazem artystyczną i dokumentalną”. Określenie „poza sztuką” nie trafia może w sedno rzeczy, lecz zbliża się do prawdy. Nie przyznawał się do żadnych wpływów literackich, był odkrywcą nowego gatunku: świadectwo podszyte silną emocją, lakoniczność nie pozwalająca użyć jednego zbędnego słowa (na to kładł nacisk także Babel), każde opowiadanie jako „sąd i policzek wymierzony Stalinowi”, oszczędność wyrazu posunięta do absolutnego ascetyzmu. Wszystko co zbędne, co w nadmiarze, musiało być w myślach usunięte przed dotknięciem papieru piórem. „Moje opowiadanie wymaga ciszy, milczenia, samotności. Każde zdanie było niegdyś wykrzywane w pustym pokoju; kiedy piszę, mówię do siebie. Krzyczę, grożę, płaczę. Płyną mi z oczu łzy, obcieram je po doprowadzeniu opowiadania do kropki”.

Interesujące wyznania pisarza, wciąż jednak dające słabe pojęcie o niewątpliwiej nowości *Opowiadań kołymijskich*. Może zadanie, zwłaszcza dla samego autora, jest w ogóle niemożliwe. Może wystarczyłoby w *Mojej prozie* poprzestać na jednym zdaniu: „Jestem kronikarzem mojej duszy, niczym więcej, a w mojej duszy jest Kołyma”. Co do mnie, potrafię określić opowiadania Szalamowa tylko metaforycznie. Pisał o „kamiennym świecie”, wyrąbywał odpryski tego kamienia twarde niby krzemień, w milczeniu gładził je i polerował latami, aż wreszcie wyrzucał je z siebie krzycząc i płacząc, ale my czytelnicy nie wiemy i nie powinniśmy wiedzieć, co się za nimi kryje, jak rosła — opowiadanie po opowiadaniu — kronika wolnej duszy w niewolniczym, nieludzkim, kamiennym świecie.

16 grudnia

Sergio Romano. Początkowo pierwszy sekretarz ambasady włoskiej w Paryżu, widywaliśmy się wtedy u niego na obiedzie w każdym moim „miesiącu lafickim”. Potem dyrektor departamentu w rzymskim MSZ. Wreszcie ambasador włoski w Moskwie, dość szybko odwołany przez Andreottiego za zbyt letni stosunek do Gorbaczowa. Dzisiaj pierwszy szorządy publicysta i wnikliwy historyk. Jestem z nim od dawna zaprzyjaźniony, kilka miesięcy temu prezentował mój dziennik po włosku w Mediolanie. Przedwczoraj przysłał mi

swoją nową książkę, nadzwyczajną, zdaje się nikt poza nim i Benjaminem Segelem nie podjął trudu dokładnego opisanie i zbadania historii *Protokołów Mędrców Syjonu*; historii, czyli ich powstania (Romano w tytule *I falsi Protocolli* od razu rozstrzyga kwestię autentyczności) i zawrotnej kariery „międzynarodowego spisku żydowskiego” od epoki Mikołaja II w Rosji do naszych czasów w większości krajów europejskich, w Ameryce, na Bliskich Wschodzie, nawet w Południowej Afryce (książka Segela ukazała się w roku 1926, powitana pochwałą Tomasza Manna za „zburzenie tego mitu raz na zawsze”).

Idea *Protokołów* narodziła się w otoczeniu paryskiego przedstawiciela Ochrony, generała Raczkowskiego (a może z jego inicjatywy). Wykonanie wziął w swoje ręce mnich prawosławny Nilus w latach 1902-1905. Ich autentyczność, jako rzeczywistego planu ułożonego przez rzeczywistych Mędrców Syjonu w celu opanowania świata, podważono bardzo szybko; okazało się że były częściowo plagiatem *Dialogue aux Enfers entre Machiavel et Montesquieu* dziennikarza paryskiego Maurice Joly i rozmowy dwóch rabinów na cmentarzu w Pradze z powieści „gotyckiej” Hermana Goedsche (używał też pseudonimu Sir John Readcliff). Rosyjski tekst Nilusa był w późniejszych latach wielokrotnie poprawiany i uzupełniany. *Protokoły* w niezliczonych przekładach i wydaniach stały się biblią antysemityzmu. Uwielbiał je Hitler, ale miał je też w swojej podręcznej biblioteczce (jak twierdzi Gorbaczow) Lenin. W Polsce wydania przedwojenne opatrzone były napisem „Przeczytaj i podaj dalej”; kilka wydań ukazało się za panowania komunistów, ostatnie z roku 1990 jest *facsimile* edycji poznańskiej z roku 1943. Przyszli polscy wydawcy, nie wątpię że liczni w epoce polowania na książki za jednym zamachem „kasowe” i „wartościowe wychowawczo”, winni pamiętać o głównym elemencie analizy włoskiego badacza.

Romano podkreśla mianowicie dwuczłonowy charakter *Protokołów*. Pierwszy człon, „negatywny”, zestawiał listę podstępów, niecznych sposobów, oszukańczych i zatrutych środków, jakimi posługiwali się Mędrzy Syjonu w drodze do zdobycia władzy nad światem; zawarty w tym członie jad antysemityzmu był impulsem do pogromów i pokarmem dla Czarnych Sotni. Człon drugi, „pozytywny”, przynosił obraz świata podbitego już przez „królestwo Izraela” i rządzonego metodami, które z góry wypracowali szczegółowo Mędrzy Syjonu. Romano nazywa drugi człon „pozytywnym i obiek-

tywnie filosemickim”, zważywszy że projektodawcy tego obrazu zasługują w oczach autorów *Protokołów* na najwyższe uznanie. Zamierzali bowiem wprowadzić w podbitym przez siebie świecie ustrój paternalistyczno-autokratyczny. Wystarczy zacytować fragment IV Protokołu: „Wolność mogłaby się okazać nieszkodliwa i trwać w rządzonych przez nas krajach, gdyby opierała się na religii, na bojaźni Bożej i na ludzkim braterstwie, wolnym od owych pojęć równości, które sprzeciwiają się prawom stworzenia, narzucającym podległość. Naród poddany takiej wierze rządzony byłby przez parafie, żyjące spokojnie i pokornie pod opieką swoich duchowych pasterzy, posłuszny Bożym nakazom ustanowionym na ziemi”.

Rzecz w tym, że drugi człon *Protokołów*, po ujawnieniu w pierwszym „międzynarodowego spisku żydowskiego”, skierowany był przez generała Raczkowskiego i jego przypuszczalnych mocodawców do Mikołaja II i carskich ministrów. W podtekście tkwiło wezwanie i ostrzeżenie: „Albo Ty, Najjaśniejszy Panie, będziesz tak właśnie rządził, albo berło Twoje przejmą perfidni Mędracy Syjonu”. Składnik pozytywny *Protokołów* uszedł uwadze późniejszych wydawców, zachwyconych przede wszystkim ostrzem antysemitycznym falsyfikatu. Może z wyjątkiem Hitlera i Lenina (gdyby wierzyć Gorbaczowowi, że wódz rewolucji zaglądał chętnie do dzieła mnicha Nilusa), skoro w dalszych partiach drugiego członu mowa także o konieczności stosowania, w potrzebie, terroru.

Płynie stąd dla przyszłych wydawców *Protokołów* naturalna sugestia, aby ograniczali je do członu pierwszego, lub unowocześniali człon drugi własnym programem, na miejsce programu generała Raczkowskiego i jego mocodawców z Ochrony i otoczenia Mikołaja II. Jeżeli taki program posiadają.

31 grudnia

Stosowny temat na Noc Noworoczną, gdy piszę niebo rozjaśnia się co chwilę błyskawicami rac, szyby drżą od wybuchu petard i fajerwerków. W teatrze taka dekoracja zwiastuje nadchodzenie burzy.

W kwietniu 1991 roku w zamożnym miasteczku pod Weroną dwudziestoletni chłopiec, greczny i dobrze wychowany, zakochany w samochodach i tęskniący do *dolce vita*, postanawia przyspieszyć otrzymanie sporego spadku. Planuje

z trzema kolegami zamordowanie rodziców, dwóch siostr i szwagra, zamierza oczyścić dokładnie plac, żeby być spadkobiercą jedynym. Z siostrami i szwagrem jest trudno, bo nie mieszkają w domku rodziców. Decyduje się tymczasem na rodziców: mieszka z nimi, więc impreza jest na oko stosunkowo prosta, okazuje się jednak dość skomplikowana w praktyce. Ale udaje się w okolicznościach, których wolę nie opisywać. Zabójca zostaje ujęty wraz z trzema kolegami, sąd skazuje go na trzydzieści lat więzienia. Młodzieniec nie wykazuje skruchy, jest opanowany, wierzy że wyjdzie na wolność przedterminowo, pogardliwie odrzuca nazwę „po-twór” nadaną mu w miasteczku, w samotności celi myśli często o ożenku i o licznych potomstwie. Całą sprawę opisał dokładnie Gianfranco Bettin w wydanej „na gwiazdkę” książce *L'erede*.

Ledwie książka dotarła do wszystkich księgarń (sukces wydawniczy zapewniony!) gazety przyniosły wiadomość o identycznym zabójstwie w Cerveteri, zamożnym również miasteczku niedaleko Rzymu. Jedynak, chłopiec do tańca i do różańca, zastrzelił w nocy śpiących rodziców, właścicieli dobrze prosperującej restauracji. Sam też miał małą restaurację, zarabiał nieźle, ale na horyzoncie pojawiła się czerwono-włosa piękność o dużych wymaganiach. Rozwiązaniem był wczesny spadek. I znowu ani cienia skruchy, spokój i obojętność, ojco- i matkobójcę interesowało tylko jak odbył się pogrzeb, czy przyjechały ciotki z innych miejscowości, jak tłumny był kondukt, czy bukiety i wieńce pokryły oba groby.

Wyliczono, że od roku 1975 liczba identycznych lub bardzo podobnych mordów zbliżyła się do setki. Można zatem mówić o *zjawisku*, co naturalnie stało się ostrogą dla psychologów i socjologów. Nieporadność obu tych szacownych profesji widać najlepiej w takich wypadkach: jałowy żargon naukowy, nie wynika z niego nic, dosłownie nic, prócz zwrotów w stylu „nędza moralna” i „krach wartości”, które każdemu nasuwają się same, bez pomocy akademickich „rzeczoznawców”.

Zajrzałem do mojego z Gombrowiczem dwugłosu o sumieniu Raskolnikowa. Był to dwugłos *sui generis*, Gombrowicz już nie żył, gdy w moim dzienniku zareagowałem na stary zapis o sumieniu Raskolnikowa w jego dzienniku. W największym skrócie. Gombrowicz: „Sumienie Raskolnikowa przejawia się tylko w jednym: gdy poddaje się sztucznemu, międzyludzkiemu, zwierciadlanemu sumieniu, jak gdyby ono

było jego prawowitym sumieniem. W tym zawiera się cały morał: bo oto ten co człowieka zabił, teraz wypełnia nakaz z obcowania ludzkiego poczęty. I nie pyta, czy on sprawiedliwy". Ja: „W optyce Gombrowicza *Zbrodnie i kara* byłaby tylko powieścią o normach współżycia społecznego, historią adaptacji przestępcy do kodeksów postępowania przyjętych przez zbiorowość. Rzecz jasna, tak nie jest. Raskolnikow, 'nadczłowiek' uniżony, dojrzewa stopniowo do spojrzenia na siebie oczami Boga. Idzie tu nie nawet o dosłowność nawrócenia, które Dostojewski szkicuje w trzech zaledwie zdaniach, ale o świadomą potrzebę zaczepienia swojego 'ja' (nad 'otchłanią') o coś wyższego. O co? O 'kościół międzyludzki', powiedziałby Gombrowicz. O Boga, mówi Dostojewski, czyli o wartość absolutną i niezmienną”.

Wobec *zjawiska* opisanego przeze mnie wyżej, rozważania o sumieniu są bezprzedmiotowe. Niezależnie od tego, co się myśli o *Zbrodni i karze*, czy to co Gombrowicz czy to co ja, w czasach Raskolnikowa istniał głos Sumienia i istniało poczucie Zła. Dziś zanika, albo raczej pograża się w banalności, i jedno i drugie. „Kościół międzyludzki”, wynalazek którym tak się szczyił Gombrowicz, można śmiało wyrzucić na śmietnik. A może lepiej odesłać go do muzeum Gombrowicza, jako eksponat niegdyś nowoczesny, a obecnie trąący myszką? Resztki nadziei zależą wyłącznie od dwóch czynników. Od ubóstwienia Sumienia laickiego (w wypadku niewierzących) i od złożenia swojego „ja” w rękach Boga (w wypadku wierzących).

Nowy Rok, Nowy Rok. I Nowa Epoka w błyskach podpalanego nieba.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wiersze

Tadeusz CHABROWSKI

DO KSIĘDZA JANA POETY

Ks. Bp. Józefowi Życińskiemu

Czy mogę w księdza wierszu o kościele
poddmuchiwać niepotrzebne świece,
mżawkę kurzu spod sufitu rękawem marynarki
zetrzeć z ławek; ewangeliście Łukaszowi
przywrócić wypłowiałą kartkę, odzłocić
z przymiotników świętego Tomasza z Akwinu;
w kazanie kanonika wpleść piosenkę
o zaślubinach jego siostrzenicy z Żydem;
wykałaczką wydłubać wyznawcy Bonifacemu
brud spod paznokci a wszystkie krajobrazy
z Chrystusem nad Tybrem oszołomić kwiatami,
chmarą rozkrzyczanych szpaków w krzakach
i wesołymi rymami zmyślonymi mimowolnie?

Tadeusz CHABROWSKI

Wacław IWANIUK

WIERSZ DLA PAWŁA MAYEWSKIEGO

AUTORA „THE JOURNEY AND THE PITY”

który zmarł 21 października 1991 roku w Gainesville
na Florydzie,
zubożając swą śmiercią literaturę polską i amerykańską

Dlaczego mamy się spotykać o tej porze
Jest późno, czas niepewny, w ciemności
Zieleń traci piękno jak twarz zalana łzami.
W nocy wszystkie gwiazdy podobne są do siebie
Pnie drzew znikają, tylko cisza
Ma głębszy urok bo nic jej nie mąci.
Noc jak kapłan w konfesjonale
Wysłuchany w grzesznika
Gdy szuka słów by mu dodać sił.
Obaj jesteśmy na tym samym końcowym zakręcie
Choć start mieliśmy różny
Kula jest okrągła i nie ma z niej ucieczki
Może więc odłożymy na razie ten finał
Bo śmierć, jak wiesz
Nie jest w życiu żadnym ocaleniem.

Toronto, 21 listopada 1991

Wacław IWANIUK

Leszek SZARUGA

W ZWOLNIONYM TEMPIE

Na skraju czasu tempo zwolnione
z więzi odkrywa nowy rytm; tam
w Dolinie Wzlatujących Źródeł otwiera się
żrenica, bazaltowa powieka odsłania
czeluść pieczary, w którą
powoli wchodzisz. Jedna sekunda trwa

jedną godzinę. To znaczy: jedną
sekundę. To

znaczy: krzaki agrestu obejmują gałązkami
całe niebo, migoczą w nich gwiazdy. Ich blask
jest ich smakiem. Tętnią w nich soki
wzlatujących źródeł. Jak krew
kobiet, co otwierają żrenice
swej płci.

ET IN ARCADIA EGO

Za horyzontem zdarzeń, tam
gdzie Trzy Drzewa rzucają cień
na wiatr, nic się nie dzieje, tylko
ludziom otwierają się oczy na
zawsze.

Leszek SZARUGA

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Wywiady „Kultury”

Bogaci i biedni

Z PROFESOREM JERZYM ZUBRZYCKIM
ROZMAWIA MIECZYŚLAW GÓRSKI

MIECZYŚLAW GÓRSKI: — *Mysząc o imigracji poruszamy się zawsze w trójkącie bieda-wojna-prześladowania. Politykę imigracyjną regulują przepisy tzw. Konwencji Genewskiej z 1951 roku, tzn. powstałej ponad czterdzieści lat temu, w zupełnie innych czasach i z myślą o zupełnie innej sytuacji. Jej przepisy zupełnie nie przystają do obecnej sytuacji i problemów. Jakie czynniki — pana zdaniem — powinny DZIŚ decydować o polityce imigracyjnej? Czy możliwe jest skonstruowanie nowego modelu — choćby teoretycznego — polityki imigracyjnej i ekonomicznej, który będzie odpowiadał zarówno współczesnej sytuacji politycznej i ekonomicznej, jak i nowemu układowi sił na świecie?*

JERZY ZUBRZYCKI: — *Zacząć muszę od zarysowania globalnego tła tych problemów. We wszystkich częściach świata obserwujemy dziś ogromny nacisk demograficzny. Nawet w Europie jest on ogromny. Setki tysięcy ludzi z terenów byłej Jugosławii szukają schronienia w różnych krajach Europy; w roku 1989 uciekło do Niemiec ok. 25 tysięcy ludzi, w roku 1991 było ich dziesięciokrotnie więcej, a w roku obecnym mówi się już o 500 tysiącach. Liczba różnego rodzaju uchodźców w świecie rośnie w postępie nieomal geometrycznym, pomimo ogromnych utrudnień, ograniczeń i restrykcji. W krajach Magrebu narasta presja setek tysięcy ludzi, którzy chcą uciec do Ameryki i różnych bogatych kra-*

jów europejskich. Ameryka Północna odczuwa ogromną presję imigracyjną z Meksyku, Haiti i innych krajów Ameryki południowej i środkowej. Jeszcze bardziej drastycznym przykładem są kraje Azji: Bangladesz, Birma, Indie, Pakistan i wiele innych, w których głód, nędza, prześladowania polityczne i religijne sprawiają, że miliony ludzi myślą lub próbują ucieczki od swego tragicznego losu. Przez granicę jednego z najuboższych krajów świata — Bangladeszu — przeszło już ponad pół miliona uchodźców muzułmańskich z Birmy, uciekających przed prześladowaniami birmańskiej junty wojskowej. W Środkowej Afryce — Sudan, Somalia, Etiopia — i w wielu innych krajach panuje straszny głód, który milionom ludzi grozi śmiercią.

Ta tragiczna sytuacja sprawia, że ludzie coraz rzadziej spokojnie czekają na pozwolenie na imigrację i legalnie lub nie starają się uciec od swego straszego losu. Jest to nie tylko do wyobrażenia sobie, ale bywa coraz częściej rzeczywistością, że uciekinierzy masowo wsiadają na łodzie, statki, pociągi i samoloty i przybywają do wybranych przez siebie krajów. Mieliśmy już przykład tego — w ograniczonej jeszcze skali — w Australii, tak trudno przecież ze względu na swe położenie dostępnej — gdzie samorzutnie zaczęli przybywać łodziami uciekinierzy z Wietnamu. Wkrótce zjawisko to może przybrać rozmiary dziś jeszcze niewyobrażalne. Mówimy więc o nowej sytuacji globalnej, w której masowe, gwałtowne ruchy ludności będą zjawiskiem stałym. Doprowadzi to z całą pewnością do sytuacji, w której zarówno my jako wyborcy, jak i politycy nas reprezentujący, będziemy musieli uznać te problemy za jedne z najważniejszych i najpilniejszych.

Konwencja Genewska dotyczyła uchodźców, którzy byli konsekwencją drugiej wojny światowej. Problem sprowadzał się w zasadzie do Europy i — jeśli patrzeć z dzisiejszej perspektywy — do ograniczonej liczby ludzi, którzy nie chcieli wracać do krajów opanowanych przez komunistów. Wtedy ta konwencja miała głęboki sens, była instrumentem odpowiednim do sytuacji. Ale co robić w nowej sytuacji? Odpowiedź jest szalenie trudna, a środki zaradcze mało popularne. Z całą pewnością nie wystarczą ograniczenie i kontrola ruchów migracyjnych, bo jak już powiedziałem, środki te już niedługo mogą okazać się mało albo wcale nieskuteczne. Najogólniej rzecz ujmując konieczny jest bardziej równomierny podział dochodów, dóbr i majątku światowego. To jest wielki problem, który skrótowo zawieramy w hasło „stosunki

Północ-Południe”. Przepaść między bogatą Północą i biednym Południem ciągle rośnie. Jeśli nie przeciwstawimy się temu w sposób radykalny, nastąpią masowe ruchy ludności. Polityka imigracyjna nie zastąpi rozsądnej i skutecznej polityki Północ-Południe. Z wielkim niepokojem patrzę na ten problem i uważam, że dobrowolnie lub nie, zmuszeni zostaniemy do obniżenia naszej stopy życiowej. Jeśli tego nie zrobimy, nie znajdą się środki na rozwiązanie problemów krajów zacofanych.

M.G.: — *Jak dotąd nie widać jednak, aby kraje bogate były gotowe do zaakceptowania takiej alternatywy w skali pozwalającej na radykalną zmianę sytuacji na osi Północ-Południe...*

J.Z.: — Z tego właśnie powodu jestem bardzo zaniepokojony. Dostrzegam w tym potencjalne źródło przyszłych apokaliptycznych konfliktów militarnych między Północą i Południem. Tym bardziej, że w krajach zacofanych i ubogich rozwijają się i umacniają różne ekstremistyczne ideologie religijne i polityczne, np. rozszerzający wyraźnie swe wpływy fundamentalizm muzułmański w Afryce, na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Jeżeli te ekstremizmy doprowadzą do zderzenia z siłami narastającej tzw. nowej prawicy typu Le Pena we Francji, radykałów w Niemczech i innymi tego typu ruchami w Europie i Ameryce Północnej — to może to być zalążkiem groźnych globalnych konfliktów o zupełnie innym charakterze niż te, które przeżywalismy dotychczas.

M.G.: — *Uważa więc Pan, że w najbliższej przyszłości polityka imigracyjna krajów bogatych nadal zastępować będzie skuteczną politykę wobec krajów zacofanych i biednych i żaden nowy skuteczny model tej polityki w najbliższym czasie się nie pojawi?*

J.Z.: — Chyba tak. Może nastąpią jakieś niewielkie przesunięcia, ale niestety nie spodziewam się zmian generalnych. Nie jestem optymistą.

M.G.: — *A więc polityka imigracyjna znalazła się w impasie?*

J.Z.: — Tak. Brak nowych myśli i koncepcji, które stanowiłyby dla państw bogatych wspólną platformę działania odpo-

wiednią do skali zagrożeń i potrzeb. Mówi się ciągle tylko o kontrolowanej imigracji, o zwiększeniu kontroli i zaostrzeniu — różnymi sposobami — reglamentacji. Nie wydaje mi się jednak realistyczne, aby można było długo blokować napływ coraz większych mas imigrantów wyłącznie przy pomocy aparatu biurokratycznego i policji. W każdym razie mamy do czynienia z umacnianiem się nowego rodzaju polityki blokowej: polityki bloku państw biednych i zacofanych skierowanej przeciwko krajom bogatym i uprzemysłowionym. Ale z drugiej strony bez wspólnej, globalnej polityki wobec krajów biednych i zacofanych z całą pewnością nie da się tych problemów rozwiązać. Minął czas, kiedy każdy kraj mógł samodzielnie decydować, kogo bierze, na jak długo i na jakich warunkach. Dziś sprawy te muszą podlegać międzynarodowym konsultacjom na wielką skalę i być przedmiotem umów na najwyższym szczeblu politycznym.

M.G.: — *Czy możliwa jest w praktyce realizacja fantastycznego zamierzenia, jak inwazja krajów bogatych przez setki tysięcy imigrantów w jakimś ściśle określonym, bardzo krótkim czasie?*

J.Z.: — Nie jest to wcale nierealne. Kilka lat temu do wybrzeży Australii zmierzał statek, na którego pokładzie znajdowało się kilka tysięcy potencjalnych imigrantów. Można dość łatwo wyobrazić sobie sytuację, że do określonego kraju płynie jednocześnie znacznie więcej takich statków. Nie będzie praktycznie możliwości ich zatrzymania bez użycia środków mogących mieć tragiczne następstwa.

M.G.: — *Rozmawiamy cały czas o imigracji jako o zagrożeniu dla stabilizacji, bogactwa, pokoju społecznego i politycznego krajów zamożnych. Ale przecież imigracja, jak dowodzi doświadczenie Ameryki, Australii i Kanady, jest też dobrym sposobem na budowanie nowoczesnych, zamożnych społeczeństw, wcale nie targanych większymi konfliktami etnicznymi niż tzw. państwa wielonarodowe jak np. Hiszpania, Belgia czy Holandia. Czy imigracja może być także dziś czynnikiem państwotwórczym, rodzącym dobrobyt, wzbogacającym kulturę, umacniającym stosunki demokratyczne także we współczesnej Europie? Czy też musi pozostać marginesem polityki państwa, a imigranci na jego marginesie?*

J.Z.: — Uważam, że także w dzisiejszej Europie imigracja może pomagać wielu społeczeństwom w podniesieniu ich wydajności ekonomicznej, umacniać państwo, wzbogacać kulturę, utwierdzać demokrację. Imigracja czyni każdy kraj bardziej ciekawym, ułatwia i umacnia jego powiązania z innymi krajami, otwiera perspektywy nowych powiązań ekonomicznych, wzbogaca go o doświadczenia innych kultur. Decyduje jednak to, jak społeczeństwa przyjmujące potrafią z tego potencjalnego kapitału korzystać. Australia i jej doświadczenia są dowodem, że jest to możliwe i potrzebne. Imigranci wzbogacają swe nowe ojczyzny także intelektualnie. Intelektualiści imigranci wnieśli wielki wkład w rozwój nauki, kultury, literatury, sztuki... O ile uboższa byłaby nauka amerykańska bez setek i tysięcy wybitnych imigrantów, dzisiejszych laureatów Nobla w wielu dziedzinach nauki...

M.G.: — *A jednak zarówno intelektualiści jak i politycy bardzo rzadko mówią o korzyściach z imigracji, na ogół ujmują je w kategoriach misji humanitarnej wobec biednych, dla których społeczeństwa bogate muszą się poświęcać. Ciekawe, że w Szwecji tylko jedno pismo — ekonomiczne — poświęciło cały numer na udowodnienie, że summa summarum imigracja była dla społeczeństwa szwedzkiego także zupełnie dobrą inwestycją ekonomiczną.*

J.Z.: — Ale jest to prawda. Uważam, że takim właśnie językiem należy do nowoczesnych społeczeństw przemawiać. Z pewnością można zupełnie ściśle obliczyć, jakie konkretne korzyści ekonomiczne odnoszą różne społeczeństwa z imigracji. Być może rachunek nie jest prosty, ale tym rzetelniej i konkretniej należy go prowadzić i społeczeństwom przedstawiać. Nie mniej ważna jest misja kulturalna imigrantów. Współcześnie imigracja daje intelektualistom-imigrantom możliwość znacznie szerszego oddziaływania na społeczność międzynarodową, przynosi to jej znaczne korzyści. Jest to misja uniwersalna, prowadząca do zbliżenia międzynarodowego.

M.G.: — *Nie jestem skłonny przeceniać wpływu imigrantów-intelektualistów. W każdym razie w Szwecji. W Szwecji imigrantów zaprasza się do dyskusji o wydarzeniach w Jugosławii, w Afryce Południowej, o rasizmie, czasem o sytuacji ludzi biednych, starych, samotnych lub o polityce imigracyjnej, ale nigdy o szwedzkiej polityce obronnej, o szwedzkiej historii, tradycji, kulturze, polityce państwowej.*

J.Z.: — Zupełnie inaczej jest w Ameryce, w Australii, Kanadzie. Tam wpływy polityczne imigrantów są bardzo szerokie i dotyczą wszystkich zasadniczych spraw państwa z polityką obronną, międzynarodową i ekonomiczną włącznie. Ciężar gatunkowy imigrantów w polityce jest w tych krajach bardzo duży. Niestety tradycje europejskie są inne. Europa zapatrzona jest w siebie, nie dostrzega lub dostrzega w daleko niedostatecznym stopniu roli innych części świata. Europa jest bardziej konserwatywna i z tego powodu stawia przed imigrantami znacznie większe i trudniejsze do pokonania bariery w dostępie do środków masowego przekazu, do elitarnego wykształcenia, do samych elit wreszcie. W Australii np. bardzo wielu imigrantów zajmuje wysokie i wpływowe stanowiska w rządzie centralnym i rządach stanowych, w parlamencie, w partiach politycznych, w życiu ekonomicznym. Mówię o imigrantach nie pochodzących z krajów anglosaskich. Nie ma w tej dziedzinie praktycznie żadnych utrudnień. Przewaga anglosasko-celtycka w Australii skończyła się. Ludność pochodzenia anglo-celtyckiego stanowi już dziś mniej niż 50%. W Europie, w której procentowo imigranci stanowią ciągle stosunkowo małą grupę, pokonanie różnego rodzaju barier i oporów psychologicznych jest znacznie trudniejsze.

M.G.: — *Czy uważa Pan jednak, że jest to możliwe?*

J.Z.: — Nie w obecnej generacji, trzeba na to chyba kilku pokoleń. To idzie w Europie bardzo wolno.

M.G.: — *Zmiany w Europie w ostatnich latach sprawiły, że bardzo wzrosły wpływy parlamentarnych, ale także i pozaparlamentarnych partii o zdecydowanie prawicowym, populistycznym obliczu. Stało się tak nieomal we wszystkich krajach europejskich. Partie te kwestionują lub przynajmniej bardzo ostro krytykują politykę imigracyjną. Uważają ją zazwyczaj za zbyt liberalną, żądają znacznie ostrzejszych restrykcji aż do całkowitego wstrzymania imigracji. Dawne partie polityczne, zarówno lewicowe jak i konserwatywno-prawicowe, zasadniczo odzęgają się od tych postulatów i deklarują utrzymanie liberalnej polityki imigracyjnej. W praktyce, w obawie o głosy wyborców, o zagarnięcie puli przez partie populistyczne, a także w wyniku kryzysu ekonomicznego oraz bezrobocia, poddają politykę imigracyjną ściślejszej reglamentacji. Tracą głosy partie, które najkonsekwentniej opowiadają się za liberalną polityką imi-*

gracyjną. Czy wynikiem tego będzie w Europie nowy model polityki imigracyjnej? Czy możliwa jest polityka imigracyjna nie będąca przedmiotem politycznych rozgrywek międzypartyjnych?

J.Z.: — Trend, o którym pan mówi, rzeczywiście można zaobserwować w polityce europejskiej, potwierdzają go różne wyniki wyborów zarówno ogólnokrajowych jak i regionalnych, a także badania opinii publicznej. Osobiście sędzę, że ten prawicowy zwrot jest skierowany głównie nie przeciwko imigrantom, ale przeciwko rzekomemu czy też prawdziwemu przerostowi zadań państwa opiekuńczego. Sędzę, że jest to wynikiem kryzysu samej instytucji państwa opiekuńczego, którego czasem większym a czasem mniejszym fragmentem jest polityka imigracyjna. Jeżeli krytykowana jest sama zasada państwa opiekuńczego, któremu przypisuje się odpowiedzialność za zastój w rozwoju gospodarczym, jeśli uważa się, że dalsze zwiększenie dobrobytu jest ze względów ekonomicznych niemożliwe, to w następnym zdaniu żąda się ograniczenia imigracji, szczególnie w kraju takim jak Szwecja, która stwarza imigrantom wyjątkowo dobre warunki materialne. (Na marginesie: jedynym może wyjątkiem od tych prawicowych tendencji jest Wielka Brytania, w której partia konserwatywna, szczególnie po odejściu pani Thatcher, wyraźnie przesunęła się w lewo i zmierza do ulepszenia różnych źle działających instytucji państwa opiekuńczego. Ale na ogół państwa opiekuńcze są dziś krytykowane, a postęch zyskują ruchy i partie mające odmienne programy).

M.G.: — *A więc uważa Pan, że gruntowna krytyka, której dość powszechnie poddaje się obecną politykę imigracyjną, jest tylko fragmentem zasadniczego kwestionowania funkcji państwa opiekuńczego?*

J.Z.: — Tak, tak uważam. Przyjmowanie coraz większej liczby imigrantów, rozszerzanie różnorodnych świadczeń dla nich zwiększa ciężary, jakie ponosi państwo. Wyborcy, podatnicy w coraz większym stopniu i w coraz większej liczbie krajów kwestionują taką politykę. Jeśli weźmiemy pod uwagę wzrastające w wielu krajach bezrobocie, a także kryzys ekonomiczny, który pojawił się pod koniec lat osiemdziesiątych, to łatwiej zrozumieć, dlaczego w pewnej części społeczeństw zachodnich coraz częściej utożsamia się nadmierne obciążanie państwa funkcjami opiekuńczymi ze zwiększającą się znacznie obecnością 'obcych'. I przeciw nim kieruje się fala

niechęci, a nawet wrogości i agresji. Poza tym imigracja polega dziś w bardzo znacznej części na łączeniu rodzin. Przyjeżdżają ludzie starzy, dzieci. Ten rodzaj imigracji jest bardzo kosztowny, bo nie włączają się oni ani w życie zawodowe ani w gospodarce. Nawet Australia, prowadząca przecież dość hojną politykę imigracyjną, w której nadal u władzy są labourzyści, zmniejszyła kwotę imigracyjną w obecnym roku budżetowym z 110 do 95 tysięcy osób. Z tej liczby ponad 60 tysięcy, czyli dwie trzecie, stanowiąc będą imigranci przybyli w ramach łączenia rodzin. Ten rodzaj imigracji jest oczywiście nieunikniony i jest także wynikiem dużego i stale rosnącego nacisku różnych grup etnicznych. Łączenie rodzin, jak wspomniałem, nie dostarcza na ogół nowej siły roboczej i zwiększa obowiązki opiekuńcze państwa. Możliwości manewru są tu bardzo małe.

M.G.: — *Już wiele razy w historii wydawało się, że apokalipsa jest nieuchronna, a jednak narastające konflikty rozwiązywały się często w sposób, którego nikt nie przewidział. Wspomnijmy choćby upadek komunizmu w Europie...*

J.Z.: — Ale tu nie chodzi tylko o konflikt wstecznej ideologii ze światem rozwiniętym, racjonalnym, tu chodzi o coś znacznie głębszego, czym jest byt jednostki i to, co jest jej niezbędne do życia. Olbrzymia większość ludzi w społeczeństwach zachodnich nie wyobraża sobie nawet, że mogłaby rozstać się ze swoim stylem życia, ze swymi aspiracjami materialnymi i ugruntowanymi na nich aspiracjami kulturalnymi. Tylko mniejszość gotowa jest dzielić się z innymi, a i to traktuje tę akceptację tylko jako wyraz misji humanitarnej, swego rodzaju jałmużnę dla ubogich. Ludność krajów biednych dzięki współczesnym środkom przekazu obserwuje nasz styl życia, który dla nich jest zupełnie nieosiągalny, zazdroścą nam go i też chcą zakosztować dobrobytu, bardzo często uważając, że powstał ich kosztem. Nie widząc możliwości rozwiązań globalnych, wybierają indywidualną walkę o zmianę swej sytuacji. Jednym ze sposobów jest imigracja, która może przetrwać się i czasem już się przeradza w masowy exodus. Ludzie wierzą, że inwazja krajów bogatych otwiera dostęp do ich dóbr.

M.G.: — *Czy można sobie wyobrazić, że zamiast masowej emigracji biednych do krajów bogatych dokonywa się transfer wielkiego kapitału do tych krajów, nie w formie humanitarnej, ale handlowej? Kraje te bardzo często mają znaczne bogactwa*

naturalne i tanią siłę roboczą. Wsparte nowoczesną technologią i dobrze przygotowanymi zawodowcami z krajów bogatych, mogłyby się rozwinąć.

J.Z.: — Jeśli spojrzeć na to, co stało się w ciągu ostatnich 25-ciu lat w południowo-wschodniej Azji, np. w Malezji, Tajwanie, Singapurze, a ostatnio także w Indonezji, to widać, że choć w inny sposób i innymi środkami, odwrócenie trendów jest możliwe, nawet przy pomocy własnego kapitału i własnej kadry. Kraje te, do niedawna biedne i zacofane, mają najwyższe dziś na świecie wskaźniki rozwoju gospodarczego. Stają się nową potęgą gospodarczą, która już na początku przyszłego stulecia będzie prawdopodobnie swą siłą gospodarczą równa Europie. Można sobie np. bez trudu wyobrazić, że ogromne pieniądze arabskie, które dziś inwestowane są np. w wojnę na Bliskim Wschodzie, zainwestowane na miejscu lub w Afryce mogłyby po pewnym czasie przynieść rezultaty podobne do tych, jakie osiągnięto w wielu krajach Azji. Wymaga to jednak stabilizacji politycznej, zmiany pewnych tradycji kulturalnych a może nawet religijnych. Możliwe, że upadek komunizmu i koniec współzawodnictwa wielkich mocarstw przyczyni się z czasem do stabilizacji politycznej w tych regionach. Za krótką mamy jeszcze perspektywę, aby to właściwie ocenić. Na razie inwestorzy arabscy wolą swoje pieniądze posyłać do Londynu, Genewy, Nowego Jorku czy Zurychu.

M.G.: — *A jeśli — hipotetycznie — Europa, Ameryka, Kanada, Australia rozpoczną drakońską restrykcyjną politykę imigracyjną, dokąd skieruje się nacisk biednych mas ludności? Na własną burżuazję, aby zmusić ją do inwestowania we własnych krajach, czy też przeciwko wrogiemu światowi bogatej Europy, Ameryki i Australii?*

J.Z.: — Nie wiem, ale nie sądzę, aby masy potencjalnych imigrantów, przyszłych uczestników hipotetycznego exodusu, były świadome tego, że ich własne elity są za ich sytuację współodpowiedzialne. Przecież podział dóbr narodowych w krajach biednych jest skandalicznie niesprawiedliwy, są one także grabione, nawet pomoc jest rozkradana. Elity wielu krajów są skorumpowane do szpiku kości.

M.G.: — *Czy możliwa jest masowa, ustawiczna wędrówka ludów jako konsekwencja biedy?*

J.Z.: — Patrząc na sprawy w obecnym świetle, niestety tak. Innego rozwiązania ciągle nie widać. Ludzie będą uciekali od wojny, biedy, prześladowań, śmierci głodowej, i będą usiłovali dostawać się tam, gdzie mogą lub wydaje się im, że mogą żyć w dobrobycie. Oglądałem to na całym świecie. Byłem w zeszłym roku w Bangladeszu, kiedy dwie trzecie tego kraju znalazły się pod wodą. Miliony ludzi siedziały na drzewach, dachach szop i oczekiwały na pomoc. Patrzyłem na to z uczuciem straszliwej bezsilności i świadomością, jak mało mogę im pomóc. Przepaść między mną a nimi, głodnymi, spragnionymi, zmęczonymi i bez żadnej nadziei na lepszą przyszłość, była ogromna. Ta sytuacja dotyczyła około 3 milionów mieszkańców Bangladeszu. To był obraz apokaliptyczny i on się niestety na pewno powtórzy. Czy wtedy ludzie ci będą także apatycznie oczekiwać pomocy? Takie i podobne zjawiska są dziś niestety w świecie bardzo częste i mają coraz większy zakres, również z powodu olbrzymiego przyrostu naturalnego. Wielkie powodzie, susze, trzęsienia ziemi, dyktatury są przyczynami masowego głodu, śmierci głodowej milionów ludzi każdego roku. Do tego dodać trzeba skutki wojen, prześladowań, konfliktów etnicznych. Podkreślam: to jest obraz apokaliptyczny i społeczeństwa krajów bogatych, także dla ich własnego dobra, powinny być tego świadome. Społeczeństwa Zachodu potrzebują wstrząsu. O tym muszą myśleć politycy, a nie tylko o woli swych wyborców, aby żyć coraz dostatniej!

M.G.: — *Z uporem jednak powtarzam, że polityka imigracyjna nie może zastąpić polityki Północ-Południe. Przyjęcie jeszcze kilkudziesięciu czy nawet kilkuset tysięcy uchodźców nie rozwiąże problemów dziesiątków i setek milionów ludzi głodnych. To jest zadanie polityki światowej, globalnej...*

J.Z.: — Musimy jednak robić wszystko co możliwe, aby wobec tych, którzy w społeczeństwach zachodnich żyją, którzy do nich przybywają i przybywać będą, nie kierował się strumień nienawiści, aby nie obarczać ich winami, których nie ponoszą, za kryzys, za bezrobocie. Wrogość wobec obcych i frustracja zatrują przede wszystkim fundamentalne zasady wolności i demokracji.

M.G.: — *Czy powstawanie imigranckich gett jest nieuchronne? Czy nie sprzyja ich powstawaniu polityka wielokulturowość-*

ci? Tradycyjnie uznano politykę asymilacyjną za błąd, czy nadal uważa to Pan za słuszne? Czy asymilacja ma tylko negatywne skutki dla grup etnicznych?

J.Z.: — Przeciwwstawienie wielokulturowości i asymilacji nie jest już adekwatne do tego co się dzieje. U podstaw kształtującej się polityki wielokulturowości w latach 60-tych i 70-tych leżały trzy przesłanki:

- zasada równości społecznej, co oznacza konieczność dzielenia się swymi dobrami z imigrantami, aby zapewnić im szybki, dobry start w społeczeństwie i w życiu zawodowym;
- założenie, że będzie się to odbywało bez uszczerbku dla społeczeństw przyjmujących;
- uznanie tożsamości etnicznej jednostek i grup.

Taka była geneza wielokulturowości zarówno w Australii jak i w Szwecji (ale nie w polityce imigracyjnej USA, Kanady, Brazylii czy Niemiec). Założenia takie zostały prawie równocześnie przyjęte przez parlamenty Australii i Szwecji. Miały ogromne znaczenie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i mają nadal, ale sposób ich realizacji musi się zmienić. Musi się zmienić, ponieważ politycy naruszają w praktyce niezbędną równowagę między tymi trzema założeniami, dając swym etnicznym wyborcom, pewnym grupom etnicznym możliwość korzystania ze specjalnych świadczeń i usług niedostępnych innym obywatelom (dyskryminacja pozytywna), lub dostępnych na innych, mniej korzystnych warunkach. Naruszenie równowagi między wspomnianymi wyżej zasadami powoduje niemal natychmiastową negatywną reakcję reszty społeczeństwa wobec imigrantów. Jej objawem są właśnie różne populistyczne i wrogie imigracji partie i ruchy. Z tego wypływa konieczność rewizji pewnych założeń. Życie w nowym społeczeństwie wcześniej czy później powinno prowadzić do asymilacji i nie ma w tym nic złego. Asymilacja jest i powinna być ostatnim etapem integracji różnych grup etnicznych w ich nowym społeczeństwie. Asymilacja nie jest procesem jednokierunkowym. Jest procesem, w którym powinna następować wzajemna wymiana kultur, idei, tradycji i stylów życia, wytwarzając nową wspólnotę wartości, opartą o pewne niezmiennie czynniki jak język, ustrój parlamentarny, niezależne sądownictwo, wolne wybory, wolność prasy, wolności obywatelskie itd. Oznacza to oczywiście konieczność odrzucenia przez różne grupy pewnych swoich tradycji (np. wielożeństwa, obrzezania kobiet).

Nie ukrywam, że choć uważam się za jednego z ojców zało-

żeń wielokulturowości, w świetle nowych faktów i masowej imigracji konieczne jest krytyczne spojrzenie na jej założenia i pewne zmiany, które uniemożliwiają powstawanie trwałych gett etnicznych. Wymaga to absolutnego wyeliminowania dyskryminacji pozytywnej. Imigranci powinni mieć dostęp do tego wszystkiego, do czego mają prawo wszyscy obywatele, bez specjalnie dla nich tworzonych przywilejów. Taka polityka z pewnością gwarantuje przybyszom dobry start. Dam przykład. Przez trzy lata byłem członkiem komitetu przyznającego 10 stypendiów na okres studiów uniwersyteckich. Spośród 1.500 kandydatów — każdy był oznaczony tylko numerem — trzy pierwsze miejsca zajęli kandydaci z rodzin imigranckich, którzy kilka lat wcześniej dopiero przyjechali do Australii, nie znając jeszcze wtedy nawet języka angielskiego. Ambicje i zdolności dały im wielką szansę. Ludzie ci z pewnością będą zaczątkiem nowych elit australijskich. Kilka lat temu uzyskałem dostęp do ewidencji kandydatów na studia na 11-tu różnych fakultetach na Uniwersytecie w Melbourne. Analizując dane personalne kilku tysięcy studentów pierwszego roku, stwierdziłem, że aż na dziesięć fakultetów przyjęto więcej niż 50 % młodzieży pochodzenia imigranckiego. Bez żadnych ułatwień. Tylko na fakultecie leśnictwa procent młodzieży pochodzenia imigranckiego był mniejszy niż 50. Ilość młodzieży imigranckiej przyjętej na pierwszy rok prawa i medycyny sięgała 70 %. Oznacza to, że elity, które dojdą do władzy w następnych pokoleniach, będą już zupełnie inne, nie anglo-celtyckie, nie będą wywodzić się w ogromnej większości ze starych, zasiedziały rodzin australijskich. Powszechny dostęp do nauki i możliwości awansu sprawiają, że powstające getta są zjawiskiem przejściowym. Ogromna większość imigrantów dąży do wzbogacenia się, do zdobycia znaczących ról społecznych, opuszczenia getta i znalezienia sobie właściwego miejsca w społeczeństwie. Blokada możliwości awansu społecznego jest przyczyną różnorodnych konfliktów, powstawania „gett” itp. Przykładem tego były wydarzenia w Los Angeles, gdzie mieliśmy właśnie do czynienia z całkowitym „zakorkowaniem” możliwości wspinania się po szczeblach drabiny społecznej. Ta możliwość musi być dostępna dla *każdego*, kto tego chce i dysponuje odpowiednimi zdolnościami.

Rozmawiał Mieczysław GÓRSKI

Rozpad Jugosławii

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM TALCZEWSKIM,
AUTOREM FRANCUSKIEGO DOKUMENTALNEGO
FILMU PT. „GENEZA WOJNY”*

ROMAN LEWANDOWSKI: — *Jak daleko trzeba sięgnąć w historię, by zrozumieć wydarzenia w Jugosławii?*

KRZYSZTOF TALCZEWSKI: — Przynajmniej do początku wieku. Istniały wtedy prawosławne Królestwo Serbii i Czarnogóra, w których używano cyrylicy. Krzysztof Pomian zalicza je w tym okresie do Wschodu. W obu tych krajach do dziś chętnie powtarzają, że silna Rosja oznacza silną Serbię i silną Czarnogórę i należy z nią trzymać — ta sama kultura, ta sama religia. Chorwacja i Słowenia z kolei należały do Austro-Węgier. Są katolickie, mają alfabet łaciński. Bośnia i Hercegowina były — tak jak obecnie — konglomeratem kultur, religii i narodowości. Wszystkie te podziały z grubsza przetrwały. Z tym, że Serbia jest dziś populistyczna i komunistyczna, a w Słowenii i Chorwacji zaczęła się demokracja, chociaż do jej pełni można mieć zastrzeżenia, szczególnie w Chorwacji.

R.L.: — *Kto dominował w Jugosławii?*

K.T.: — Zawsze Serbia. Serbowie są wojownikami, lubią powtarzać, że w czasie wojny zyskują, podczas pokoju tracą. Przez wieki wojowali z Turkami. Kiedy w 1912 wygrali wraz z Grekami wojny bałkańskie, poszerzyli kraj o część Macedonii. Serbia była w obozie zwycięzców po I wojnie światowej. We Francji do dziś w obchodach 11 listopada uczestniczą serbscy kombatanci. W Chorwacji i Słowenii, które wymknęły się wtedy spod rządów Wiednia, obawiano się Austrii, trochę Włoch. Modny był panslawizm. Tak powstało

* Krzysztof Talczewski, l. 33, absolwent UJ, we Francji od 1982 r. (wyjechał po zwolnieniu z internowania), pracuje jako realizator filmowy. Aktualnie przygotowuje 3-odcinkowy serial o historii Rosji.

za zgodą wszystkich Królestwo Słoweńców, Chorwatów i Serbów, przemianowane w 1929 roku na Jugosławię, terytorialnie porównywalne z tą niedawną. Serbowie w niej przeważali, administracja była w ich rękach. W roku 39 w armii na 34 generałów tylko jeden był Chorwatem.

R.L.: — *W jaki sposób wkroczyli w drugą wojnę światową?*

K.T.: — Serbowie, którzy są profrancuscy, akurat przed samym wybuchem wojny politycznie stali po stronie Niemiec — jak Chorwaci. Hitler nakłonił króla Pawła, by podpisał Pakt Osi. Anglicy, którzy byli na Bałkanach wyjątkowo aktywni, doprowadzili do obalenia monarchii. Tron objął życzliwy im Piotr II. Niemcy w odpowiedzi zajęli w kwietniu 41 kraj. Opór stawiali Serbowie (w raportach niemieckich pisze się o „oporze armii serbskiej”). Chorwaci witali Niemców jak wyzwolicieli. Nastąpił podział kraju, bardzo skomplikowany, ale spróbujmy go odtworzyć. Serbię okupowali Niemcy (wyłonił kolaborującą z nimi administrację). Regiony autonomiczne (te późniejsze): Wojewodina trafiła do Węgrów, Kosowo do Włochów, którzy zagarnęli też część Słowenii, Dalmację oraz anektowali wyspy na Adriatyku. Chorwacja wchłonęła Bośnię, tworząc silne proniemieckie państwo o jednoznacznie faszystowskim charakterze. Na jego czele stanął Ante Pawelic, przywódca ustaszowców.

R.L.: — *Zaczął od eksterminacji mniejszości...*

K.T.: — Stworzył obozy koncentracyjne dla Serbów i Żydów, na przykład w Jasenovacu, gdzie zginęło ich paręset tysięcy (wśród historyków istnieją zasadnicze rozbieżności co do dokładnej liczby ofiar). Represjonowali w regionach dziś znanych z telewizji i komunikatów prasowych — w Vukowarze, Osijeku, Krajinie. Odpowiedzią Serbów był ruch oporu — czetnicy. Organizacja elitarna, grupująca oficerów, ciesząca się poparciem Kościoła, wyraźnie nacjonalistyczna. Trzymali z Anglikami. Okrucieństwo było obustronne, ale Chorwaci dopuszczali się go w majestacie ustanowionego przez siebie prawa.

R.L.: — *Ostatecznie inicjatywę przejął jednak Tito.*

K.T.: — Mniej więcej od roku 1943. To komunista przebywający od 20-tu lat w ukryciu. Syn Chorwata i Słowenki. Jego

partyzantka liczyła blisko 800 tys. ludzi. Kontrolował 2/3 kraju. Był to ruch szeroko rozumianej lewicy. Grupował Serbów, którym nie odpowiadała nacjonalistyczna ideologia czetników i Chorwatów, którzy nie chcieli chorwackiego faszyzmu. Anglicy orientowali się, że Tito jest najważniejszy, uznali go za jedyne reprezentanta Jugosławii. Doszło do starć między oddziałami Tito i opuszczonymi przez Anglików czetnikami.

R. L.: — *W 1945 roku do Belgradu wracają Rosjanie...*

K. T.: — Ale u ich boku są żołnierze Tito, Rosjanie nie mogą Jugosławii włączyć jednoznacznie do swojej orbity wpływów. Kraj, oczywiście, wkracza na drogę socjalistycznych przemian, następują represje. Tito rozprawia się przede wszystkim z ustaszowcami. Ale skazuje na śmierć również Michajłowicza, przywódcę czetników, czego podobno nigdy nie mógł mu wybaczyć de Gaulle. Mówi się, że Tito zlikwidował ok. 100 tys. osób. To jednak on ma poparcie społeczeństwa, a pozbawieni zaplecza przeciwnicy opuszczają kraj.

R. L.: — *Wygrywa nastroje?*

K. T.: — Rywalizuje np. z Włochami o Triest. Pozwala sobie na zerwanie z Moskwą w 48 roku. Proponuje na przełomie lat 40-tych i 50-tych samorządy. Tworzy nomenklaturę. W 1953 roku pojawia się Džilas, komunista z krwi i kości, który to wszystko opisuje. Pomimo pewnego zbliżenia z Moskwą (po wizycie Chruszczowa w 55 r.) Rosjanie — choć bardzo tego chcą — nie mogą spenetrować struktur stworzonych przez Tito. Kraj ponadto jest cały czas w jakiś sposób rozpieszczany przez Zachód. Jugosłowianie, jak pamiętamy, byli zawsze dumni ze swojego kraju, ze swojego socjalizmu i ze swego przywódcy, mimo że dziś wszystko okazuje się tak kruche. W Serbii częściej niż gdzie indziej słyszałem, że „był Blok Wschodni i my”. Słoweńcy też tak mówili. W latach 70-tych i częściowo 80-tych oni sobie po prostu dobrze żyli. Teraz poziom życia spadł 4-5-krotnie. Względny dobrobyt stanowił jedną stronę medalu — bo opozycję cały czas, mniej lub bardziej, pacyfikowano.

R. L.: — *Czy Tito był jedynym „spoiwem” Jugosławii?*

K. T.: — On i jego świta. Przynajmniej do kiedy żył. W społeczeństwie, co zrozumiałe, najgoręcej popierali go kombataneci i ci wszyscy, którzy nie utożsamiali się z żadną narodowością, np. w wyniku małżeństw mieszanych. Obywatelstwo jugosłowiańskie deklarowało, jeszcze nie tak dawno, 1,5-2 mln osób, czyli ok. 10-15%. Zwolennicy rządów twardej ręki, a była ich większość w otoczeniu Tito, uważali, że błąd marszałka zaczął się w 68 roku. Tito w czasie rewolty studenckiej, nazajutrz po zdławieniu demonstracji, przyznał w przemówieniu rację kontestującej młodzieży. Wywołało to entuzjazm dla jego postaci. Po czym, warto podkreślić, nastąpiło rzeczywiste złagodzenie polityki. W aspekcie interesującego nas rozpadu kraju prowadzi to do tego, że w 74 roku dotąd dławione ruchy narodowe uzyskują pewien status. Poszczególne republiki (oraz Kosowo i Wojewodina jako okręgi autonomiczne) otrzymują uprawnienia, które „luzują” kraj. Mówi się, że nawet sam Tito nie był do końca do tych nowych koncepcji przekonany, ponieważ nie pojawił się podczas ogłaszania konstytucji sankcjonującej nowy ład.

R. L.: — *Przed jej ogłoszeniem wybuchają już kryzysy narodowościowe.*

K. T.: — Buntują się Chorwaci. Franjo Tuđman — obecny prezydent Federacji — wędruje na kilka lat do więzienia. Nie był to ciężki obóz pracy, lecz całkiem przyzwoite miejsce odosobnienia, ale jednak odosobnienia. Być może Tito chciał uprzedzić pewne fakty i dlatego obrał „kurs na więcej wolności”. Nie wiadomo. Niemniej zrobił to, co zrobił. W tym samym czasie Jugosławię ogarniał już kryzys ekonomiczny. Przypomnijmy, że zgodnie z konstytucją z 74 roku prezydent federalny miał być obierany co roku, za każdym razem z innej republiki. Póki żył Tito, przepis pozostawał na papierze. Zapoczątkowało to kryzys tego urzędu. Z terminem „prezydent Jugosławii” kojarzył się wyłącznie on. Rząd federalny, dodajmy, zajmował się ekonomią i z punktu widzenia „scalania Federacji” prawie nie istniał. Tito umierając w roku 1980 zostawił kraj naprawdę już nieźle rozchwiany. Kiedy na jego pogrzebie Willy Brandt miał łzy w oczach, niektórzy zastanawiali się, czy żegnał on Tito, czy pokój na Bałkanach, który dyktator Jugosławii zabierał ze sobą do grobu.

R. L.: — *Odtąd rozpad Jugosławii postępuje szybciej?*

K. T.: — W 81 roku wybuchają zamieszki w Kosowie należącym do Serbii i graniczącym z Albanią. Serbów jest 8 mln, Albańczyków 2 mln, ale Kosowo zamieszkują w 90%. Dla Serbów Kosowo stanowi kolebkę kulturalną. Albańczycy, skoro jest ich w Kosowie większość, nie chcą już okręgu autonomicznego, lecz republiki. A tak naprawdę odłączenia. Irrydyntę tłumia armia federalna, niepokoję zaś trwają do dzisiaj.

R. L.: — *Jak reagują na te pierwsze zamieszki pozostałe republiki?*

K. T.: — To jest właśnie bardzo ciekawe. Sytuacja psychologiczna w poszczególnych republikach zmieniała się naprawdę niesłychanie. Dzisiejsi wrogowie Miłoszewicza, Serbii i idei Jugosławii przyznają, że w roku 81 byli za karną ekspedycją przeciw Albańczykom. Mniej więcej pięć lat później Słowenia, granicząca z Austrią, najbogatszy region federacji, w której dochód na mieszkańca jest dwa razy wyższy niż w najbardziej rozwiniętym Kosowie, przeżywa rozbudzenie intelektualne i kulturalne podobne do tego, którego byliśmy świadkami w Polsce od połowy lat 70-tych. Słowenci zaczynają upominać się o prawa Albańczyków. Szefem komunistów w Słowenii zostaje Kuczana, partyjny reformator, który to toleruje. Prasa słoweńska atakuje, pisze, że armia federalna nie jest od pałowania Albańczyków. Słowenców jest około dwu milionów, tyłu, ilu Albańczyków, być może poczuli się trochę solidarni w swoim położeniu w 20-milionowej Jugosławii*. Ponadto byli od siebie daleko — i kulturalnie, i ekonomicznie. W 87-ym dołącza Chorwacja, sytuacja ewoluuje do punktu, w którym obie republiki postulują zamiast federacji — konfederację.

R. L.: — *Kto jest następny?*

* W całej Jugosławii do wojny żyło 8,5 mln Serbów, 4,6 mln Chorwatów, 1,8 mln Słowenców, 1,4 mln Macedończyków, 1,8 mln Albańczyków, 0,6 mln Czarnogórczyków, tyle samo Węgrów, a mniejszości słowacka i turecka liczyły odpowiednio 84 tys. i 127 tys. Chorwacja i Bośnia mają zbliżone powierzchnie (odpowiednio: 56 i 51 tys. km kw), Serbia — wraz z Kosowem i Wojewodiną — liczyły niecałe 90 tys. km kw. Francuski „Larousse” nie podaje dokładnego składu etnicznego poszczególnych republik ograniczając się do cyfr globalnych — w Serbii mieszkało 9,6 mln osób (z czego 1,8 mln w Kosowie i 2 mln w Wojewodinie); w Chorwacji 4,6 mln, a w Bośni i Hercegowinie 4,4 mln osób.

K. T.: — Serbia. W Belgradzie odczytywano to jako zdradę słowiańszczyzny. Zanim doszło do przelewu krwi, oni się nie lubili, opowiadali o sobie mniej lub bardziej złośliwe dowcipy. Tak było zawsze, ale istniała możliwość dialogu. Jeszcze po wojnie „słoweńskiej” jeździli do siebie na wakacje. Pukali się w czoło. Zbiorowe szaleństwo pojawiło się w październiku 91. Poprzedziła je wymiana listów i rozmaitych memoriałów między intelektualistami. Jeśli w Słowenii mówiono, że byli zdominowani przez Serbów, to w Belgradzie im odpowiadano, że są dwa razy bogatsi. Serbia jest pod względem zamożności dopiero trzecia, po Słowenii i Chorwacji. Republiki graniczące z Niemcami i Austrią prosperowały zawsze lepiej.

R. L.: — *Serbowie tracą na rozpadzie najwięcej?*

K. T.: — Jedyne oni manifestują z flagami jugosłowiańskimi i skandują „Tito! Tito!”. Warto podkreślić, że to oni kontrolują armię federalną.

R. L.: — *Jak do tego doszło?*

K. T.: — Z armią jest delikatna sprawa. Serbowie rozpoczęli tę wojnę działaniami armii federalnej. W Jugosławii oprócz sześciu republik narodowych siódmą była republika prawdziwych komunistów — do której należeli jednakowo wszyscy: Serbowie, Słowenci, Chorwaci, Albańczycy. To oni kontrolowali armię, która w sensie narodowym była neutralna, właśnie jugosłowiańska. Była karna, niezłe wyposażona i wyszkolona. Ostatni oficerowie Słowenci i Chorwaci podawali się do dymisji jeszcze w kilka tygodni po tym, jak brali udział w operacjach przeciwko 'swoim' krajom. Potem nastąpiła jednak lawina. Wobec Słowenii interweniowało wojsko, w którym służyli Słowenci, natomiast w interwencji przeciw Chorwacji brali udział już niemal wyłącznie Serbowie. Szefem armii był Andrejić, Serb, któremu rodzinę podczas wojny wymordowali Chorwaci, dlatego on tak podkreślał, że nie pozwoli by powstało na nowo to wrogie państwo. Niemniej armia pozostaje zagadką, pytałem o to wielu ludzi i nikt nie był mi w stanie jasno wyjaśnić, w jaki sposób i od kiedy armia federalna stała się orężem serbskim. Informacje uzyskiwałem zupełnie sprzeczne, zająłem do oficjalnych statystyk i wyczytałem tam, że było w niej wielu Chorwatów. Być może

Serbowie zdominowali armię z prostego powodu, że jest ich 8 milionów, Chorwatów 3 mln, a Słowenców tylko 2 mln. Podobne proporcje utrzymywały się w wojsku.

R. L.: — *Jest jeszcze inteligencja...*

K. T.: — W Słowenii kierowca, który mnie przewoził przez granicę, mówił mi o Serbach zrzucanych na spadochronach, gwałcących ich kobiety. W Chorwacji w środowiskach inteligentnych, artystycznych, dziennikarskich reagowano dość ironicznie na moje pytania o ustaszowców. Spotkałem dosłownie dwie, trzy osoby — takich artystycznych *outsider'ów* — które zachowywały się powściągliwie, ale tylko w rozmowach ze mną. Presja środowiska była ogromna, wymagano skrajnej nacjonalistycznej postawy.

R. L.: — *A w Serbii?*

K. T.: — W Belgradzie byłem z tłumaczką Słowenką, która w żadnym wypadku nie mogła się do tego przyznać. Słowenska telewizja wydawała się najbardziej europejska, chorwacki program był typowo wojenny, ale dopiero to, co obejrzałem w serbskiej tv, przeszło moje najśmielsze wyobrażenia. Propaganda wojenna odwołująca się do najniższych uczuć. Licytacja, bardzo brutalna, kto wymordował więcej. Czy Chorwaci Serbów, czy Serbowie Chorwatów. Widać było, że nie ma już czegoś takiego jak międzynarodówka inteligentów, którzy najdłużej dogadują się „ponad granicami”. Więzi zostały zerwane. Byłem tam, mam wrażenie, w okresie największego szaleństwa. Codziennie telewizja belgradzka serwowała parę godzin strasznych obrazów, dzieci bez głów, kobiety z rozprutymi brzuchami. Podejrzewam, że było w tym sporo mistyfikacji, niemniej ludzie ulegali zbiorowej hipnozie. Spotykałem oczywiście w kawiarniach wzburzonych inteligentów, którzy mówili: co my tam robimy, po co nam wojna. Ale inteligencja usłużna, ta z akademii i oficjalnych wystąpień, była całkowicie za.

R. L.: — *Czy liczone, że konflikt może ulec eskalacji?*

K. T.: — Kiedy w Bośni i Hercegowinie panował jeszcze spokój, moi rozsądni rozmówcy w Belgradzie łudzili się, że w Sarajewie nie będzie ogłoszenia suwerenności, bo to byłaby

katastrofa. Wojna wszystkich ze wszystkimi. Przy każdej wiosce musiałby stacjonować żołnierz ONZ, do czego ponieważ doszło. Nowością, bardzo pożądaną, miał być nacjonalizm bośniacki. Że niby tamtejsi Serbowie i Chorwaci zaczęli mówić o sobie „my jesteśmy Bośniakami”. Wszystko to okazało się jednak iluzją. Tam żadnego regionu nie da się wyodrębnić — czy używając serbskiej terminologii „oczyścić” — etnicznie. Dlatego konflikt przebiega wszędzie. Muzułmanie, warto przypomnieć, z pochodzenia są Serbami, przeszli na islam pod wpływem Turków. Stanowią oczywiście, po paru-set latach religijnego i obyczajowego kultu, zupełnie odrębną społeczność. Ich islam nigdy nie był wojujący. Oni w tej chwili nawiązali stosunki z krajami, gdzie rządzą integryści, ale nie wydaje się, żeby konflikt przekształcił się wskutek zabiegów w wojnę religijną na szerszą skalę. Wiadomo, że w Sarajewie lądują od kilku miesięcy ochotnicy z Iranu i innych krajów muzułmańskich, ale to nie jest wojsko, tylko fanatycy. Ich obraz poprawili nieco mudżahedini afgańscy, ale bośniaccy muzulmanie, mimo wszystko, tracą w tej wojnie najwięcej. Przeważają liczebnie, jest ich ponad 40%, a kontrolują najmniej terenów.

R. L.: — *Kto wygra tę wojnę?*

K. T.: — Serbia. Serbowie, których w Bośni i Hercegowinie jest ok. 30% chcą już tylko „korytarzy” do tych terenów, gdzie stanowią większość i które kontrolują. Jest to mniej więcej 2/3 republiki. Przy okazji otaczają Chorwację. Ją z kolei Bośniacy posądzają o to, że pragnie zagarnąć obszary przylegające do jej granic, co może być o tyle prostsze, że przeważają tam Chorwaci.

R. L.: — *Klucz do „sytuacji” na Bałkanach znajduje się w rękach postkomunistycznych Serbów?*

K. T.: — Do jakiego stopnia były sfałszowane wybory, które wygrał Miloszewicz, nie wiadomo. Ale nie jest to ktoś, kto wygrywa wybory tylko dlatego, że je fałszuje. Jeszcze trzy lata temu na wiecu Miloszewicza w Belgradzie przychodziło ponad milion ludzi. Jeśli przegrał z Panicem, to minimalnie. On kogoś jednak reprezentuje. Jego maniery wydają się niekiedy surowe, ale wbrew pozorom liczy się z opinią międzynarodową. Serbia nie może pozostawać w zupełnej izolacji. W

czasie negocjacji pokojowych Miloszewicz przedstawia się jako polityk, który przywróci i utrzyma pokój na Bałkanach (i wpłynie np. na Serbów w Bośni). Serbowie na razie tę wojnę wygrywają i podpisanie umów sankcjonujących istniejące podziały na pewno im się opłaca. Targują się o małutkie skrawki ziemi, ale te partie Bośni, które chcieli mieć, mają. Ten konflikt przesłania inne. Macedonię chcą w Europie uznać wszyscy oprócz Grecji. Niedawno Grecy zażądali przeprosin ze strony pewnego ministra duńskiego, który pozwolił sobie ich za to skrytykować. Oficjalnie chodzi im o nazwę nowego kraju, żeby to nie była Macedonia. Spór, bardzo skomplikowany, sięga wojen bałkańskich i może znie-nacka objąć Bułgarię. W Wojewodinie, należy ona do Serbii, mieszka kilkaset tysięcy Węgrów. Wiadomo, że Antall posyłał Chorwatom broń przeciw Serbom, trudno powiedzieć, co z tego wyniknie. Na rozwiązanie swojego problemu — który ponad wszelką wątpliwość będzie trudniejszy niż wojna w Bośni — „czeka” Kosowo...

R.L.: — *Termin „ludobójstwo” pojawia się tylko w odniesieniu do Serbów.*

K.T.: — To prawie udowodnione. W Bośni Serbowie zajmowali te tereny, na których mieszkali również muzułmanie, natomiast bardzo rzadko było tak, że muzułmanie otaczali mniejszość serbską. Niemniej fakty są takie, jakie są. Obozy koncentracyjne powstały też w samej Serbii. Inna rzecz, która bezdyskusyjnie ich obciąża, to to, że gwałty i represje nie były i nie są wyłącznie wybrykami mętów, którzy korzystają z okazji. Za tę planowość represji, wyrzucanie z domów i zmuszanie do emigracji setek tysięcy ludzi przyjdzie Serbom chyba zapłacić.

Paryż, 1 lutego 1993

Rozmawiał Roman LEWANDOWSKI

Kraj

Przed egzaminem dojrzałości

1. Stan instytucji politycznych w Polsce zmusza do pytania, czy mechanizmy demokratyczne są dość odporne, by w nadchodzących miesiącach unieść ciężar kryzysu. W naiwnie optymistycznym oglądzie stabilność nowego ustroju wzrasta z każdym rokiem i kwartałem: im dłużej jesteśmy, tym dłużej będziemy. Obecna ekipa u władzy nie jest pierwszą w dziejach, która w taki właśnie sposób wnioskuje z przeszłości o przyszłości. W istocie jednak młoda polska demokracja teraz właśnie zbliża się do swego pierwszego egzaminu dojrzałości.

Szczególne miejsce Polski w dziejach upadku komunizmu w dawnym imperium sowieckim i w rekonstrukcji demokratycznych państwowości, wyznaczone było przede wszystkim wyjątkowo wyrazistym rozwojem społeczeństwa obywatelskiego w okresie poprzedzającym i przygotowującym przełom. Jest to teza dobrze znana i nie wymaga dowodzenia. Warto natomiast uświadomić sobie, że w nowej sytuacji ten kapitał w postaci względnie dobrze przygotowanego społeczeństwa obywatelskiego znacznie szybciej zużywał się niż odtwarzał. O różnych aspektach tego procesu pisałem w *Kulturze* wielokrotnie, właściwie nieustannie, choć pod rozmaitymi nagłówkami. Zużył się ruch „Solidarności”. Jego dawny program odłożono na bok bez wyjaśnień, rozsyłał się od rdzy przemilczenia, nowego nigdy nie przedstawiono. Jego etos przegadano, zakłamano i zdradziono, i to we wszystkich wymiarach. Politycy, którzy na ogół przesiedli się do innych tramwajów, zwykli dowodzić, że nie można było inaczej, że przyszło im konstruować „nie to i nie tak”. Ale nie wdając się teraz w rozważania o jedynej lub nie jedynej

drodze, można skonstatować, że w każdym bądź razie dla tych poczynań nie uzyskano żadnego głębszego wsparcia społecznego i że nie zadbano o równoczesną rekonstrukcję owego obywatelskiego społeczeństwa, które tymczasem kurczyło się jak skóra jaszczura. Wprawdzie na scenie publicznej pojawiają się teraz nowi aktorzy ale, jak dotąd, więcej obywateli ubywa niż przybywa. Znamionym wskaźnikiem może być fakt, że zaledwie w jednym przypadku w ciągu trzech lat udało się zgromadzić przy gminnej urnie dość obywateli (30% uprawnionych), by rozstrzygnąć referendum o odwołanie miejscowej władzy: dowód, do jakiego stopnia lokalne elity polityczne, które występują z inicjatywą, utraciły zdolność mobilizowania już nie tylko poparcia, lecz choćby zainteresowania ludności. A nie chodziło przecież w tych trzydziestu „nie zrealizowanych” referendach o żadne odległe abstrakcje, lecz o gminne konkrety. Warto zaś pamiętać, że samorząd gminny w powszechnej opinii obserwatorów i politologów jest i tak stosunkowo najżywiej funkcjonującym ogniwem władzy w całym mechanizmie demokracji w Polsce.

Oczywiście, zmęczenie trudnościami i zagrożeniami życia codziennego tłumaczy wiele z takiego obywatelskiego bezwładu. Nie tłumaczy jednak dlaczego, kiedy już do przełamania bezwładu dochodzi, rzecz dzieje się poza wdrożonymi procedurami demokratycznymi i niejako wbrew oficjalnym instytucjom lub przynajmniej obok nich i poza nimi. Tak jest nie tylko w działaniach nastawionych na konflikt z władzą, jak formalnie nielegalne strajki grudniowe, lecz również w poczynaniach jak najbardziej pozytywnych. W słynnej akcji Jerzego Owsiaaka na rzecz dzieci chorych na serce (Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy), której niespodziewaną skutecznością zdumiewała się cała prasa. Znamienne było, że społeczeństwo — zwłaszcza młode — podejmowało się w niej manifestacyjnie obrony dzieci, których nie dość dobrze broni dziurawy budżet służby zdrowia i o których — jako już żywych, nie zaś zaledwie poczętych — nie dość pamiętają wojujący moralisci. Trudno było nie dostrzec, że, choć ze strony organizatorów nie padło ani jedno słowo krytyki wobec oficjalnego życia politycznego i jego preokupacji, uczestnicy akcji zachowywali się tak, jak gdyby żyli i działali na całkiem innej planecie niż ministerstwo zdrowia, sejm, prymas czy prezydent.

Wyjaśnienia takiego rozmijania się aktywności obywatelskiej z oficjalnym życiem politycznym — a jest to fenomen znacznie istotniejszy niż zwykłe zniechęcenie czy bezwład —

należy, jak sądzę, szukać przede wszystkim w wyczerpaniu się autorytetów społecznych. Erozji tej nie mierzą, niestety, adekwatnie i wiarygodnie żadne sondaże opinii, gdyż autorytet to coś znacznie więcej i znacznie głębszego niż zwykła sympatia bądź nawet zaufanie*. Podejrzewam, że również Jacek Kuroń, według sondaży nieodmiennie najbardziej lubiany i najbardziej wiarygodny z polityków, nie jest już autorytetem dla swych sympatyków: wierzą mu zapewne, że chce dobrze i że robi, co może, czy jednak sądzą, że mu się uda i że warto za nim pójść? Politycy nie mają wszakże czego zazdrościć innym profesjom, np. biskupom. Aż 59% grudniowych respondentów CBOS było zdania, że Kościół ma zbyt duży wpływ na sprawy kraju, mimo że 19% spośród nich zaliczyło samych siebie do „głęboko”, a 77% do „raczej” wierzących. O tym zaś, by szukać wzorców lub przewodników wśród intelektualistów, pisarzy, artystów, uczonych — trudno myśleć w sytuacji, w której oni sami zwątpili i o własnej roli i o własnym zaangażowaniu. „Solidarność” rozczarowała ich zapewne jeszcze bardziej niż oni robotników.

Wyczerpanie autorytetów społecznych wykształconych w poprzednim ćwierćwieczu jest faktem oczywistym i, w pewnym sensie, nieuchronnym. Autorytety te były swoistym parasolem rozpiętym nad Polską w poprzednich latach. Zapewniły względnie spokojny przebieg reform i względnie gładkie funkcjonowanie demokracji. Ale zarazem nie przyczyniły się do takiej reprodukcji elit, by nowe autorytety mogły się pojawić. Mechanizmy demokratyczne pracują więc dziś w nijakości, tłuką sieczkę. Żaby podstawiają łapy do podkucia, ale koni nie widać.

2. Funkcjonowanie parlamentu na Wiejskiej obserwuję z bliska już od ponad trzech lat i nabieram stopniowego przekonania, że słabości tego głównego mechanizmu naszej demokracji nie wywodzą się, mimo wszystko, z jego wewnętrznych struktur. Można by zapewne lepiej i precyzyjniej

* W badaniach CBOS „Młodzież 92” jest pytanie: „Kogo spośród znanych ci osób cenisz najbardziej?”, stosunkowo bliższe naszemu problemowi, niż zwyczajowa sympatia lub zaufanie. Otóż 35% młodych 1992 nie ceni nikogo. Najwięcej, ale tylko 9%, „ceni najbardziej” Jana Pawła II, dalej zaś jest już zupełny proszek i sam ten rozrzut wskazuje, że autorytetów ogólnonarodowych nie ma w tym pokoleniu niemal wcale. Degradacja w porównaniu z rokiem poprzednim jest zresztą wyraźna.

określić stosunki wzajemne obu izb (choć jest już jakaś poprawa), można by się też zastanowić, czy i jaki senat jest w ogóle potrzebny. Na pewno dałoby się udoskonalić regulaminy, wzmocnić komisje i zrationalizować obsadę (najwięcej niepotrzebnego bicia piany jest właśnie w komisjach) i zwłaszcza nadać debatom plenarnym zrozumiały dla społeczeństwa ton i styl: mniej deklaracji, więcej wyrazistości, mniej wzniosłości, więcej uzasadnień, itd. Ale jądro problemu tkwi jednak w stosunkach parlamentu z innymi ogniwami mechanizmu rządzenia, a zwłaszcza z samym źródłem władzy, ze społeczeństwem, z wyborcą. W znakomitej większości spraw przekłada się to wszystko na problem partii politycznych. One właśnie wydają mi się najbardziej niesprawnym i najbardziej zawodnym elementem naszej demokracji w budowie. Na terenie parlamentu znajduje to odbicie w niespójności i niezdecydowaniu klubów, słabym autorytecie przywódców, „wędrówkach” między klubami i w zatarciu granic pomiędzy opozycją a obozem rządowym. Partii jest podobno 200, jako najnowsza zarejestrowała się Akcja Polska Antoniego Macierewicza. Liczy się politycznie może 10, może 15. Najliczniejsza, PSL, przynajmniej do 160 tys. członków (w porywach entuzjazmu do 220 tys.), SdRP ma ponoć 60 tys., Unia Demokratyczna 40 tys., PC 15 tys. (stan ze stycznia, w tej formacji przepływy są ogromne), Unia Pracy doliczyła się na swym zjeździe 5 tys. członków: liberałów z koalicji PPG, rozmaitych chadeków, narodowców i KPN wymieniać nie będę, gdyż nawet podawane nie zasługują na cytowanie... Zresztą, przytoczone są niewiele ściślej, to w najlepszym razie kolejność na liście. Partie polityczne w Polsce kłamią na temat swej liczebności z równym zapałem co redaktorzy naczelni o nakładach i sprzedaży — Dariusz Fikus z *Rzeczypospolitej* gorzko się na to ostatnio skarżył — ale nie tak zasadnie: redaktorzy chcą lepiej zarobić na reklamie, a czego chcą przywódcy partii? Skontrolować tych kłamstw bez pracochłonnego i właściwie bezprawnego śledztwa nie podobna; nawet *Rocznik Statystyczny* GUS przestał zamieszczać informacje o partiach i innych organizacjach społecznych (ze związkami włącznie), tylko niestrudzony Urząd Rady Ministrów nie ustaje w staraniach, by przyuczyć wojewodów do zbierania wiadomości na wzór francuskich *Renseignements Généraux* w prefekturach*. Ale on też nie wie

* Pismo Unii Pracy w Białymstoku ujawniło tę akcję URM-u. (*Przeгляд* nr 4/22-24 stycznia 1993), z powołaniem na pismo wojewody suwalskiego do przewodniczącego tamtejszej UP.

tego, czego wiedzieć nie można: większość partii sama nie orientuje się, ilu ma członków, ponieważ wbrew literze statutów, członkostwo jest pojęciem rozmytym. Polskie partie polityczne są na ogół tylko sztabami wyborczymi. Gdziekolwiek działają kluby dyskusyjne i odbywają się dyżury poselskie, które rzadko wykraczają poza tematykę interwencyjną. I nie ma w tym nic zaskakującego, nie w Polsce i nie w XX wieku wymyślono tę odmianę partyjności. Tyle tylko, że w Polsce wymyślono ją tak jak wóz w kraju bez koni: nim jeszcze wykształciły się i dotarły mechanizmy demokracji. Partie jako sztaby wyborcze to jest pomysł do zastosowania tam, gdzie istnieje już nawyk wyborów i gdzie zarazem polityka jest rzeczywiste, a nie tylko w deklaracjach działalnością usługową wobec życia społecznego, nie zaś głównym narzędziem kształtowania go. To przecież nieuchronna antynomia liberalizmu w krajach takich jak Polska, że chcąc zredukować państwo musi się tak bardzo posługiwać państwem i na nim, na jego przebudowie koncentrować. Ale nawet w krajach o bardzo wdrożonym systemie partii jako sztabów wyborczych rodzi się w okresach kryzysowych pokusa przełamania go lub przynajmniej zreformowania: wtedy właśnie w takich np. Stanach Zjednoczonych pojawiają się „trzęsienie partii”, a na arenę polityczną wdzierają się lawinowo rosnące „ruchy społeczne” (*Action for...*), często skoncentrowane na jakimś jednym problemie do rozwiązania. Najogólniej mówiąc, partie w takim kształcie, w jakim istnieją dzisiaj w Polsce, nie wystarczają na ogół do komunikacji ze społeczeństwem dostatecznie intensywnej i dwukierunkowej, by utrzymać mechanizmy demokracji w bezpiecznych granicach temperatur. Pokusa populizmu, o której tak teraz głośno, nie rodzi się tylko z rozczarowań, frustracji czy zawiści: populizm to krzyk pozabawionych głosu, nie zakneblowanych wprawdzie, ale niesłysalnych.

Najnowszym „ruchem społecznym”, który zafundowała sobie polska demokracja jest, jak wiadomo, ruch obalania prezydenta. Nie ma potrzeby, a ja nie mam ochoty powtarzać tutaj tego, co pisałem wielokrotnie również w *Kulturze*, o jego ideach i jego leaderach. Trzeba jednak zauważyć, że, jak dotąd, przeciwnicy tego ruchu wyobrażają sobie, iż zaradzą problemowi zaostrażając po prostu prawo prasowe i wprowadzając na dodatek do wartości chrześcijańskich i racji stanu wzmoczoną ochronę czci polityków i osób publicznych. Przed poetyką aluzji, która przez pół wieku karmiła polską literaturę, teatr i kabaret, otwiera się nowa przyszłość!

3. Adam Michnik w rozmowie opublikowanej w *Polityce* (6/1993) tak oto określił system wartości *Gazety Wyborczej*:

„Po pierwsze, jesteśmy bardzo niechętni wszystkim tendencjom populistycznym, choć nie brak nam wrażliwości na biedę i krzywdę ludzką. Druga kwestia to stosunek do Kościoła, jesteśmy bardzo przeciwni — nazwijmy to tak — ewangelizacji przez przymus ustaw państwowych (...) Sprawa trzecia to stosunek do dekomunizacji. Jesteśmy wrodzy jakimkolwiek resentymentom komunistycznym, jesteśmy szczęśliwi, że dożyliśmy końca PRL-u. Uważamy, że zmiany, jakie w Polsce zaszły, są pozytywne. Natomiast obcy jest nam duch absolutnej wrogości i obcy ten agresywny, z istoty bolszewicki, sposób myślenia, demonstrowany przez wielu tzw. dekomunizatorów. Nie jesteśmy za amnezją, ale też nie za ślepą nienawiścią. W tej sprawie zajmujemy wyraziste stanowisko, a mnie wręcz oskarża się o przesadę. I wreszcie sprawa czwarta: mamy bardzo wyczuloną wrażliwość na coś, co jest godnością narodową. Jesteśmy, moim zdaniem, dalecy od narodowego samochwalstwa, ale też bardzo uważamy, by nie urazić niczyjej godności narodowej. Nie szukamy kompensacji dla własnych urazów w poniżaniu innych”.

Polityka nie byłaby sobą, gdyby nie zauważyła, że „w tym katalogu nie znalazła się modernizacja Polski, jej 'europeizacja' jako wartość”. Ja bym pociągnął rzecz inaczej — w inną, choć bynajmniej nie przeciwną, stronę: dlaczego w tetralogu redaktora naczelnego *Gazety Wyborczej* stara, dziewiętnastowieczna jeszcze „kwestia socjalna” została zredukowana do wtrętu o „wrażliwości na biedę i krzywdę ludzką”, czyli do rodzaju jałmużny? Otóż nie sądzę, by ze złej woli. Natomiast na pewno z bezradności, która stała się udziałem ogromnej większości intelektualistów o — powiedzmy — lewicowej wrażliwości społecznej (nikogo, mam nadzieję, nie urażę tym określeniem) i zarazem wyposażonych w godne szacunku poczucie odpowiedzialności. „Kwestia socjalna” w Polsce konstruującej kapitalizm po socjalizmie realnym u schyłku XX wieku na pewno przypomina kwadraturę koła. Ale...

Ale — po pierwsze, aby rzecz uporządkować — jest właśnie sprawa wartości. A wartość w perspektywie otwartej na drugiego człowieka to jest coś, co się jemu należy, i ta należność musi być uznana. 22 stycznia głosowano w sejmie nad zgłoszonym przez Sojusz Lewicy Demokratycznej projektem Karty Społecznej i Ekonomicznej, uzupełniającej wniesioną przez prezydenta Kartę Praw i Wolności o uprawnienia

socjalno-ekonomiczne. Projekt odrzucono w pierwszym czytaniu (tj. nie skierowano do komisji) 190 głosami przeciw 139 przy 27 wstrzymujących się. Prawica głosowała jednolicie za odrzuceniem, co zrozumiałe zarówno ze względu na cel, jak i pochodzenie projektu. Ale przeciw projektowi głosowała też NSZZ „Solidarność” (*sic!*) oraz Unia Demokratyczna z wyjątkiem czterech posłów (Radosław Gawlik, Jerzy Kopania, Jacek Kuroń, Barbara Labuda*). Niektórzy z jej deputowanych, zapewne również „wrażliwi na biedę i krzywdę ludzką”, tłumaczyli, że Karta dawałaby uprawnienia nie do zaspokojenia. Nie byłoby to zgodne z „etyką odpowiedzialności”, a przypominało „komunistyczną propagandę”.

Trzeba by więc najpierw stwierdzić, że proklamowanie określonych wartości (jako tego, co się należy innemu) ma samo w sobie wpływ na rzeczywistość, niezależnie od doraźnej wykonalności. Tym z rozgorzałych antykomunistów, którzy być może nie pamiętają, na czym przez długie lata zasał się opór społeczny, przypomnę, że między innymi na odwołaniu do rozbieżności pomiędzy ideami a rzeczywistością, zapisami a faktami i ...przeciw faktom. Komunistycznej konstytucji bronili nieraz antykomuniści...

Ale — teraz po drugie — niewiele się rozumie z etyki odpowiedzialności jako przeciwstawnej etyce przekonań sądząc, że pierwsza to po prostu nastawienie na zewnątrz, na głos sumienia czy tożsamość własną. Obie są uwikłane w czas i w nim spotykają się i zderzają z działaniami innych i z efektami działań własnych jak interferujące kręgi fal na jeziorze. A to trudniej wyliczyć niż w fizyce. Toteż rzeczywiście odpowiedzialny moralista wie, kiedy nie wie. Wtedy jednak najlepiej przyświecić sobie latarką przekonań...

I najważniejsze, po trzecie. Zapisy praw, zwłaszcza konstytucyjnych, i w ogóle całe funkcjonowanie mechanizmów reprezentacji demokratycznej powinny służyć pobudzaniu aktywności obywatelskiej, nie zaś jej usypianiu, jak nieraz wydaje się politykom w trudnościach. Takie usypianie i zastępowanie, swoisty paternalizm polityków wobec społeczeństwa, źle się kończy dla demokracji, zwłaszcza wówczas, gdy sytuacja jest trudna, życie ciężkie, a po wszystkich zaułkach biegają populisci z kołatkami.

Przekonanie, że nasz system partyjny okazuje coraz wyraź-

* Dla porządku zaznaczę, że z NSZZ „Solidarność” połowa posłów nie uczestniczyła w głosowaniu, a z Unii Demokratycznej też kilku „wyparowało” z sali.

niej oznaki niewydolności, toruje sobie drogę w „obozie antypopulistów”, ale to nie znaczy, by gotowi oni byli zrezygnować z paternalizmu. W czerwcu 1992 CBOS przeprowadził charakterystyczne badania, według których aż 82% respondentów uważa, że „ludziom w Polsce bardziej zależy na tym, aby nimi dobrze rządzono” niż „na tym, aby sami uczestniczyli w rządzeniu”, a tylko 9% jest przeciwnej opinii (pytani wprost, czy sami woleliby pierwsze czy drugie, odpowiadali jeszcze wyraźniej w proporcji 86:7). Łatwo dostrzec, że samo przeciwstawienie w pytaniu decydowało o wyniku: respondenci w ślad za pytającymi nie zauważyli, że istnieje jakieś *iunctim* pomiędzy jakością rządów a uczestnictwem i że jak w starym dowcipie żydowskim Moniusz może nawet nic nie mówić, kiedy przez dziesięć lat wszystko jest w porządku, aż któregoś dnia wrzaśnie: „gdzie jest kompot?!” Otóż kompotu nie ma, jest za to Kaczyński, który ma bardzo przystępny przepis na obiad.

Respondenci CBOS, a zapewne pytający również, rozumieją przez „rządzenie” działalność fachową, techniczną, coś w rodzaju wyrwania lub wprawiania zębów. Wraz z odrzuceniem „ideologii” przywykli najwyraźniej odrywać rządzenie od wyboru wartości, który dokonuje się (jeśli w ogóle nie jest już przesądzony) całkiem gdzie indziej, na ambonie, w książce lub nawet na trybunie parlamentu, ale na pewno nie w rządzie, zwłaszcza takim jak rząd pani Suchockiej, programowo aideologiczny. Stąd też pretensje wygłaszane publicznie i w ślad za nimi propozycje zaradzenia niewydolnościom systemu partyjnego koncentrują się w zasadzie wokół dwóch kierunków: odwołania fachowców i odwołania do interesu grupowego. Każda z obu tendencji ma przy tym różne warianty. Coraz to słychać o rządach eksperckich, prezydenckich i nieprezydenckich oraz o reprezentacjach interesów grupowych o mniej czy bardziej korporatywnym charakterze. Stefan Bratkowski kontynuuje swoją naiwnie sentymentalną pochwałę fachowców, Andrzej Szczypiorski jako surrealista chce zakładać partię inteligentów. Użyte określniki nie oznaczają, by nie było w tych pomysłach elementów racjonalnych. Sposób, w jaki władza w Polsce we wszystkich swych ogniach „korzysta” z porad i ekspertyz fachowych może budzić wzburzenie. Ekonomiczne wyniszczenie warstw inteligenckich, zwłaszcza twórczych, może uprawdopodobnić odwołanie do elementarnych interesów bytowych „sfery budżetowej”. Ale główna słabość tych pomysłów polega na tym, że takie same lub podobne już funkcjonują — i że to

niewiele pomaga. W szczególności reprezentacje interesów grupowych lub businessu, unie właścicieli, ludowcy ministra Jankowskiego i nawet liberałowie z KLD, partii zdawałoby się odpowiedzialnej, mnożą w ostatnim czasie inicjatywy tak bezczelnie egoistyczne i jednostronne (aż po dochodowy podatek liniowy — KLD), że najwyraźniej nie obliczone nawet na pertraktacje, lecz tylko na demagogiczną kampanię wyborczą. Populizm niejedno ma imię.

Autentyczną perspektywę przebudowy polskiego systemu partyjnego dać mogą tylko inicjatywy, które zdołają powiązać mobilizację społeczną z długofalową perspektywą programową. Polska ciągle jeszcze wybiera, w jakiej będzie chciała żyć cywilizacji i jakie ma być polskie państwo: przypomniiała o tym kampania o referendum w sprawie ustawy antyaborcyjnej. Zarazem przegrana i wygrana: ustawa będzie, ale jej złagodzenie w ostatniej chwili zawdzięczać należy w sposób oczywisty sukcesowi „komitetów Bujaka” w zbieraniu podpisów. Na 28 lutego zapowiedziano zjazd, który miałby zdecydować o przyszłości ruchu.

Równoległe, w końcu stycznia, ukonstytuowała się Unia Pracy, której komitety istnieją już w kilkudziesięciu miastach w Polsce. Za parę miesięcy, kiedy władze UP przedstawią opinię szczegółową, konkretny program gospodarczy, okaże się, czy możliwa jest autentyczna alternatywa obecnej polityki bez zatracenia wartości, do których się przyznają najlepsi ludzie aktualnej koalicji.

Tymczasem jednak jest, jak jest, i dotychczasowy system partyjny trzyma się nieźle. Wedle grudniowych badań Demoskopu ewentualne powstanie partii prezydenckiej i koalicji wokół RdR Olszewskiego nie przewróciłoby rezultatów wyborczych: wyznawcy Wałęsy dostaliby niespełna 9% (za UD i PSL) a RdR niespełna 3%. Nie wiadomo jeszcze, co zmieni w tym obrazie awantury lutowe.

Warszawa, 9 lutego 1993

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Gdy opuszcza się Warszawę, samochód jedzie w szpale-rze willi podłączonych do małych prywatnych zakładów. Wille są w stylu „ciężki dworek ochronny”, bo to jest właśnie polski styl końca XX wieku. Lepsze to od stylu „bunkier wypoczynkowy” lat 60-tych i 70-tych, ale wielką wadą jednych i drugich jest przerażająca solidność materiałów, z których zostały zbudowane, czy raczej wymęczone. Bo przecież domy prywatne nie były budowane, a wymęczone, wyszarpywane, wymuszane i wyludzone z całkowitej budowlanej niemożności. Wśród tych materiałów budowlanych królują beton, a to gwarantuje, że ich brzydota przetrwa trudne czasy i będzie szpecił krajobraz w czasach dobrych, w które wierzę mimo chorobliwego pesymizmu.

Tu otwiera się temat klęski całej architektury XX wieku, niezwykle formy tej klęski w krajach absurdu politycznego i gospodarczego, nieuchwytny ale nieunikniony wpływ życia w brzydocie na sferę duchową, na stosunki między ludźmi. I pytanie, dlaczego właśnie w Polsce klęska architektury i budownictwa przybrała tak bolesną formę, a zarazem tak powszechnie przez Polaków niedostrzeganą, co świadczy o trwałym już okaleczeniu. Na to pytanie dostałem kiedyś odpowiedź od grupy naszych architektów — och gdyby mogli tak głęboko i pięknie budować, jak mówią. Polską architekturę zniszczył nie tylko socjalizm, ale — o paradoksie — że był on u nas stosunkowo łagodny, więc dawał większy margines wolności, również dla architektury. Ten margines jak dzikie mięso okazał się dla architektury katastrofą.

Zajeżdżam do malutkiego miasteczka. Byłem tu ostatnio prawie trzy lata temu, a więc nie widzieliśmy się przez czas budowania wolności. Miasteczko było kiedyś polsko-żydowskie, kto zna powieści Henryka Grynberga, może go dotknąć ręką. Rynek, poza którym zresztą wiele nie ma, spity kościołem z jednej a barem alkoholowym z drugiej strony. Doprawdy patrzą sobie w otwarte, w zamknięte usta. Jest wilgotny prawie mroźny półmrok. Domy przekrzywione i w lizajach, czyli nic się nie zmieniło. Z biodra Domu Kultury wystaje ramię satelitarnej, która mówi: jesteśmy mali, biedni i nieładni, ale nowocześni. Za kościołem cmentarz.

Niewiele więcej. Przyciąga mnie nieodparcie bar alkoholowy. Tak, ów zapach można by przemycać z tej części Europy jak niezwykle narkotyk, to mieszanina potu, moczu, alkoholu i skondensowanych duchowych emocji. Zanurzam się w tym nie bez odrazy, chociaż zarazem nostalgicznie. „Tu nie Ameryka, tu drzwi się zamyka” — słyszę skrzekliwie, ale serdeczne słowa. Ich autor ma kartofel nosa tonący w balonikach krwistych policzków i szczecinę zarostu, o tak, jestem nareszcie wśród nieludzkich gąb naszej prowincji. Kto widział film „Gwiazdne wojny”, pamięta bar alkoholowy na jakiejś osobliwej planecie, gdzie pili mieszkańcy różnych zakamarków kosmosu, stwory nieludzkie, gęby niezemskie. Otóż bar alkoholowy w ojczystej mieścinie niewiele ustępuje osobliwościom tej karczmy.

Jadę dalej, ślepo w mrok, by dostrzec nieoświetlone furmanki. Dlaczego zdawało mi się, naiwnemu, że nasi chłopcy w ciągu trzech lat wolności oświetlą swoje furmanki, skoro nie oświetlali ich od tysiąca lat?

Miasteczko Z., gdzie się zatrzymuję, ma coś ponad 10 tysięcy mieszkańców. Kolega lekarz jak zwykle ciepły i serdeczny. Lubi ludzi, jest optymistą. Nareszcie optymistą, myślę. Przestaję się dziwić, kiedy oglądam jego okazały dom, wyściełany drewnem, z sauną. W lecznictwie państwowym jest jednym palcem u nogi, otworzył prywatną praktykę i powodzi mu się znakomicie. Był trochę naszym doktorem Judymem, ale czasy takie, że nawet doktor Judym musi pójść na bok i coś dorobić. Opowiada, że koledzy lekarze za Boga nie chcą prywatyzacji lecznictwa, bo oni przecież sprywatyzowali się już dawno w ramach państwowej służby zdrowia, co ma same zalety, dla nich oczywiście, nie dla pacjentów. Chirurg za mały zabieg bierze 3 miliony.

— „A jak biedny pacjent nie ma na łąpówkę?” — pytam naiwnie. Kolega lekarz grzebie w pamięci: „Wtedy chirurg przy pacjencie woła innego lekarza — słuchaj, to ty go weźmiesz na stół!

— Ale ja nigdy nie robiłem woreczka — krzyczy z aktorskim przerażeniem zagadnięty.

— Nic nie szkodzi, jakoś sobie dasz radę...

Zrozumiałem, że po wysłuchaniu takiego dialogu tylko samobójca nie wycisnie ze swojej biedy pieniędzy. W miasteczku jest jeden duży zakład, skazany dzisiaj na obumarcie. Dom Kultury praktycznie zamienił się w kino. Księgarnie pełne chłamu, poważne książki tylko czasami trafiają do niektórych warszawskich sklepów, na prowincję już nigdy. Otwar-

to za to 10 wypożyczalni video. Poza tym są dwa kościoły, jedna kręgielnia. Skąd zautomatyzowana kręgielnia w małym miasteczku? Toż to jak przybysz z innego świata? Okazuje się, że towarzysz Gierek, który zastał Polskę murowaną, a chciał ją zostawić betonową i elektroniczną, postanowił w ramach sprawdzania zachodniej cywilizacji obdzielić kraj kręgielniami. W czasach centralnego planowania centralnie zaplanowano, że właśnie miejscowość Z. otrzyma ten luksusowy podarunek. Kręgielnia właściwie od swych narodzin stoi zamknięta, nie przystawała do tego jak się wypoczywa i relaksuje w Z. A nowe czasy bynajmniej tego nie zmieniły, chociaż śmiertelna nuda jest nadal dramatem całej naszej prowincji. Ta nuda zalewana jest alkoholem i farbowana strumieniem filmów na video. Zdumiewające, jak ta rzeka obrazów cywilizowanego świata przepływa obok, prawie nie zmieniając prowincji. Stoją nad jej brzegiem jak rybacy, którzy nawet gdy coś złowią, wrzucają szybko z powrotem do rzeki. W miasteczku nikomu nie przyszło do głowy, że można by się złożyć i zbudować basen, czy korty tenisowe. Mówię: „Przecież jest tu grupa zamożnych ludzi, stwórcie przynajmniej dla siebie jakiś klub, a to stanie się potem przykładem dla miasta, może elitarnym i bolesnym, ale tak przecież powstają wzorce”.

Dziwi się, że nikt na to nie wpadł — „to nawet dobry pomysł, ale jesteśmy w jakimś bezwładzie” — wyjaśnia.

Potwierdzają ten bezwład moje obserwacje. Bierność i całkowita niemożność zostały ujawnione przez nowy czas. Kiedy mówi się ludziom: bierzcie wszystko we własne ręce — są spłoszeni jak dzieci, od których wymaga się aktywności dorosłych. I to jest niestety jeden ze śladów rusyfikacji. Kiedy jednak mówimy o naszej rusyfikacji, zwykle szybko weryfikujemy to pojęcie, widząc żywą Rosję i żywych Rosjan. Przybywający stamtąd są wstrząśnięci naszą europejskością. A Rosjan spotyka się już wszędzie, nawet w miasteczku Z. tworzą obszerny targ, który nadspodziewanie harmonijnie wtapia się w tradycyjne polskie targowisko. Podobno Rosjanie mają w miasteczku wiele wynajętych domów i mieszkań, gdzie przyjeżdżają ze swoim towarem, gnieźdzą się tam po kilkanaście osób. Kiedy mroźnym rankiem spaceruję wśród szpalerów rosyjskich handlarzy, moje ucho łowi szum ich śpiewnej mowy, przytupują, klepią się po ramionach, pojadają, popijają z termosów, błyszczą złotym i srebrnym zębem. I czegoż oni nie sprzedają! Jest tu doprawdy całe ubóstwo rosyjskich sklepów, od majtek, naczyń po obcigi.

Kupuję jedynie nożyczki za 4 tys. złotych, a kolega lekarz nabywa narzędzia chirurgiczne; mówi, że ostatnio dla jednego szpitala zupełnie oficjalnie zakupiono stos narzędzi, bajecznie tanio. Cały handel na wielką skalę zabija polskie sklepy „1001 drobiazgów” i podrzyna gardło naszemu rzemiosłu. Ale u Rosjan można kupić też przedmioty, których nie zaferuje żaden polski sklep. Oto zawinięty w szmatki jak niemowlę śpi karabin maszynowy, nawet nos mu nie wystaje, zaś granat udaje pocziwe jajko. Kolega lekarz właściwie chciałby mieć taki karabin maszynowy, niedawno nabył pistolet, ale czy to wystarczy?

Chodząc uliczkami natrafiamy na kilku chwiejnych obywateli. A już mi się zdawało, że pieniądź, który stał się u nas prawdziwy, zaczął ograniczać ten narodowy nałóg. Ale na pomoc przybyli Rosjanie, wódka przybywa tu w kanistrach, a czasami w cysternach i żadna statystyka jej nie obejmie. Na wsi pije prawie 100% populacji, w miasteczku co najmniej 80%. Rozmawiamy, że powinno to być wielkim wyzwaniem dla Kościoła. Ale wedle obserwacji mieszkańców Z. księża tyle energii poświęcają na zbieranie pieniędzy i na wystawne życie, że już nie mają czasu na takie głupstwa jak alkoholizm. Zresztą Kościół jest dzisiaj zaabsorbowany walką o życie milionów nienarodzonych Polaków, którzy mordowani są w postaci płodów. Zaczęto nawet używać pojęcia *holocaust*. W miejscowości Z. ludzie prości rozumieją to bardzo prosto. Alkoholicy mają zwiększyć produkcję dzieci uszkodzonych genetycznie. Aborcję będzie się robić jak niegdyś, domowo, są jeszcze kobiety i są baby, co pamiętają i nauczają. Dla nieco bardziej wymagających będą wycieczki za wschodnią granicę, to przecież niedaleko. Tam już podobno stawiają szalasy aborcyjne. A żony notabli po perskich dywanach zejdą do aborcyjnego podziemia, gdzie powita je serdecznie elita lekarska Z.

To jedno z typowych mazowieckich miasteczek. Są podobno osady w Poznańskim czy na Mazurach, gdzie buzuje nowe życie i prawdziwa *prosperity*. Ale okolice Warszawy od A do Z wyglądają tak właśnie.

Już w stolicy odbyłem wiele rozmów „aborcyjnych” z ginekologami i anestezjologami. Twierdzą, że po wprowadzeniu ustawy staną się szybko miliardami. I pomyśleć, że z ekonomicznego punktu widzenia aborcyjne podziemie to jedyna szansa dla Polski. Inaczej nastąpi gwałtowny przyrost naturalny, urodzą się tysiące dzieci uszkodzonych genetycznie, trzeba będzie zbudować tysiące sierocińców, wprowadzić

specjalne zasiłki. Nawet połowy tych ciężarów polski budżet nie udźwignie. Czyli jeśli nasz moralny sejm uchwali ustawę antyaborcyjną i chce być moralny po jej wprowadzeniu, musi zagwarantować cały pakiet świadczeń i zabezpieczeń socjalnych. Ale na to już nie ma czasu ani pieniędzy. Nasza moralność ma więc za krótką pierzynę, a co wystaje jest doprawdy okropne.

Napisałem i wkrótce potem ustawę uchwalono. W formie nieco złagodzonej. Ofiara gwałtu jednak będzie mogła dokonać zabiegu, i niewiele więcej. Ustawę jednak może teraz poprawić Senat, aby była znowu w pełni moralna, i podobno nie jest wykluczone, że to uczyni. Ten temat doprawdy staje się śmiertelnie nudny, chociaż gdyby uruchomić w nim metafizykę i pomyśleć o przyszłej rozmowie z pokoleniem, które się narodzi z tego zakazu...?

Wielkie strajki górników zaczynają być niebezpieczne dla gospodarki i dla rządu. Cała sprawa ma wymiar antycznego dramatu. Bo wszyscy w tym sporze mają rację, a los i tak pójdzie swoją drogą. Większość kopalni powinno się zamknąć dla dobra ekonomii, ale co zrobić z całym Śląskiem? Jak wymagać od górników, by rozumieli konieczność utraty pracy, dachu nad głową i sensu życia? A wytłumaczyć im cokolwiek bardzo trudno, bo chociaż ciągle słyszą, że nie ma na nic pieniędzy, to na własne oczy widzą marnowanie pieniędzy i niekompetencję. Ale widzą jeszcze więcej. Oto z wielkim hukiem poprzedni rząd ogłosił, że prawie wszyscy polscy parlamentarzyści i politycy to agenci. Okazało się potem, że jest to prawda tylko częściowa, ale sprawa do dzisiaj nie została wyjaśniona, więc każdy może myśleć co chce. Pieniądze jakie połknęły finansowe afery — ich też jakoś zupełnie nie można oświetlić (i już nawet nie wiadomo, czy ich bohaterowie to malwersanci, czy ludzie wielkiego interesu) — te pieniądze pozwoliłyby zmodernizować kopalnie. I dopiero co ujawniono, że ludzie, w których rękach spoczywa los kraju, zajmują się głównie piciem i ganianiem gołych bab po sejmowych hotelach. To też zapewne nie cała prawda, ale nikt przecież nie sprostował tych oskarżeń (to wstrząsające, ale tak w sprawie lustracji jak i łózkowych skandali Anastazji P. nie wytoczono ani jednego procesu!). A zupełnie ostatnio telewizyjna kamera przyłapała posłów, jak głosowali za nieobecnych kolegów. Nic się nie stało, bo przecież posłowie są nietykalni. Więc doprawdy, czemu górnicy mają wierzyć lubieżnikom, agentom i oszustom?

Mój znajomy, który odwiedzał niedawno sejmowe stółki, był poruszony jak ci ludzie niczego nie nauczyli się mimo ostatnich lekcji, jak zupełnie są już oderwani od realiów kraju, jakby parlament gdzieś poszybował w niebyt, jak nadal piją i wbrew oczekiwaniom wcale nie stronią od młodych i dobrze wyglądających niewiast. To ostatnie doprawdy wydaje się zrozumiałe i ludzkie.

Po czterech latach i piętnastu dniach powtórka politycznego meczu „bokserskiego” Wałęsa-Miodowicz (dawny szef OPZZ i członek Biura Politycznego). Wtedy to spotkanie było sensacją, bo rządzili jeszcze komuniści, a Wałęsa po raz pierwszy od stanu wojennego mógł się zmierzyć z reżimem, jak św. Jerzy ze smokiem. Zamiast smoka trafił na człowieka umysłowo ociężałego i pojedynek wyraźnie wygrał. Pamiętam, że wtedy Wałęsa okazał się przy swoim przeciwniku orłem, ale orłem bez piór. Aż boję się w myślach wyszukać metafory do obecnego spotkania. Przegrali obaj. Jeśli było ono potrzebne, to tylko po to, by skompromitować, już chyba nie Miodowicza — wyglądał na człowieka od dawna skompromitowanego, umysłowo ograniczonego i właściwie w klinicznej depresji. Niby przyjął postawę bokserską, ale zaraz poleciał w ramiona Wałęsy i chciał mu dać pod wąsem buzi. Wałęsa najpierw się nastroszył, a potem jednak rozkrochmalił i odwzajemnił pieśczęotę. A poza tym Prezydent obnażył głównie swoją próżność, nie stymulowany przez Miodowicza wypadł bladziutko, myśl snuła się jak wysychający strumyczek, a i zwykłej swady zabrakło.

To nie jedyna przykreść jaka mnie spotkała w telewizji. Oto w rocznicę grudnia 70 pojawił się na ekranie minister Wachowski, prawa i lewa ręka Wałęsy, a mówi się, że też jego uszy i oczy. Elegancko ubrany, śmiertelnie poważny, wystąpił jako żywa historia przypominająca narodowi jego własne zapomniane heroiczne dzieje. Sam Wachowski znany jest z tego, że nie ma przeszłości, a przynajmniej zaskakująco mało o niej wiadomo. Teraz już ma przeszłość, szedł w drugim szeregu. Mówił jak aktor komediowy przez pomyłkę przeznaczony do dramatycznej roli, której się nie nauczył. Jego naturalna rola jest wesoła, swojacka, ale i w nim obudził się lew męża stanu (bardziej chyba jednak mąż rodziny Prezydenta niż stanu, a i do lwa daleko). Monologi dygnitarza były wzmacniane dokumentalnymi zdjęciami z tamtego czasu, zdjęcia rzeczywiście poruszające, tym bardziej całość była skrobaniem noża po suchej patelni.

Jak podaje *Trybuna*, lider PC. J. Kaczyński na konferencji prasowej w Nowym Sączu ujawnił, że niebawem ukaze się, oczywiście w BGW, książka o życiu Wachowskiego, napisana przez młodych dziennikarzy. Były przyjaciel Wałęsy nie powiedział, czy sam ich wynajął i opłacił za napisanie dzieła o przyjacielu prezydenta obecnym. Jeden z autorów miał być wedle Kaczyńskiego trzykrotnie pobity przez nieznanymi sprawców. Przyjemnie. Myślałem, że to koniec, ale nic z tego. Nowa sensacja. J. Kaczyński twierdzi, że ma dowody iż Wachowski w roku 75 ukończył kurs w szkole SB. Szykuje się proces, Kaczyński jest nawet gotów iść siedzieć za sprawę. Ale to nie koniec sensacji, były Minister Obrony Narodowej twierdzi, że Prezydent Wałęsa chciał nielegalnie od rosyjskiej mafii zakupić głowice nuklearne. Jak twierdzi Parys, propozycje prezydenta o zdobyciu broni nuklearnej przekazał mu admirał Wawrzyniak (ówczesny szef Wojskowych Służb Informacyjnych). „Wawrzyniak przekonywał, że nie będziemy musieli za to płacić, bo z krzaków wyskoczą komandosi i załatwią handlarzy, a pociski my przejmujemy”. To jest, na Boga, relacja byłego Ministra Obrony! Watergate to przy tym pestka, ale „tu nie Ameryka, tu drzwi się zamyka”.

Po kilku dniach znowu powinienem napisać, że to nie koniec. Belweder i okolice, Kaczyńscy, Macierewicz i okolice, wspinają się na coraz wyższe schody pomówień, podawane są do publicznej wiedzy numery agentów, czyli całej belweder-skiej góry, nawet książd Cybula ma być agentem, i oczywiście obecny szef MSW. Z kolei rzecznik prezydenta nazywa swoich adwersarzy insektami, które buszują w szparach chodnika. Najgorsze, że pod zwałami pączkującego paskudztwa leży gdzieś prawda, ale nie otworzy już ust, bo się zadławi. Kto wie, co z tego wszystkiego wyniknie? Jedyne pociecha, że ekonomia zdaje się pomału uniezależniać od szaleństwa naszej polityki.

Przyjechał mój przyjaciel, nie było go w Polsce, trudno uwierzyć, ponad dwadzieścia lat. Emigrant z 68. Pamiętam dworzec gdański, peron w półmroku, zresztą może to był dzień a zmierzch jest tylko w mojej pamięci. Pamiętam wtedy jego rozpacz i obręcz absurdu na swojej szyi. Kiedy pociąg ruszył, poczułem, że peron też odjeżdża. Minęło prawie ćwierć wieku. On jakoś wyszedł na swoje, może nawet bardziej niż my, którzy rzeczywiście z tym peronem zajechaliśmy daleko do tyłu. Mieszka w Los Angeles w nogach na-

pisu Hollywood. Przyjechał po długich wahaniach, przerażony spotkaniem z czasem.

Usiedliśmy w jakiejś nowej restauracji na Nowym Świecie, jednakowo nam nieznaomej, a niczym nie różniącej się od tysięcy tego typu lokali na Zachodzie. Powiedziałem nieśmiało do kelnera, że muszę zadzwonić, a ten giętym ruchem podał mi przenośny telefon i ukłonił się. Mój przyjaciel uniósł nieco brwi, a ja udawałem, że nie jestem zaskoczony. Potem wymienialiśmy strzępki ze swojego życia, jak zwykle w takich przypadkach trochę przerażeni trochę speszzeni, że tak niewiele zostaje po tak wielu latach. Potem spacerowaliśmy po mieście. On dziwił się temu wszystkiemu co tak się tu zmieniło, i temu co tak bardzo się nie zmieniło. Europa zachodnia zakorzeniła się nierównymi i rzadkimi pasmami, wyprysnęła dziwnymi naroślami na dawnym gruncie.

Już w domu, mój syn który jest w wieku nas gdy poznaliśmy się, spojrzął na nas z góry, potem przysłuchiwał się naszym wspomnieniom, i nagle powiedział, że nie wie dlaczego, ale te nasze opowieści wydają mu się czarnobiałymi zdjęciami w filmie z lat 60-tych. Zapewniłem go, że kiedyś nasz „film” był kolorowy, a tylko tak wyblakł od upływu czasu.

Przybyła potem nasza wspólna znajoma, też ogromnie dawno nie widziana, z obszernym i prawie doskonałym odciskiem dawnej urody w twarzy. Idziemy razem do ekskluzywnego klubu dla ludzi bogatych, ja bogaty tylko duchowo.

Od razu wpadam na X. Dawne lata, ależ to był nieznośny facecik... a teraz, proszę bardzo. Właściwie zawsze go lubiłem, był polskim cwaniakiem, czyli z gestem, był chępliwym szlachcicem co dla honoru brał się od razu do szabli, a komuny nienawidził z całej duszy, nienawiścią o tej samej barwie i zapachu co moja. To jednak było jakieś braterstwo. Po 13 grudnia wziął udział w naszej wojnie, oczywiście po dobrej stronie. Oprowadza mnie po klubie, tu korty, tam sauny i sale mięśniowych przyjemności, bilardy, barki i restauracje. Spotykam na tym przyjemnym szlaku znanego artystę M. Speszony nie na żarty, tłumaczy się ze swojej tu obecności. „Bez przesady przyjacielu”, pocieszam go, „takie czasy, póki cię jeszcze widać z ich kieszeni, nie jest źle”. Zasiadamy i na skinienie dłoni, służba przynosi kubelki z whisky i kubelki z apetycznym spiętrzeniem kostek lodu. Muszę zadzwonić, więc udostępnia mi pokój z telefonem, którego używa właśnie ktoś z obsługi, X. czyni dłonią ruch wymazujący i człek się w tajemniczy sposób rozplywa, a słuchawka jest w moim ręku.

Zasiadamy do picia, a X. staje się moim Cyceronem. Prezentuje teraz najbogatszych ludzi w Polsce, pokazuje palcem, i tak po kolei dowiedziałem się, kto na czym lub na kim dorobił się. Przemysł ikon był doprawdy najpocześniejszy w tym spisie. „Tego widzisz, biegają jeszcze kilka lat temu z pałą. Tamten niestety był pułkownik SB, ale nie ma dużych grzechów, dlatego ma wstęp”. I dowiedziałem się, że interesy interesami, ale klub próbuje dbać o kościec moralny i próbuje dawną komunę stąd przepłaskać. Ale to moralność powiedzmy częściowa, uosobiona w słowach: „Ten siedział cztery razy, ale porządny człowiek, komunie się nigdy nie sprzedał”.

Skoro zakończyliśmy zwiedzanie naszych miliarderów, bo milionerami jesteśmy już przecież wszyscy, pytam o szanse naszej gospodarki. W końcu on sam też już wielki biznesmen. A wokół jak w wielkim wesołym akwarium pływają nasze największe finansowe rekiny. Nie wierzy w skok gospodarki, bo interesy jakie się teraz robi, to wszystko jest szwindel, inaczej nie opłaca się. Więc nie ma wątpliwości, że to wszystko musi szlag trafić. Największy kłopot z rosyjską mafią, z nimi człowiek nie dogada się. — „To są zwierzęta, dziecku ukręca głowę jakby była cebulka”. Opowiada, że to oni tworzą grupy „inkasentów”, czyli bojówki wymuszające od dłużników długi. W każdej chwili do wynajęcia, oferują swoje usługi w gazetach. Polska ma setki tysięcy małych interesów i niemal tyłuż dłużników, więc jest od kogo wymuszać. „Jak faceta za uszy powiesz nad płonącym kominkiem, to już tylko nogą może przytupać, że zapłaci”, mówi X., który sam miał kiedyś z nimi do czynienia. — „Podeszło dwóch, jeden miał w ręku brzytwę, drugi granat, chcieli samochód, wszystko w centrum miasta. Od razu oddałem kluczyki, chociaż na sercu miałem tego przyjaciela”, wyjmując pistolet. „No ale — wzdycha — tak szczerze mówiąc byli w swoim prawie, byłem dłużny 100 milionów, a wtedy to były duże pieniądze”.

Zbieramy się do wyjścia. Mój przyjaciel z L. A. przyznał, że klub nie ustępuje tym znad Spokojnego Oceanu, a do tego jakimś cudownym sposobem przeniesiono się w przeszłość Ameryki, tam milionerami są już zupełnie uszlachetnione wnuki gangsterów, tu jesteśmy u źródła.

Gdy idziemy do samochodu, za nami sunie cień. Nie zdążyłem się zaniepokoić, bo przypomniałem sobie, że każdy gość klubu jest pod szczególną opieką. Cień rozmawia przez radiotelefon i po chwili przechwytuje nas inny uzbrojony cień.

Wsiadamy do samochodu zupełnie ocienieni, ale za to cali i zdrowi. Właściwie to bardzo przyjemnie być tak pilnowanym, ale daję głowę, że to są cienie tamtych cieni co za nami chodziły bynajmniej nie w zbożnych zamiarach, o ileż teraz mimo wszystko przyjemniej.

I pomyśleć, że cała nadzieja naszej gospodarki leży w setkach tysięcy małych firm. One rzeczywiście rosną jak grzyby po deszczu, niestety z reguły są to muchomory dosyć trujące. Rosną na chorej glebie, w płataninie chorych przepisów. Niemożność robienia pieniędzy w sposób uczciwy powoduje, że robi się je w inny sposób. I oto okazało się, że w roku 92 cała ta wielka grzybnia wykazała dochód zerowy, czy nawet ujemny. Nikt nie ma wątpliwości, że to chwyt by uniknąć płacenia podatków. Nic więc dziwnego, że nasz ledwie żywy budżet rzuca się na biedaków, by od nich wyssać pieniądze. Co robić, skoro nowobogaccy są zbyt cwani, by płacić? Poza tym, nasi mali kapitaliści są pod ochroną, bo przecież mają rozruszać koniunkturę i stworzyć klasę średnią. Nasze finanse wpadły więc w pułapkę błędnego koła — potrzebujemy gwałtownie pieniędzy, więc windujemy podatki i cła, te zaś albo zabijają prywatną przedsiębiorczość albo spychają ją do podziemia. Jak zabrać kurze złote jajka, skoro ona je rodzi w dziobie i zaraz połyka?

Następną chorobą, podobno konieczną, jest prywatyzowanie, gwałtowne i na siłę. W kraju gdzie tak mało jest kapitału, ten proces też staje się działalnością pokraczną. Wielkie fabryki, postkomunistyczne mamuty, wpadają w dziwny sposób w dziwne ręce. Tak, cała geografia naszego nowego bogactwa jest przynębiająca. A majątki stare? Nie potrafię cytować naszych populistów, ale prawdą jest, że nasza łagodna rewolucja pozwoliła dawnej nomenklaturze porobić wielkie pieniądze zanim utracili władzę. To był ich pocałunek na do widzenia. A ludzie, którzy dzisiaj nie mają czym karmić swoich dzieci, czują na policzkach ślad tej odpychającej ironicznej szminki. Ja się chwilami nie dziwię, że u nas tyłu ludzi wpada w spiskowe myślenie.

No tak, ale wszystkie statystyki mówią, że wzrosła produkcja, że doprawdy zaczynają żyć wielkie mechanizmy na działanie, których czekamy jak skazani na noc czekają na słońce. Poprawia się, liczby nie kłamią, powtarzam sobie w miejscach gdzie żadnej poprawy nie widać.

Osobliwym przypadkiem postkomunistycznego triumfu jest Urban. Jego filozofia życiowa jest kloaczna, człek każdy jest g., a życie to ściek. Rozwój zdarzeń za wolności wydaje się przynajmniej częściowo potwierdzać trafność takiego światopoglądu. Na obecną fortunę *Nie* składa się cotygodniowa składka płacona przez miliony, które kupują pismo. Jakież to było genialne trafienie, to pisemko. Czytają je teraz nawet moi znajomi, sfrustrowani dawni opozycjoniści. Czytają ludzie pobożni, bo któż czasami nie zgrzeszy. Czytają ludzie w tramwajach i autobusach, a kiedy trzymają to pismo rozłożone w dłoniach, nie mogą się oprzeć wrażeniu, że osłaniają się siedząc publicznie na sedesach.

Wpadam do znajomej, by powspominać dawne heroiczne czasy. Była kiedyś naszym uchem w telewizji. I nadal tam pracuje. Nie ukrywa, że teraz czuje się tak samo obrzydliwie jak wtedy. Naprzeciw jej domu stoi willa, gdzie pamiętam była siedziba ambasadora Meksyku. W stanie wojennym zerkałem tam, chwilami zazdroszcząc tym co żyją ciepło, wygodnie, dyplomatycznie i poza łapą bezpieki. Teraz już do końca życia nie będę nikomu zazdrościł jałowych rozkoszy dyplomacji. Na maszcie powiewa flaga z napisem „Nie”. Przy furcie stoi budka strażnicza, pusta jak psia buda, ale za to z literami UOP (pewnie „uwaga zły pies” — UOP, czyli Urząd Ochrony Państwa.) A więc „państwo” Urbana, *Nie*, wykupiło ten pałacyk, został odremontowany i prezentuje bogactwo firmy. Podobno rankiem zajeżdża limuzyna z przyćmionymi szybami, a kierowca pomaga niewielkiemu i pękatemu osobnikowi wygramolić się z pojazdu. Mieszkańcy dopytywali się, czy to możliwe, że *Nie* ma przydzieloną rządową ochronę, nikt o tym nic nie wie.

Czy triumf najbardziej znieawidzonej obok generała postaci stanu wojennego mnie przygnębia? To straszne, ale nie przygnębia. Jestem po prostu tak zgnębiony stanem rzeczy, że *Nie* ledwie widać na tym tle. A poza tym, czy może być lepszy dowód na istnienie wolności słowa w Polsce?

Na spotkaniu naszych super intelektualistów, gdzie tematem są wszystkie miłe i dobre rzeczy, jakie były w PRL. Wszyscy zgodni, że tych stron dobrych było nadspodziewanie wiele, co w pełni widać dopiero teraz. Zgodzono się bez trudu, że co zostało z tych zalet trwonimy obecnie nierozważnie i bezmyślnie. Nikt nie powiedział, pewnie to było oczywiste, że wszystkie lekkie więzienia mają wielkie zalety, rzecz w tym, że nierozdzielne są one od wad jak forma od

treści. Stąd raczej jałowość takich dyskusji, chociaż nigdy nie zawadzi ponarzekać na nasz kapitalizm krwiożerczy i często bezmyślny. Przy okazji tego spotkania jeszcze raz uderzyło mnie, jak przez te zaledwie trzy lata schudli ludzie myśli i polityki. Już gdzie indziej ściskam dłonie nowych dygnitarzy, takie malutkie i nieśmiałe. A i nasi multimilionerzy niby ważni, ale też jakoś niepoważni. Wielki pisarz niesłuchanie wychudły mówi coś, ale nikt go nie słucha. I nagle wpada mi do głowy myśl niesłuchanie nieskromna — a może to ja tak urosłem? Patrzę w lustro. Minęły czasy, kiedy przyjaźniłem się ze wszystkimi lustrami.

Powszechnie odsunięcie się od zainteresowania polityką. Z niesmaku, z zagonienia, ze zmęczenia. I życie ujawnia zupełnie inny plan dramatów. Co zrobić ze swoją twarzą, która nie może dojść do porozumienia z pamięcią? Jesliby tak poskrobać, a potem zacząć kopać, odwalić gruzy poróżów, ziemię kamuflażu, okaże się, że największe dramaty siedzą na osi dawania i pobierania miłości. A polityka, życie społeczne, to tylko naskórek kartofla. Inna sprawa, jak bardzo te niezalutwione problemy uczuciowe, blizny i uszkodzenia wpływają na politykę, bo przecież uprawiają ją ludzie pokaleczeni. Ileż wielkich zbrodni tego świata narodziło się z małego chłodu matki.

Wpadam do N. w nadziei, że poplotkuję politycznie, przecież ona była kiedyś zawsze czynnym społecznym wulkanem. Spłoszona jakbym pomylił adres i osobę, nic nie wie co się wokół dzieje, ma inne kłopoty, a polityką się brzydzi. Obecnie jest zdruzgotana swoim synem, bo ten nie chce się uczyć. Sądzi, że wyrzucą go ze szkoły, a wtedy, jest pewna, wpadnie w narkomanię. Skąd ta pewność, pytam. Jest jednak pewna, czyli ta przepaść do czegoś jej potrzebna.

Na ulicy spotykam D. Był jednym z ważnych kół naszej podziemnej poligrafii i to już w latach 70-tych. Właściwie weteran. Robi pieniądze i tylko o nich chętnie mówi. Zwierza mi się, że czyta *Nie*, a jak widzi naszych dawnych kolegów, nawet Kuronia w telewizji, to zbiera mu się na nudności.

W dawnej kawiarni Związku Literatów umawiam się ze studentką. Cóż to się stało z historyczną kawiarnią? Wypatroszono w środku wszystko, wyobrażam sobie jak pracownicy musiano skrobać snobizm, który grubą tłustą warstwą dziesięcioleci zgromadziły w sobie te ściany. Teraz to mdły, nowoczesny lokal, mógłby być w Hong Kongu lub na Man-

hattanie. Pisarze już raczej nie przychodzą płoszeni cenami i nowym wystrojem, czy zresztą są jeszcze jacyś pisarze? Studentka pisze pracę magisterską o niegdyś podziemnym wydawnictwie, które stworzył M. Ja mam mówić jako świadek historycznych narodzin. Jest bardzo poważna, jakby spisywała historię powstania warszawskiego, którego płomień tylko polizał jej dziecięcą stopę. Do czego to już doszło, myślę. I pchnięty naturalnym impulsem zaraz po tych historycznych wspomnieniach wpadam do samego M. Wydał właśnie książkę, daje mi ją, autor udowadnia, że Chrystus do chwili ukrzyżowania czas spędził w Indiach, a potem wcale nie umarł na krzyżu. Gdyby zrobić proces poszlakowy w tej najbardziej niezwyklej sprawie kryminalnej dwóch tysięcy lat, to kto wie co by się dało udowodnić, ale po co wierze dwóch świadków i dowody rzeczowe. Czy M. z powodu tej książki nie będzie musiał znowu zejść do podziemia? Martwię się, bo go lubię. Mówi, że nie przylega do naszej wolności i że ma chęć wywieść przez okno flagę z barwami swojego prywatnego kraju.

Wpadam do N. Znowu romans, doprawdy, czy to się nigdy nie kończy? Tłumaczy mi dlaczego jej sytuacja jest bez wyjścia, dlaczego podjęła próbę samobójczą. Doprawdy nie ma w tym logiki, ale przecież logika nie jest materiałem uczuć. Każdy sam buduje swoją przepaść. Potem pochyla się nad nią, ale tylko nieliczni spadają.

Parlament wpisał wartości chrześcijańskie w telewizję. Krzyże już zawisły w parlamencie, religia jest w szkołach. A zdaje się, że to zaledwie początek.

Oglądam reportaż filmowy z odsłonięcia polskiego samolotu bojowego. Serce mi rośnie. To my jednak potrafimy zbudować nowoczesny samolot bojowy? Gdy odpłynęła duma narodowa, została na piasku refleksja, jak meduza tracąc w oczach urodę — czy taki fruwający samolot ma jakkolwiek sens, skoro w tylu innych prostych sprawach nie potrafimy nawet podskoczyć? A zaraz po tej refleksji znowu ujrzałem nasz bojowy samolot, wokół wianuszek oficerów i księdza, pewnie nawet biskupa, wszyscy zdawali się radośnie tańczyć wokół stalowego ptaka. Co na Boga tam robił duchowny? A więc znowu będziemy święcić czołgi i armaty. Nie wiem czy taki stalowy ptak jest dziełem diabła, ale z pewnością nie Boga. Ja nie mam nic przeciwko temu, byśmy mieli silną armię, ale po co w to mieszać Kościół? Toczy się wielka wojna o życie nienarodzo-

nych, a tu się publicznie i z księdzem celebrytuje narzędzie do zabijania narodzonych.

Urzędy, urzędy. Nawet jak szef jest nowy i wyśmienity, to już piętro niżej same beczki ze smołą, i tak jest aż do piwnic. Jestem u takiego szefa, przynoszę mu pewien pomysł, może jestem naiwny, ale czuję, jakbym trzymał na ramieniu wielkiego ptaka, na razie ze złożonymi skrzydłami. Szef kupuje „ptaka” w całości. Wzywa swego podwładnego i w jego pewne ręce oddaje sprawę. Idę z tym dyrektorem piętro niżej, jeszcze nawet nie wiem, że już jestem w beczce ze smołą. Ten patrzy na mnie jak na kobrę, jednym ruchem ręki obcina mi skrzydła, ale zarazem proponuje bardzo korzystny układ finansowy. Po czym na zakończenie wysuwa mały różowy pyszczek swojego własnego interesu. Zupełnie zbaraniały zęgam się, a nasze ręce zdają się zaklepywać sprawę. Dopiero na zimnej ulicy obudziłem się z hipnozy.

To jest właśnie nasze delikatne miejsce, delikatne miejsce naszego czasu. Byłe zapach pieniędzy czy biznesu, a wysuwa się pyszczek własnego interesu (to się nawet rymuje!)

Polska jest krajem ludzi, którzy się nie zrealizowali, którzy nie mają czasu, a czują zapachy najbardziej wyrafinowanych potraw z europejskiej kuchni. Suma tych namiętności powoduje zjawisko „szarpania trupa”. Szarpie się cycek nawet tam gdzie on już rwie się, jak stara szmatka. I ten następny odruch „ręka rękę myje”. A gdzie jak to się kiedyś mówiło „dobro kraju”, gdzie dobro wspólne i co zwano kiedyś patriotyzmem? To ostatnie słowo, czymkolwiek i gdziekolwiek się przylepi, nie chce się trzymać na naszej rzeczywistości. I jak w mikro skali wychylają się pyszczki własnego interesu, tak w skali makro wielkie grupy nacisku, górnicy, chłopi, jutro hutnicy, wyszarpują dla siebie z tej biedy, co się tylko da.

No dobrze, ale jest gdzieś druga strona, ukryta strona naszej duszy. To ona robiła powstania, rozogniła Sierpień i cementowała opór stanu wojennego. Przecież w stanie wojennym nie można było przejść ulicą, by nie potknąć się o czyjąś dobrą wolę, o czyjś gest i poświęcenie. Jako, że w ciągu tych lat nie nastąpiła żadna masowa rzeź, a w *holocaust* duchowy z powodu potopu kapitalizmu nie wierzę, to gdzieś ta dobra wola musi leżeć w ukryciu.

I ujawniła się nagle ta ukryta strona naszej duszy z okazji zbiórki pieniędzy na operacje wrodzonych wad serca małych dzieci. Bo jeśli nawet są pieniądze na prototyp bojowe-

go samolotu, to na operacje dla dzieci ich nie ma. Niejaki Jurek Owsiak rozkręcił akcję Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. I zupełnie niepodziewanie z naszego biednego, zagonionego, sfrustrowanego i podobno egoistycznego społeczeństwa wysypała się góra pieniędzy. Głównie młodzież, przede wszystkim młodzież. Prasa mnoży opisy wielkiej zbiórki, wyciskające łzy w oczach donoszenie milionów, świadectwa niebywałego poświęcenia i szczodrości.

Czy aż tak nisko upadliśmy w ocenie samych siebie, że zapomnieliśmy, że jeszcze wczoraj byliśmy skłonni do tylu poświęceń? Potrzeba nam tylko pola do szarzy, pola do wspinałomyślności, albo choćby dla gestu. Co musieliśmy uczynić przez te lata, wy politycy, my organizatorzy pracy, inżynierowie dusz i struktur społecznych, że wyszły z naszego społeczeństwa jedynie upiory? A im bardziej sami siebie widzieliśmy w ciemnym świetle, tym bardziej robiło się ciemno i ciemniały wszystkim twarze. Jak można było nie zauważyć, że pod bokiem rośnie i przerasta nas nowe pokolenie, tak inne, że aż robi się zimno, ale od tego przecież też może zrobić się ciepło.

Błyszczą w zimowym słońcu korona stadionu X-lecia. Ten wielki martwy lej w środku miasta jest jednym z pomników — upiorów świata, który odszedł. Trawa urosła nawet na betonie, tkwi gdzieś tam mały kamyczek, który dzieckiem wsunąłem w szczelinę, na pamiątkę chłopięcych wzruszeń lekkoatletycznego memoriału im. Kusocińskiego. Ta krawędź stadionu widziana z dala przypomina brzeg mrowiska. Bo roi się tam mrowie kupujących, a tysiące rosyjskich handlarzy zachwalają swoje skarby, do jednego koryta zlewając rzekę polskiego i rosyjskiego języka. Dziecięce wózki przerobione na ręczne pojazdy bagażowe wykonują swoją codzienną pracę. A w głębi tego mrowiska leży duma sowieckiego nieba, samolot Il. W środku samolotu jest obskurna kawiarnia, która zwie się „Podniebna”, a wchodzi się do niej po niepewnych schodkach. Ten samolot jest do prawdy w smutnym stanie, kaleki ptak, co już nigdy nie porunie, do piór którego przykleiły się wszystkie obrzydlistwa ziemi. Ale z wysoka już nie przypomina ptaka, raczej kość z biodra zdruzgotanego imperium objedzonego do naga.

SMECZ

Sprawy i troski

Litwini w Polsce

Z EUGENIUSZEM PIETRUSZKIEWICZEM,
PREZESEM STOWARZYSZENIA LITWINÓW W POLSCE,
ROZMAWIA GRAŻYNA STRUMIŁŁO-MIŁOSZ

GRAŻYNA STRUMIŁŁO-MIŁOSZ: — *Ilu Litwinów mieszka w Polsce?*

EUGENIUSZ PIETRUSZKIEWICZ: — Nie ma dokładnych danych. Sądzymy, że na terenie województwa suwalskiego, w gminach Sejny, Puńsk, Szypliszki oraz w miastach Sejny i Suwałki, mieszka około dziesięciu tysięcy. Co najmniej drugie tyle, a może nieco więcej, mieszka w diasporze, na terenie całego kraju.

G.S.M.: — *Ilu członków liczy Stowarzyszenie?*

E.P.: — Około czterech tysięcy.

G.S.M.: — *A w Suwałkach?*

E.P.: — Aktywniejszych jest około osiemdziesięciu, w Sejnach około stu osób, w Warszawie około sześćdziesięciu.

G.S.M.: — *Czy mógłby Pan wymienić główne skupiska Litwinów poza Suwalszczyzną?*

E.P.: — Należą do nich przede wszystkim Warszawa, Wrocław, Gdańsk, Szczecin, Słupsk, trochę Gorzów Wielkopolski i Bydgoszcz. Od razu warto powiedzieć, skąd się tam

wzięli. Część z nich to dawni mieszkańcy Sejneńszczyzny, którzy, zapewne w poszukiwaniu pracy bądź na studia, wybrali się do Warszawy, gdzieś tam do Krakowa, Poznania, Wrocławia itd. Pozostali to emigracja, chociaż w Polsce nazywa się to repatriacją z roku 1945 lub 1956. Schronić się w Polsce, przed szalejącym na Litwie NKWD, mogli szczególnie ci Litwini, którzy przed wojną zamieszkiwali na ziemiach litewskich wchodzących w skład II Rzeczypospolitej i mieli obywatelstwo polskie. Na mocy układu pomiędzy rządem polskim a rządem sowieckim mogli tu przyjechać i osiedlić się w wybranym miejscu. To jest ta druga grupa.

G. S. M.: — *Ilu Litwinów mieszka w Warszawie?*

E. P.: — Około czterystu, a wśród nich człowiek, który zajmuje się naukowo problematyką litewską, doktor nauk historycznych Bronisław Makowski, pracownik Akademii Nauk.

G. S. M.: — *A w Suwałkach?*

E. P.: — Około pięciuset, sześciuset. Większość z nich nie jest rodowitymi suwalczanami, przenieśli się tu głównie po roku 1975, jako specjaliści różnych branż, po utworzeniu województwa suwalskiego.

G. S. M.: — *Czy przyznają się do swojej narodowości?*

E. P.: — Litwini tym się chyba różnią od niektórych mniejszości w Polsce, że jeśli czują się Litwinami, to przyznają się do tego.

G. S. M.: — *Bo na podstawie dowodu osobistego nie można tego stwierdzić.*

E. P.: — No właśnie. Jest to problem, chociaż nasze Stowarzyszenie nie przywiązuje do tego aż takiej wielkiej wagi. Z pewnością jednak sprawa nazwisk nie może być obojętna...

G. S. M.: — *Może zechce Pan wyjaśnić, o co tu chodzi?*

E. P.: — Polskiego Litwina nie można rozpoznać po brzmieniu nazwiska, ponieważ nieomal każdy z nich nosi nazwisko polskie...

G. S. M.: — *Tak jak pan.*

E. P.: — Trudno powiedzieć, czy „Pietruszkiewicz” to nazwisko polskie. Mój stryj, mieszkający w Marianpolu na Litwie, sporządził drzewo genealogiczne, z którego wynika, że Pietruszkiewiczowie przybyli około trzystu lat temu z Białorusi, a więc jest to nazwisko białoruskie, co mi wcale nie przeszkadza czuć się Litwinem.

G. S. M.: — *W prasie litewskiej dużo pisano ostatnio o złej sytuacji Litwinów w Polsce. W ubiegłym roku nawet byli tutaj przedstawiciele Komisji Helsińskiej, którzy zebrali te skargi Litwinów. Czy sytuacja Litwinów u nas istotnie jest taka zła?*

E. P.: — Minęlibyśmy się z prawdą, gdybyśmy powiedzieli, że jest to sytuacja zła. Może tylko nie jest idealnie dobra i nie w pełni odpowiada standardom zachodnioeuropejskim.

G. S. M.: — *O co Litwini mają pretensje?*

E. P.: — To nie jest właściwe słowo. Wolę mówić o postulatach, zgłaszanych przez Litwinów pod adresem władz polskich.

G. S. M.: — *Czy może je pan wymienić?*

E. P.: — Postulat pierwszy: Aby Sejm Rzeczypospolitej uchwalił ustawę o prawach i obowiązkach wszystkich mniejszości narodowych w naszym kraju. Taki akt prawny musiałby zawierać stwierdzenie wręcz konstytucyjne, że mniejszości narodowe mają prawo do kultuwowania swojej tożsamości narodowej. Związane to byłoby z zagwarantowaniem szkolnictwa narodowościowego, nie tylko litewskiego, ale również białoruskiego, ukraińskiego, niemieckiego, słowackiego itd.

Postulat drugi: Mniejszość litewska powinna być reprezentowana w parlamencie. Oczywiście, wymagałoby to zmiany ordynacji wyborczej. Można by wprowadzić do ordynacji zapis taki, jaki istniał w II Rzeczypospolitej, który mówił, że mniejszości narodowe, bez względu na swą liczebność, muszą mieć przynajmniej jednego posła. Nas, Litwinów, jest mało, ale weźmy np. Ukraińców, których jest znacznie więcej, chyba około czterystu tysięcy, i nie mają ani jednego posła, dlatego, że mieszkają w rozproszonym.

Postulat trzeci: Możliwość używania, jako pomocniczego, języka mniejszości w urzędach państwowych na tych terenach, gdzie te mniejszości zamieszkują od wieków, na etnicz-

nych swoich ziemiach. W naszym przypadku dotyczyłoby to głównie trzech gmin: Sejn, Puńska i Szypliszek, ponieważ tylko tam Litwini mieszkają na swoich ziemiach etnicznych, a więc nie są emigrantami. Rozumiemy, że trudno wymagać, aby każda mniejszość, która w jakikolwiek sposób znalazła się na terenie obcego państwa, żądała dla siebie własnego języka w urzędach. Natomiast tam, gdzie mieszkają od wieków i gdzie stanowią większość, tam mają moralne do tego prawo.

Postulat czwarty: Aby w Urzędach Stanu Cywilnego przy okazji wielkich uroczystości rodzinnych, takich jak np. zawarcie związku małżeńskiego, rotę przyrzeczenia małżeńskiego, jeśli sobie nowożeńcy tego życzą, mogli złożyć w języku ojczystym. Oczywiście w księdze Urzędu Stanu Cywilnego byłoby to zapisane w języku urzędowym, czyli polskim, ale gdy chodzi o nagrywanie, a ludzie teraz lubią wszystko nagrywać na video, mogłoby to być w języku ojczystym. Obecnie sytuacja jest dziwna. W Puńsku, gdzie ponad osiemdziesiąt procent mieszkańców stanowią Litwini, gdy pobierają się młodzi ludzie narodowości litewskiej, zaś urzędnik Stanu Cywilnego jest również Litwinem i prywatnie rozmawiają z nim po litewsku, w momencie gdy ten urzędnik nałoży insygnia swojej władzy i zasiądzie za stołem, to już muszą mówić po polsku. Jest to paradoksalne.

Postulat piąty: Sprawa poszerzenia dostępu polskich Litwinów do środków masowego przekazu...

G.S.M.: — *Czy chodzi o prasę?*

E.P.: — Tylko w małym stopniu. Nasze Stowarzyszenie wydaje dwutygodnik *Aušra*, który jest finansowany w znacznej części przez budżet państwa...

G.S.M.: — *Jaki jest jego nakład?*

E.P.: — Około czterech tysięcy. To jest dość spory nakład w stosunku do populacji. Być może przekształci się on w tygodnik i to będzie jego główny pułap. Na gazetę nas po prostu nie stać. Poza tym chyba nie ma takiej potrzeby. Natomiast oprócz prasy istnieją inne środki masowego przekazu, telewizja i radio. Pracuję w radiu białostockim i prowadzę tam audycje litewskie. Do końca października 1992 r. mieliśmy półgodzinną audycję raz w tygodniu, od listopada nadajemy trzy razy w tygodniu: we wtorki i czwartki audycje piętnastominutowe, zaś w niedzielę magazyn półgodzinny.

G.S.M.: — *Czyli dwukrotnie wydłużono litewski czas antenowy. Czy według pana to wystarczy?*

E.P.: — W tej chwili — chociaż mogę się mylić — jako dziennikarz-radiowiec nie widzę potrzeby zwiększenia częstotliwości, bądź wydłużenia czasu nadawania audycji litewskojęzycznych. Poza tym chyba nie byłoby materiału, bo to przecież bardzo ograniczone środowisko. Nie chcielibyśmy powtarzać po litewsku tego, co jest mówione w polskich audycjach radiowych i telewizyjnych, gdyż w Polsce nie ma chyba ani jednego Litwina, który by doskonale nie znał polskiego. Ale istnieje inny problem. Otóż radio Białystok nadaje nasze audycje na falach ultrakrótkich i ich zasięg jest ograniczony. Odbierają je tylko mieszkańcy województwa suwalskiego, białostockiego i łomżyńskiego, natomiast nie słyszą ich Litwini w Warszawie, Wrocławiu, Szczecinie, Gdańsku i innych miastach, gdzie mieszka ich więcej, niż na Suwalszczyźnie. Tamci Litwini nie mają żadnego kontaktu z żywym słowem litewskim, ponieważ ani radio Wilno, ani tym bardziej telewizja wileńska tam nie dociera. W związku z tym nasz piąty postulat dotyczy przeniesienia audycji litewskich na fale długie lub średnie, aby pokryć nimi cały obszar Rzeczypospolitej. Wtedy wszyscy Litwini w Polsce mogliby nas słuchać.

G.S.M.: — *Czy to już wszystkie postulaty?*

E.P.: — Chyba tak. I sądzę, że łatwo je spełnić, co przyczyniłoby się do rozwiązania wszystkich spornych problemów utrudniających przyjaźń polsko-litewską.

G.S.M.: — *Czy nie ma postulatu odnośnie szkolnictwa?*

E.P.: — Obecnie sieć szkolnictwa pokrywa nasze potrzeby. Nauczanie języka litewskiego odbywa się w 13-tu szkołach, w tym w 5-ciu szkołach podstawowych z litewskim językiem nauczania (tam język litewski występuje jako przedmiot nadobowiązkowy) oraz Liceum Ogólnokształcące w Puńsku z litewskim językiem nauczania. Przydałoby się tylko wyodrębnienie jednej szkoły w Sejnach i nadanie jej statusu szkoły z litewskim językiem nauczania.

G.S.M.: — *Ale w Sejnach są klasy litewskie?*

E.P.: — Nie, nie klasy. Jest nauczany język litewski po godzinach lekcyjnych, jako przedmiot dodatkowy. A dziecko jest tylko dzieckiem i jeśli widzi, że jego polscy koledzy mają

już wolne i idą do domu, to ono też chce... W małych wioskach, tam gdzie dzieci litewskich jest niewiele, musimy istniejący *status quo* utrzymać, natomiast liczba ludności narodowości litewskiej w Sejnach upoważnia...

G. S. M.: — *Przypomnijmy, ilu jest Litwinów w Sejnach?*

E. P.: — Około tysiąca na około cztery tysiące mieszkańców, a więc spora liczba dzieci już upoważnia do utworzenia odrębnej szkoły podstawowej z litewskim językiem nauczania, tak jak w Puńsku czy w Przystawańcach.*

G. S. M.: — *I to byłby jedyny ewentualnie dodatkowy postulat litewski?*

E. P.: — Tak. Z tych najważniejszych.

G. S. M.: — *Kto był adresatem omówionych tu postulatów?*

E. P.: — Przede wszystkim prezydent Lech Wałęsa, następnie ówczesny marszałek Sejmu Mikołaj Kozakiewicz i Senatu Andrzej Stelmachowski, gdyż złożyliśmy je jeszcze przed nowymi wyborami.

G. S. M.: — *Jaki był tego rezultat?*

E. P.: — Zareagował tylko marszałek Sejmu. Pan Kozakiewicz zaprosił nas do Warszawy, był bardzo miły, ale oświadczył, że nie ma możliwości spełnienia wszystkich naszych postulatów. Pozostali adresaci nawet nam nie odpowiedzieli.

G. S. M.: — *Jednak powoli dezyderaty Litwinów są realizowane.*

E. P.: — Niestety, nie wszystkie.

G. S. M.: — *Był zdaje się jeszcze jakiś postulat w sprawie nazwisk?*

E. P.: — Jest to już załatwione, bo wolno oficjalnie wrócić do nazwisk litewskich, tylko na razie nie ma zbyt wielu chętnych. To paradoksalne. Na palcach można policzyć tych, którzy wystąpili o zmianę końcówki na litewską.

* Słyszałam, że kuratorium w Sejnach ma przeprowadzić ankietę wśród rodziców uczniów. Jeżeli będzie dostateczna liczba chętnych na szkołę z litewskim językiem wykładowym, ten postulat Litwinów będzie spełniony. (G. S. M.)

G. S. M.: — *Dlaczego nie ma chętnych?*

E. P.: — Zmiana nazwiska pociąga za sobą zmianę dowodu, paszportu itd. Ja np. mam mieszkanie własnościowe i figuruję tam jako Pietruszkiewicz, a jeśli zmienię nazwisko na Pietruškiavičius, to muszę też dokonać zmiany w akcie notarialnym. A wiadomo, że wszędzie trzeba dziś dużo płacić.

G. S. M.: — *Poza tym być może ludzie nie chcą się wyróżniać. Jeżeli Pietruškiavičius jest uczniem lub studentem, to koledzy będą go pytać, dlaczego ty jesteś „Pietruškiavičius”?*

E. P.: — Na pewno ma pani rację.

G. S. M.: — *Ale z imionami Litwini w Polsce nie mają problemów?*

E. P.: — To wcale nie jest takie proste, ponieważ w naszym kraju nadal obowiązuje instrukcja wydana w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, która wyznacza, jakie imiona w Polsce można nadawać i obliuguje Urzędy Stanu Cywilnego. W tym urzędowym wykazie nie ma litewskich imion narodowych i urzędnik Stanu Cywilnego, który np. wpisze dziewczynce do metryki imię Ruta, tak popularne na Litwie, może za to wylecieć z pracy, a imię zostanie sędownie anulowane.

G. S. M.: — *Będąc w Puńsku spotykałam jednak typowo litewskie imiona. Z tego wynika, że ta bezsensowna instrukcja nie jest surowo przestrzegana.*

E. P.: — Tylko dlatego, że urzędnik w Puńsku jest Litwinem. Ale w Sejnach już nie można otrzymać litewskiego imienia.

G. S. M.: — *Czy zdarzały się wypadki, że rodzice chcieli dziecku nadać imię Ruta i im odmówiono?*

E. P.: — Kilka lat temu był taki przypadek. Najpierw odmówił urzędnik Stanu Cywilnego, potem burmistrz utrzymał to w mocy, ale ojca dziecka poinformował, że może w tej sprawie odwołać się do Komisji Imion przy Polskiej Akademii Nauk. Po jakimś czasie otrzymał stamtąd odpowiedź, że Komisja Imion przy PAN, pod kierunkiem jednego ze znanych profesorów, nie widzi możliwości wpisania do me-

tryki imienia Ruta, ponieważ nie występuje ono w polskiej tradycji językowej.

G.S.M.: — *W tej skardze Litwinów do Komisji Helsińskiej mowa była jeszcze o tym, że Litwini są nieproporcjonalnie mało reprezentatywni na Suwalszczyźnie w urzędach. Czy to jest prawda?*

E.P.: — Tak. Nikt nie powiedział Litwinowi, że nie ma prawa zająć stanowiska np. w Urzędzie Wojewódzkim w Suwałkach. Ale go tam nie ma.

G.S.M.: — *Czy może pan podać przykład, że nie przyjęto kogoś do pracy tylko dlatego, że jest Litwinem?*

E.P.: — Był taki przypadek. Inżynier, dobry fachowiec, starał się o pracę w Urzędzie Wojewódzkim. O to stanowisko ubiegali się też Polacy, sędzę, że o mniejszych kwalifikacjach od Litwina. I przyjęto Polaka.

G.S.M.: — *Może zdecydowały inne względy?*

E.P.: — Być może, ale ten Litwin jest rozgoryczony i odczuwa to jako dyskryminację. Był też przypadek zwolnienia Litwinki z pracy za to, że nie chciała podpisać jakiegoś protestu przeciwko prześladowaniu Polaków na Wileńszczyźnie. Tam bywają podobne zadrażnienia i są potem rozdmuchiwane przez prasę polską.

G.S.M.: — *Czy prasa polska nie jest w sprawach polsko-litewskich obiektywna?*

E.P.: — Najbardziej obiektywna jest *Gazeta Wyborcza*. Niestety nie można tego powiedzieć o prasie regionalnej, suwalskiej i białostockiej. Podam jeden przykład: w Sejnach są groby żołnierzy litewskich, poległych w czasie walk polsko-litewskich w roku 1919. Jest tam napis litewski „Tu spoczywają nieznani żołnierze litewscy polegli w 1919r.” Jeśli dziennikarz z *Kuriera Podlaskiego*, pisząc reportaż, tłumaczy ten napis: „Polegli z rąk polskich bandytów”, to z pewnością prowokuje do profanacji tego nagrobka.

G.S.M.: — *Prasa litewska też ma niejednego grzech na sumieniu. W wywiadzie dla Rzeczypospolitej (nr 249), udzielonym Elżbiecie Sawickiej, Czesław Miłosz wspominał o artykule opubli-*

cowanym w piśmie Literatura ir menas (Literatura i sztuka) pióra redaktora naczelnego Rubavičiusa o sytuacji Litwinów na Suwalszczyźnie. „Artykuł nikczemny, obrzydliwy, napisany językiem nieprzyzwoitym. Cała historia konfliktu o język litewski w katedrze w Sejnach przedstawiona została fałszywie”. Czy czytał pan ten artykuł?

E.P.: — Nie.

G.S.M.: — *A jak było naprawdę z tym konfliktem o język litewski w bazylice w Sejnach?*

E.P.: — Jeszcze przed sześcioma laty nie odprawiano tam mszy w języku litewskim. Zabroniła tego kuria biskupia. I o to szła prawdziwa walka, włącznie z rękoczynami na dziedzińcu kościelnym. I trwało to, aż wstyd mi o tym mówić, do śmierci ówczesnego biskupa łomżyńskiego. Proboszcz sejneński był tylko wykonawcą woli biskupa i wymyślał preteksty dla których na mszę nie pozwalał, np. że nie życzy sobie tego społeczeństwo polskie itp. I wystarczyło, że na stanowisko ordynariusza diecezji łomżyńskiej został przysłany z Rzymu biskup Juliusz Paetz, by wszystko się zmieniło. Obecnie w Bazylice jest co niedziela odprawiana msza po litewsku i Litwini nie mają już pretensji...

G.S.M.: — *Podobno był też spór o litewskie msze w Suwałkach?*

E.P.: — Tak, Litwini o to zabiegali, ale obeszło się bez incydentów i nasze postulaty zostały przez proboszcza spełnione.

G.S.M.: — *Pozostała tylko nie rozwiązana do dzisiaj sprawa kościoła w Widugierach. Czy może pan wyjaśnić, o co tu chodzi?*

E.P.: — Mieszkańcy litewskiej wsi Widugiery jeździli na niedzielną mszę do odległego o kilkanaście kilometrów kościoła parafialnego w Puńsku. Na początku lat osiemdziesiątych przybyli z USA w odwiedziny państwo Rudziszowie, zaproponowali wybudowanie w Widugierach kościoła i przekazali puńskiemu proboszczowi, księdzu Ignacemu Dziermejce, sporą sumę dolarów. Budowę zajął się proboszcz, groszem sypnęli też hojnie parafianie, licząc na to, że — zgodnie z zamierzeniem — będzie w Widugierach kościół filialny parafii puńskiej.

Gdy budowę już prawie ukończono, okazało się, że władze kościelne mają inne plany niż fundatorzy. (W tym czasie nastąpił w Polsce podział na nowe kurie i sejneńszczyzna i suwalszczyzna już nie podlegają diecezji łomżyńskiej, lecz nowo utworzonej ełckiej.) Postanowiono odłączyć wszystkie wsie litewskie z obecnej parafii sejneńskiej i jedną trzecią wsi leżących na terenie parafii puńskiej i stworzyć z nich nową parafię w Widugierach.

G.S.M.: — *Może chodziło o to, żeby mieszkańcy mieli bliżej do kościoła?*

E.P.: — W Widugierach mieszka tylko 40 rodzin, a do nowej parafii włączono też inne wsie litewskie, niektóre odległe o kilkadziesiąt kilometrów...

G.S.M.: — *Jak to? Czy to możliwe?*

E.P.: — Do parafii w Widugierach m.in. miałyby należeć Racheleny, Ogrodniki, Żagary, Dusznica, Hołny Majera. Wsie te w linii prostej rzeczywiście leżą niedaleko od Widugier, ale na przeszkodzie jest jezioro Gaładus. Do kościoła więc trzeba jechać wprawdzie dwanaście kilometrów do Sejnu, potem następne dwanaście kilometrów do Widugier. To paranoja. Nic więc dziwnego, że Litwini zaczęli się zastanawiać, o co tu chodzi...

G.S.M.: — *I do jakich wniosków doszli?*

E.P.: — Że być może komuś z hierarchii kościelnej zależy na tym, aby odłączyć od parafii sejneńskiej wszystkie okoliczne wsie litewskie, wyrzucić później Litwinów z bazyliki, o msze w której walczyli przez 35 lat. No bo jak zostanie w parafii tylko kilkaset, czy nawet tysiąc dusz, to czy warto utrzymywać dla nich księdza znającego język litewski?

G.S.M.: — *Czy pan podziela obawy miejscowych Litwinów?*

E.P.: — Nie chcę być sędzią. Jedno jest pewne: sprawa kościoła w Widugierach jest nową kością niezgody. Nie wiadomo zresztą, kto to wszystko tak bez sensu pokręcił, nie pytając o zdanie mieszkańców. Nowy ordynariusz diecezji ełckiej, ksiądz biskup Wojciech Zięba, nie jest jeszcze zorientowany w sprawach litewskich i zapewne parafował podsunęty mu projekt, nawet nie spojrzawszy na mapę administracyjną...

G.S.M.: — *Może było jednak jakieś uzasadnienie?*

E.P.: — Chyba tak. Proboszczem w Widugierach został mianowany znający litewski ksiądz Zenon Parakiewicz, który odprawia obecnie nabożeństwa litewskie w Sejnach. Puński proboszcz ksiądz Ignacy Dziermejko podobno wspominał o tym, że ksiądz Parakiewicz ma dostatecznie dużo lat i trzeba go awansować. Ale Litwini wcale nie chcą tej nowej parafii. Wolą, żeby wszystko zostało po staremu, a w Widugierach był tylko filialny kościół parafii puńskiej.

G.S.M.: — *I co dalej z tą sprawą?*

E.P.: — W nowym kościele już miała być odprawiona msza i wtedy wierni, członkowie Rady Parafialnej z Puńska, zamknęli kościół w Widugierach na kłódkę. Ponieważ po paru dniach kłódkę zniknęła, przywieziono spawarkę, założono sztaby i zespawano je tak, żeby wejść do kościoła w żaden sposób nie było można.

G.S.M.: — *Wynika z tego, że całe to zamieszanie spowodowali fundatorzy i kościół w Widugierach nie był Litwinom konieczny?*

E.P.: — Trudno się z tym nie zgodzić.

G.S.M.: — *Czy sądzi pan, że szczerzy dialog polsko-litewski jest możliwy i uda się w najbliższej przyszłości rozwiązać wszystkie sporne problemy dotyczące zarówno Litwinów w Polsce, jak i Polaków na Litwie?*

E.P.: — Niewątpliwie tak. Potrzebna jest tylko dobra wola z obu stron. My, Litwini, nie zapominamy reakcji Polaków na pamiętne tragiczne wydarzenia pod stacją telewizyjną w Wilnie. Z Suwałk Polacy natychmiast wysłali transport z lekami, środkami opatrunkowymi, plazmą, itp.

G.S.M.: — *A w Warszawie przed ambasadą sowiecką zbiegły się tłumy. Niesiono płonące świece i skandowano: „Wolność dla Litwy!”*

E.P.: — Myślałem wtedy, że w stosunkach polsko-litewskich nastąpi jakiś ważny przełom i tak potrzebna obu stronom przyjaźń połączy nasze narody. Niestety, ta szansa została później zmarnowana...

G.S.M.: — *Z winy obu stron?*

E.P.: — Chyba tak.

G.S.M.: — *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiała Grażyna STRUMIŁŁO-MIŁOSZ

Po ośmiu miesiącach protestów Litwini wygrali spór o kościół w Widugierach. Nowej parafii nie będzie. Kościół w Widugierach zostanie — tak, jak chcieli Litwini — kościołem filialnym parafii puńskiej. I po co to całe zamieszanie? (Redakcja).

Sprawa Demidowa

Profesor

Tadeusz Zieliński
Rzecznik Praw Obywatelskich
Warszawa

Po zapoznaniu się z treścią listu otwartego dra Zbigniewa Demidowa z dnia 1 grudnia 1992 r. do Lecha Wałęsy, Prezydenta RP, Forum Ugrupowań Demokratycznych we Wrocławiu zwraca się z prośbą do Szanownego Pana Profesora o spowodowanie wszczęcia rewizji nadzwyczajnej od wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie z 11 września 1992 r. w sprawie z powództwa Z. Demidowa przeciwko PEBK „Dromex” (akta sprawy sądowej: III APr 44/92). Zaznaczamy, że w wyżej wymienionej sprawie uczestniczyliśmy po stronie powoda.

Pismo dra Z. Demidowa do Prezydenta RP z 1 grudnia 1992 r., które załączamy, jest bogatą analizą uchybień i nieprawidłowości, jakie wystąpiły w postępowaniu Sądu Apelacyjnego. Przeraza nas fakt, że Sąd Apelacyjny w ogóle nie wziął pod uwagę dowodów fałszowania dokumentów dokonanego przez stronę pozwaną, a przedstawionych przez Z. Demidowa i mających istotne znaczenie w jego sprawie. Przeraza nas fakt, że uzasadnienie wyroku Sądu Apelacyjnego z 11 września 1992 r. jest dowodem stronniczości Sądu: w jednym miejscu uzasadnienia Sąd stwierdził, że „(...) ocena pism powoda dotyczących nie-

gospodarności na budowie nie należy do oceny Sądu” (s. 11 wyroku z 11 IX 1992 r.), w innym miejscu Sąd ocenił, zgodnie z interesem strony pozwanej, iż do wybudowanej drogi „(...) strona libijska nie zgłaszała zastrzeżeń” (s. 12-13 wyroku z 11 IX 1992 r.). Zresztą w tej sprawie wypowiedziano się w piśmie do Gabinetu Ministra Handlu Zagranicznego, w którym stwierdzono, że: „Jak ustalono na podstawie dokumentów, przyczyną nieodebrania drogi T-M-G były zastrzeżenia inwestora co do jakości kruszywa (z kamieniołomu Mekhilli) użytego do produkcji betonu asfaltowego (...). Jest faktem, że dotychczasowe koszty naprawy dróg wyniosły kwotę 675 tys. dolarów USA (...). Używanie kruszyw do budowy dróg o złej jakości — miało miejsce...” (pismo z dn. 12 XI 1984 r., GM I 058/84/1270, s. 2). Przeraza nas wreszcie fakt, że Sąd Apelacyjny dopuścił się podania nieprawdy stwierdzając, że „(...) w sprawie strat majątkowych zaistniałych przy realizacji kontraktu w Libii prowadzone było śledztwo, które zostało umorzone wobec braku dostatecznych dowodów zaistnienia przestępstwa” (s. 13 wyroku z 11 IX 1992 r.). Z pisma Ministerstwa Sprawiedliwości z dn. 6 maja 1992 r., skierowanego do Osiedlowego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” Gajowice-Borek we Wrocławiu wynika, że: „Postanowieniem z dnia 19 listopada 1984 r. odmówiono wszczęcia postępowania przygotowawczego”. Prokuratura nigdy nie przesłuchała Z. Demidowa — osoby składającej zawiadomienie o przestępstwie.

Będąc w pełni przekonani o ogromie bezprawia, które miało i ma miejsce w „sprawie Demidowa”, będąc w pełni przekonani, że w ten sposób łamana jest praworządność i prawa obywatela w Rzeczypospolitej Polskiej, prosimy Pana Profesora o osobiste zainteresowanie się sprawą dra Z. Demidowa.

Z poważaniem

Za Polską Partię Socjalistyczną: Andrzej LUDWI-KOWSKI; za Ruch Wolnych Demokratów: (podpis nieczytelny); za Stronnictwo Demokratyczne: (podpis nieczytelny); za Ruch Alternatywnego Myślenia: Zdzisław ILSKI; za Solidarność Pracy: Krzysztof KĘDRZYŃSKI; za Unię Chrześcijańsko-Społeczną: (podpis nieczytelny); za Unię Pracy: Krzysztof KĘDRZYŃSKI

adres korespondencyjny:

Zdzisław Ilski
ul. Grunwaldzka 31/4
50-356 Wrocław

O religii bez namaszczenia

Nowy katechizm — i co dalej?

W połowie listopada ukazało się, jako pierwsze, francuskie wydanie nowego *Katechizmu Kościoła katolickiego**; w ślad za nim ukazują się lub mają się ukazać dalsze wydania: w języku włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim i innych. Wydanie francuskie było pierwsze, gdyż język francuski był językiem ścisłego komitetu redakcyjnego. Pierwotnie zamierzano wszystkie wersje, w tym zapewne i łacińską, ogłosić równocześnie, ale zdecydowano się na wydanie najpierw tylko wersji francuskiej, by zapobiec domysłom co do treści katechizmu i nieoficjalnym przeciekom, których już było kilka. Świadczy to o dużym zainteresowaniu nowym katechizmem. Bo jakkolwiek katechizmów jest wiele, małych dla dzieci i dużych dla dorosłych, to jednak ten miał mieć i na pewno ma wyjątkowo autorytatywny charakter. Praca nad nim trwała sześć lat i został on ostatecznie zatwierdzony przez samego papieża specjalną konstytucją apostolską *Fidei Depositum*, która otwiera ten okazały tom. W rzeczy samej jest to pierwszy aż tak oficjalny katechizm od z górą 400 lat; poprzedni został wydany wkrótce po zakończeniu Soboru Trydenckiego w r.1566. Był to czas największego nasilenia reformacji i kontrreformacji, okres burzy i naporu, w którym konieczne było nowe zasadnicze sformułowanie stanowiska Kościoła w wielu ważnych sprawach. Ten tak zwany *Catechismus Romanus* był przez cztery stulecia tekstem normatywnym katolickiego nauczania na wszystkich szczeblach i takim w pewnym sensie pozostał po dziś dzień, bo jest i w

* *Catéchisme de l'Eglise catholique*. Mame/Plon, Paris 1992. Str. 676.

obecnym katechizmie wielokrotnie cytowany. Obecny katechizm też przychodzi w okresie wielkich przemian, w ślad po równie wielkim wydarzeniu w dziejach Kościoła, jakim był Drugi Sobór Watykański. Przychodzi jednak z ćwierć-wiekowym opóźnieniem. Pomysł opracowania nowego, w pełni autorytatywnego katechizmu powstał w r.1985; mieli tego zażądać biskupi zebrani w Rzymie na synodzie nadzwyczajnym z okazji 20-tej rocznicy zakończenia Soboru. Nie jest wykluczone, że synod został w tym celu zwołany, bo papież natychmiast zgodził się z tym żądaniem i powołał do życia całą aparaturę do opracowania katechizmu. Zarówno ta okoliczność jak i dwudziestoletnie opóźnienie nie pozostało bez śladu na kształcie dzieła, które się z tych prac wyłoniło. Z grubsza mówiąc, o ile sobór był punktem wyjścia, katechizm jest punktem dojścia. Dynamiczna wizja Kościoła otwartego na świat i na przyszłość ustąpiła miejsca statycznej wizji Kościoła umocnionego na osiągniętych pozycjach.

Najlepiej widać to na przykładzie dwóch dekretów soborowych: *Unitatis redintegratio* (o stosunku do innych wyznań chrześcijańskich) i *Nostra aetate* (o stosunkach z judaizmem i religiami nie-chrześcijańskimi). Katechizm prezentuje te dwa dekryty bardzo wiernie, ale tak jak gdyby stwierdzony w nich stan rzeczy miał pozostać niezmienny na nieokreśloną przyszłość. Tymczasem oba dekryty, zwłaszcza *Unitatis redintegratio*, nakreślały jakiś program do wykorzystania. Prawda, że sprawa zjednoczenia chrześcijaństwa nie poczyniła od czasu soboru żadnych postępów i tzw. ruch ekumeniczny stanął na martwym punkcie. Ale katechizm i tego faktu nie stwierdza i zdaje się po prostu akceptować istniejący stan rzeczy. Kościół katolicki jest nadal jedynym prawdziwym kościołem Chrystusa i inne kościoły chrześcijańskie (z wyjątkiem prawosławia) praktycznie nie istnieją. Tak samo nie istnieje Światowa Rada Kościołów. Wszystko to w perspektywie nowego katechizmu jest amorficznym materiałem, nie w pełni chrześcijańskim, który czeka na wchłonięcie, w nieokreślonej przyszłości, w jedyny doskonale chrześcijański Kościół katolicki. Brak jakiegokolwiek szerszej geografii Kościoła Chrystusowego jest najpoważniejszym niedociągnięciem nowego katechizmu.

Tymczasem jednak w ciągu już trzydziestu lat, które minęły od początku Soboru, zmieniła się radykalnie mentalność przeciętnego chrześcijanina, zarówno katolików jak niekatolików. O ile sprawa zjednoczenia chrześcijaństwa nie poczyniła żadnych postępów na szczytach, to poczyniła ogrom-

ne postępy na niższych szczeblach i wśród szeregowych chrześcijan, którzy są dziś sobie bardziej bliscy niż byli kiedykolwiek w długiej historii podzielonego chrześcijaństwa. Znajduje to wyraz we wspólnych modlitwach, wspólnych ekumenicznych nabożeństwach i współpracy w międzywyznaniowych organizacjach. To przełomowe zjawisko zostało w katechizmie odnotowane w kilku linijkach drobnego druku (str. 180/181).

Jak wspominałem, rozmaitych katechizmów katolickich, większych i mniejszych, jest mnóstwo i w samym okresie posoborowym ukazało się ich kilka. Prym wśród nich wiedzie (przynajmniej w czasie) tzw. katechizm holenderski, wydany w r. 1966, czyli bezpośrednio po soborze i przetłumaczony na wiele języków. Katechizm ten miał zrazu za sobą pełne poparcie ówczesnego holenderskiego episkopatu, ale ten stan rzeczy uległ później, na skutek presji ze strony Watykanu, zasadniczej zmianie. Niemniej, właśnie dlatego, katechizm holenderski stanowi użyteczny punkt odniesienia dla zilustrowania ewolucji, jakiej uległa myśl katolicka, przynajmniej ta oficjalna, od czasu soboru. I tak sobór, jak wiadomo, pozostawił otwartą sprawę tzw. sztucznych środków antykoncepcyjnych. Jest więc ona również otwarta w katechizmie holenderskim. Stwierdza on mianowicie, że jakkolwiek planowe unikanie potomstwa jest postawą niegodną chrześcijańskich rodziców, to jednak rozsądne planowanie potomstwa jest moralnie wskazane, przy czym sposób planowania jest sprawą sumienia obojga rodziców, ewentualnie z zasięgnięciem rady lekarza albo spowiednika. W dwa lata później Paweł VI wydał encyklikę *Humanae vitae*, według której jedynym moralnie dopuszczalnym sposobem zapobiegania ciąży jest okresowa wstrzemięźliwość seksualna. Oczywiście to jest również stanowisko, które reprezentuje nowy rzymski katechizm, wbrew poczuciu moralnemu większości wiernych.

Innym przykładem rozmiłowania się nowego katechizmu z dojrzałym poczuciem moralnym jest sprawa dopuszczalności moralnej kary śmierci. Katechizm holenderski stwierdzał, że wprowadzić w Nowym Testamencie nie ma wyraźnego zakazu stosowania kary śmierci (jak nie ma też zakazu niewolnictwa), ale duch nauk Jezusa wyraźnie zakazuje wszelkiego zabijania, czy to na wojnie czy w formie wyroku sądowego. I w tym kierunku powinna była iść ewolucja nauki chrześcijańskiej w ciągu wieków. W praktyce jednak Kościół nader często był tak ściśle związany z istniejącym porządkiem politycznym — czytamy w katechizmie holenderskim — że zabrakło

mu inicjatywy i energii do skutecznego przeprowadzenia takiej ewolucji. Uderzające w tym sformułowaniu jest pokorne przyznanie pewnej winy Kościoła oraz niezadowolenie z osiągniętego poziomu ewolucji moralnej. Ten duch zdrowej ambicji moralnej jest w nowym rzymskim katechizmie zarezerwowany dla sprawy aborcji. Natomiast katechizm nie tylko akceptuje wojnę obronną jako zło konieczne, ale akceptuje również dopuszczalność kary śmierci, aczkolwiek tylko w szczególnie ciężkich przypadkach. Spotkało się to już z ostrym protestem ze strony *Amnesty International*, organizacji od lat zwalczającej karę śmierci.

Duch pokory, widoczny w tamtym katechizmie, tutaj też jakby się ulotnił. Wertując ten nowy tom można by prawie zapomnieć, że najwyższe władze Kościoła katolickiego (jak i innych Kościołów) winne były w ciągu wieków poważnych błędów doktrynalnych, nie mówiąc już o zbrodniach takich jak Inkwizycja. W każdym katechizmie niesłuchanie niebezpieczne jest podawanie bieżącej nauki Kościoła tak, jak gdyby nigdy nie ulegała ona żadnym zmianom i także w przyszłości nigdy żadnym zmianom ulec nie mogła. Mamy na przykład na stronie 186 piękne wyjaśnienie sensu starej formuły, że „poza Kościołem nie ma zbawienia” w oparciu o tekst soborowej konstytucji *Lumen Gentium*. Ale przecież tak nie zawsze było; w imię tej formuły dochodziło do gwałcenia sumień na ogromną skalę (niewątpliwie w najlepszej wierze) i tą formułą sankcjonowano męczeństwa heretyków i przelew krwi w wojnach religijnych. Nie grzebiąc się w odległej historii, dość przypomnieć, że jeszcze niedawno w przed-soborowym Kościele udział katolika w nie-katolickim nabożeństwie kwalifikował się jako ciężki grzech, natomiast teraz bywa mu nawet poczytywany za zasługę. Czytelnik katechizmu ma o tym nie wiedzieć albo nie pamiętać. Katechizm przypomina mu na każdym kroku, ale zwłaszcza na str. 194/195, że urząd nauczycielski Kościoła (magisterium, także magisterium zwyczajne) zawsze był i jest nieomylny.

(Zbieg okoliczności sprawił, że na kilka tygodni przed ogłoszeniem nowego katechizmu papież Jan Paweł II dokonał formalnie i publicznie tzw. rehabilitacji Galileusza. Oczywiście ta rehabilitacja nie Galileuszowi, lecz Kościołowi była potrzebna i o tyle był to raczej zenujący gest. Niemniej był to gest odważny i napawający nadzieją, podobnie jak w swoim czasie odwołanie wzajemnej klątwy między Rzymem a Konstantynopolem i zdjęcie z Żydów odium odpowiedzialności za Ukrzyżowanie. Oczywiście nieuznanych błędów oficjal-

nego Kościoła jest wiele więcej; preferowaną metodą likwidowania historycznych błędów kościelnego magisterium jest wciąż jeszcze pokrywanie ich kurzem zapomnienia. Kilka lat temu profesor Świeżawski z KUL, zresztą osobisty przyjaciel papieża Wojtyły, wystąpił na łamach *Tygodnika Powszechnego* z wymownym apelem o rehabilitację Jana Husa, spalonego na stosie w r. 1415. O ile mi wiadomo, ten apel pozostał całkowicie bez echa).

Interesujące jest zestawienie zgoła absolutnych uprawnień kościelnego magisterium z tym, co nowy katechizm mówi na temat uprawnień i obowiązków indywidualnego sumienia. Kościół katolicki ma za sobą długą tradycję poszanowania ludzkiego sumienia (przynajmniej w teorii), począwszy od św. Tomasza z Akwinu aż po wspaniałą soborową Deklarację o Wolności Religijnej *Dignitatis Humanae Personae*, dokument stosunkowo mało znany, ale o epokowym znaczeniu. Katechizm bardzo wiernie relacjonuje główne tezy tego dokumentu, łącznie ze stwierdzeniem nienaruszalności dyktatu sumienia nawet, gdy to sumienie jest w błędzie (choć jest to nieco osłabione stwierdzeniami Leona XIII i Piusa XII, że nie wolno twierdzić, by błąd miał jakiegokolwiek prawa; str. 436). Katechizm stwierdza dalej, że obywatel ma obowiązek odmówić wykonania polecenia władzy cywilnej, które jest sprzeczne z jego sumieniem (str. 459/460). Widocznie jednak wierny nie ma takiego obowiązku, gdy chodzi o polecenia kościelnego magisterium. Na str. 421 katechizmu czytamy: *Il ne convient pas d'opposer la conscience personnelle et la raison à la loi morale ou au Magistère de l'Eglise.*

Strasznie ponuro wypada ta moja ocena nowego rzymskiego katechizmu. A przecież jest to ocena wierzącego chrześcijanina, z wychowania katolika i katolika po dziś dzień, choć woli się on określać raczej jako chrześcijanin bez precyzowania swojej ściślejszej wyznaniowej przynależności. I ta moja wiara przetrwała jakoś wiele lat i wiele burz aż do późnej starości i praktykuję ją tak dobrze jak tylko potrafię. Czy nie mam nic dobrego do powiedzenia o tym katechizmie? Oczywiście to wszystko jest mi w jakiś sposób bliskie, bo jest to *mutatis mutandis* ten sam katechizm, którego uczyłem się w szkole. Temu zawdzięczam swoją wiarę. Czy nie powinienem być wdzięczny za nowy katechizm?

Pozwolę sobie na osobiste wspomnienie. Gdy jako mło-

dy człowiek po raz pierwszy przeczytałem w całości cztery Ewangelie, byłem trochę rozczarowany, że Pan Jezus tak nieporządnie wiarę chrześcijańską wykląda. Byłem przyzwyczajony do porządnie usystematyzowanej wiary: 10 przykazań Bożych, 5 przykazań kościelnych, 6 prawd wiary, „które każdy człowiek znać i wierzyć powinien, pod utratą zbawienia”, 7 sakramentów świętych, 3 cnoty boskie itd. itd. W Ewangeliach to wszystko było owsem, albo można było to wszystko z Ewangelią jakoś wyłonić, ale było tam jakoś pomieszane... ale także „niedocieczonego wątku pełne jak mit”, owiane wielką tajemnicą. Od tego momentu zaczęła trochę dorosnąć moja wiara.

Kilka dni temu przeżyłem coś podobnego w skali mikro. Gdy otworzyłem *Catéchisme de l'Eglise Catholique* i zacząłem czytać pierwszy rozdział o tym, jak to *L'homme est capable de Dieu*, poczułem jakby znowu tchnienie Wielkiej Tajemnicy. Niestety, niedługo to trwało. Im głębiej zacząłem wchodzić w las, tym bardziej teren wydawał mi się znajomy, tajemnica zaczęła znikać (choć tekst mnie zapewniał, że istnieje nadal) i wkrótce znalazłem się w dobrze mi znanym świecie skwantyfikowanych prawd wiary i skodyfikowanych przykazań Bożych, tak przejrzystych i łatwych jak wyasfaltowane ulice mojej podlondyńskiej dzielnicy.

Ogłędniej mówiąc, jest to jasność helleńska, łacińska, europejska, zachodnia, rzymska. Autorom katechizmu zależy na tym, by wszystko zostało wyjaśnione. Mówią o tajemnicach wiary, w odpowiednich miejscach dają odpowiednie wywieszki, ale wolą, aby czytelnik za bardzo się w tajemnicę nie wgłębiał, bo może się pogubić i niestosowne myśli mogą mu przyjść do głowy. Lepiej by zaufał Magisterium. Pismo św. — trudne, bo nie helleńskie a hebrajskie, nie logiczne a poetyckie — jest dawkiwane ostrożnie, racjonalnie, z odpowiednim komentarzem. Bibliści ze swoją wielostopniową egzegezą i krytyką historyczno-literacką nie mają tu wiele do gadania. Teologowie (jak to przyznał członek komitetu redakcyjnego, angielski biskup David Konstant) też byli w redakcji katechizmu na dalszym planie. Katechizm to była rzecz biskupów jako nauczycieli wiary. Podobno 3000 biskupów było zaangażowanych w światowych konsultacjach na temat kolejnych redakcji katechizmu, a więc jest to wspólne dzieło całego Kościoła i, jak to zapewnia kardynał Ratzinger, „ani jedno słowo nie zostało napisane w Rzymie”. To nie jest wykluczone, ale i kardynał Ratzinger nie zaprzeczy, że ostatnie słowo w każdym punkcie katechizmu miała ścisła ko-

misja redakcyjna, on sam jako jej przewodniczący i wreszcie sam papież. Nikt nie ukrywa też, że celem całego przedsięwzięcia jest ukrócenie teologicznego pluralizmu w świecie katolickim i zdefiniowanie jasno i wyraźnie, co jest a co nie jest katolicką prawdą. Chodzi o odesłanie do lamusa innych katechizmów takich jak katechizm holenderski i stosunkowo niedawny francuski *Pierres vivantes*, które odważały się samodzielnie myśleć i respektowały samodzielną myśl, łącznie ze znakami zapytania czy wątpliwościami, swoich czytelników. Nowy katechizm jest, ściśle mówiąc, przeznaczony tylko dla biskupów i ich bezpośrednich pomocników odpowiedzialnych za katechezę. Ma to być centralny katechizm wzorcowy, na podstawie którego mają być następnie opracowane katechizmy regionalne czy krajowe, uwzględniające intelektualną i kulturalną specyfikę tych obszarów. Ale każdy z tych nowych katechizmów będzie oczywiście wymagał zatwierdzenia przez Rzym. Innymi słowy, nowy rzymski katechizm jest jeszcze jednym elementem centralistycznej polityki kościelnej energicznego papieża Jana Pawła II, takim samym jak ograniczenie jurysdykcji kościołów lokalnych, akcje dyscyplinarne przeciw teologom i podróże papieskie.

Nie sądzę, by ten program był realny. Jest zbyt rażąco sprzeczny z temperamentem naszej współczesności. I Kościół Katolicki, niemniej jak cała reszta Kościoła Chrystusowego, nie jest oczywiście bezwolną masą, która da się duchowo czy administracyjnie urabiać z jednego centrum. Duch Święty oczywiście nie ma obowiązku przestrzegać jednej drogi służbowej. Gdyby ten plan miał być realny, oznaczałoby to zamianę Kościoła Katolickiego w jedno wielkie ghetto, bez szans skutecznej ewangelizacji świeckiego świata. Nie ludźmy się: zainteresowanie nowym katechizmem nie jest typu „Uczmy się prawdziwej wiary”, ale raczej typu „Co tam nowego Rzym papieski wymyślił”. Nie wątpię przy tym, że intencje papieża Jana Pawła i twórców nowego katechizmu są kryształowo czyste. Są tylko tragicznie błędne. Istniejący w Kościele Katolickim ferment nie jest wyrazem złej woli, zgubienia drogi czy braku wiary, lecz przejawem rosnącego braku zaufania do jego centralnego kierownictwa. Chciałbym powiedzieć za św. Pawłem: „Bo muszę im wydać świadectwo, że pałają żarliwością ku Bogu, nie opartą jednak na pełnym zrozumieniu”. (Rzym. 10, 2). I jest mi bardzo smutno.

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

Ukraina i sąsiedzi: łatanie dziur

Prezydent Ukrainy, Leonid Krawczuk, ma szczęśliwą rękę do polityki zagranicznej, w każdym razie szczęśliwszą, niż w sprawach wewnętrznych. Za każdym razem, kiedy brał się do kwestii międzynarodowych, zdobywał punkty dla siebie i dla swego kraju. Tak było w Warszawie, w maju ubiegłego roku, tak w Turcji, Chinach, a potem w Izraelu. To właśnie w Jerozolimie, na tle słusznych czy niesłusznych wzajemnych obciążeń z przeszłości, Krawczuk dokonał historycznego przełomu. Stało się to dzięki wcześniej położonym przezeń fundamentom pod ten proces zmiany, liberalną politykę mniejszościową i aktywną postawę wobec jakichkolwiek antysemickich wybrzków. Wyrazem tej polityki były obchody pięćdziesięciolecia hitlerowskiej zagłady Żydów kijowskich w Babim Jarze. Wszystko to w Izraelu skrupulatnie zanotowano. Dzięki temu prezydent Ukrainy spotkał się z przyjazną atmosferą. Zaczął się więc nowy okres w tragicznych dotąd stosunkach żydowsko-ukraińskich. Sprawa nie jest błaha. Na Ukrainie, gdzie niegdyś poczęły się dzieje religijnych i kulturowych prądów żydowskich, jak choćby chasydyzmu lub twórczości takich pisarzy jak Szolem Alejchem, wciąż jeszcze mieszka największe po Izraelu i Nowym Jorku skupisko żydowskie, a w Izraelu ćwierć miliona obywateli pochodzi z Ukrainy. Jest więc sporo do działania na tym polu, a widocznym skutkiem zmiany jest bardzo wydatne obniżenie emigracji żydowskiej do Izraela, Ameryki i Niemiec. Miejmy nadzieję, że klasa polityczna oceni zasługi Leonida Krawczuka i będzie wcielać w życie jego dzieło. Szkoda tylko, że współczesna publicystyka ukraińska nie pojęła tego wydarzenia, ale jej charakterystyczną cechą jest stałe nienadążanie za faktami. Byłoby lepiej, gdyby jej idee i pomysły kie-

rowały krokami polityków. Niestety jest akurat na odwrót.

Dyplomacja ukraińska też nie nadąza za prezydentem. To, co on swym wytrawnym instynktem i politycznym kunsztem zapoczątkuje, leży potem miesiącami, a dziś już latami, odłogiem. Decyzja o przejęciu starej kadry, dawnych przestraszonych swym ukraińskim pochodzeniem „midowców” (od rosyjskiej nazwy *Ministerstwa Inostrannykh Diel*, w skrócie MID) nie wyszła w większości młodemu państwu na dobre. Tam, gdzie ich znano jako posłusznych niewolników Moskwy, nie mogli nagle pozyskać respektu, a tam gdzie ich nie znali, nie rozwinęli ani skrzydeł fantazji, ani nieodzwonnej przedsiębiorczości. Mści się na nich stare przyzwyczajenie „sowków”, czyli ludzi sowieckich, strach przed własną inicjatywą i czekanie na dyrektywy z góry, które zazwyczaj na czas nie przychodzą. Lepiej wyszły państwa bałtyckie, Polska, Węgry a nawet Armenia, które zaangażowały nieobciążonych komunizmem i służalczą naukowców na Zachodzie z solidnym prestiżem i dobrymi koneksjami w krajach osiedlenia.

Najgorsze jednak, to brak zwartej i przemyślanej koncepcji. Minister spraw zagranicznych obiecuje taką programową politykę, ale wszystko kończy się na obietnicach, a posłowie w parlamencie, którzy z nielicznymi wyjątkami nie mają zielonego pojęcia o sytuacji międzynarodowej, wcale się tym nie przejmują, bo i po co? I tak by w debacie nie mieli wiele do powiedzenia. Sprawa nie jest prosta, bo Ukraina wciąż jeszcze — i z powodów geopolitycznych i ze względu na tysięczne powiązania z dawnymi częściami składowymi upadłego imperium — porusza się jak linoskoczek, szukając, jak zawsze w historii, balansu między Wschodem a Zachodem. Ale to nie zwalnia polityków od szukania wyjścia z odwiecznego dylematu, którego przy pierwszej poważnej szansie, to znaczy po upadku trzech mocarstw europejskich w wyniku pierwszej wojny światowej, w odróżnieniu od Polski, rozwiązać się nie udało, w dużym stopniu dlatego, że ówczesni politycy w Kijowie nie potrafili przedstawić społeczeństwu atrakcyjnej wizji przyszłości. Przeciwnie, obecny impas pogłębia kryzys władzy i odpycha wielu obywateli od czynnego udziału w życiu politycznym.

Otwarte opcje

Małe państwa lub kraje tradycyjnie żyjące w przyjaźni z sąsiadami układają swe stosunki zewnętrzne odpowiednio do sy-

tuacji. Ukraina nie może sobie pozwolić na taką pragmatykę. Czas nagli, aby dokonać jakiegoś wyboru lub myśleć i działać w kategoriach rozwiązań alternatywnych. Ale ukraiński MSZ nie może się w żaden sposób z tym zadaniem uporać. Tylko spoza ministerstwa wychodzą czasem jakieś pomysły. Jednym z nich był plan Międzymorza, w Polsce i na emigracji niegdyś dyskutowany, a potem zaniechany. W Kijowie wówczas o tym niczego lub prawie niczego nie wiedzieli. Odgrzebał go pisarz i polityk Iwan Dracz, ale odzew był znikomy. Nikt się tym poważnie nie zajął, aby zainteresować państwa bałtyckie i Białoruś. Dziś ta sprawa jest już pogrzebana, gdyż ani w Wilnie, ani w Mińsku o tym słuchać nie chcą. Powstała potem idea doktryny o współpracy w basenie Czarnego Morza, ale pomysł ten przechwyciła w międzyczasie Turcja i działa w tym kierunku przy dużej pasywności Ukrainy. Wynikła też w kręgu intelektualistów myśl o powołaniu do życia strefy bezatomowej między Rosją a Francją, z udziałem trzech największych państw w takim układzie — Niemiec, Polski i Ukrainy — i kilku krajów ościennych. Ale i taka konstelacja nie stała się przedmiotem szerszej debaty.

I znowu na scenę wkroczył Leonid Krawczuk, który na ostatniej naradzie szefów państw Wspólnoty, powstałej na gruzach imperium sowieckiego w Mińsku dokonał nie lada majstersztyku. Nie podpisał statutów krępujących swobodę wyboru przyszłych porozumień czy sojuszów, pozostawił jednak drzwi uchylone dla Kijowa w tej bardzo osobliwej euroazjatyckiej komitywie. Jest to sygnał dla sąsiadów na Zachodzie, aby wystąpili z konkretnymi propozycjami i dali Ukrainie nareszcie szansę na przyciąganie do Europy. Na tym prezydent-dyplomata nie poprzestał. Dalsze sygnały przesłał na spotkaniu Wschód-Zachód w szwajcarskim uzdrowisku Davos, gdzie ongiś bogaci i chorzy leczyli gruźlicę, a w ostatnich latach politycy i ekonomiści zbierają się co roku na narady o leczeniu chorej gospodarki post-komunistycznej. Wreszcie podczas ostatniej wizyty w Londynie wskazał na czekającą w ogonku do zachodnich przedsiódków Ukrainę.

Ale głównym adresem tych wszystkich otwartych opcji ukraińskich jest jednak Polska. To nieprawda, że Ukraina orientuje się na Niemcy. W porównaniu z układami, kredytami, fundacjami i wreszcie rozwiniętym handlem pomiędzy Warszawą a Bonn, Ukraina żadnych tego rodzaju układów z Niemcami nie posiada. Pomawianie Ukraińców o rzekome bliskie koneksje niemieckie jest albo produktem chorobliwej fantazji, albo świadomym kłamstwem. Jedno i drugie nie poma-

ga budowaniu stosunków Warszawa-Kijów.

Z drugiej strony trzeba z uznaniem podkreślić fakt, że po miesiącach pustki nastąpiło ożywienie w postaci serii wizyt polityków polskich w stolicy Ukrainy. Najpierw ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego, potem premiera Hanny Suchockiej i z kolei ministra obrony Janusza Onyszkiewicza. Zdaje się, że politycznie więcej treści posiadały rozmowy obydwu ministrów z ich partnerami. Gospodarzo chyba wizyta Suchockiej i jej dialog z Krawczukiem w Davos. Fakt, że pani Suchocka nie pojechała do Lwowa, nie był skutkiem zakulisowej gry ukraińskiej. Jak oświadczył konsul Rzeczypospolitej Henryk Litwin w wywiadzie dla lwowskiego pisma *Młoda Hałyczyna*, było to następstwem pośpiechu organizacyjnego. Jego zdaniem nie należy wyolbrzymiać nastrojów nacjonalistycznych w ukraińskiej społeczności Lwowa. Warto jednak dodać do tego, że nastroje te są w dużej mierze pochodną stale ropijącego na ciele stosunków polsko-ukraińskich wrzodu rzymskokatolickich ekscesów wobec kościoła grekokatolickiego i jego niespełnianych postulatów w Przemyślu. Dopóki tam nie będzie spokoju, dopóty będzie wrzało we Lwowie. Ukraińska prasa lwowska drukuje co kilka dni apele do katolickiej hierarchii i władz świeckich i rządu w Warszawie, aby wreszcie ukróciły dyskryminację ukraińskich grekokatolików w Przemyślu, a przede wszystkim praktykę niszczenia w tym mieście ukraińskich pamiątek religijno-historycznych.

Z drugiej strony warto jednak stwierdzić, że w pismach ukraińskich we Lwowie ukazuje się ostatnio więcej materiałów na temat współpracy pomiędzy obydwo państwami (zwłaszcza w takich dziennikach jak *Wysoki Zamek*, *Młoda Hałyczyna* i tygodnik *Post-Postup*) niż w prasie kijowskiej. Dowodem na to jest na przykład okoliczność, że w Kijowie zwlekano bardzo długo z ogłoszeniem wywiadów redaktora Jerzego Giedroycia i ministra Skubiszewskiego, a dzienniki lwowskie uczyniły to wcześniej i w szerszym zasięgu. Dalszym przykładem jest współpraca z okazji jubileuszu Brunona Schulza w Drohobyczu i we Lwowie. Nie znaczy to, że jest już jak najlepiej, ale mogłoby być znacznie gorzej.

Podczas wizyty premiera Suchockiej ustalono program wzmożonej współpracy naukowej i kulturalnej. Jest to bardzo potrzebne, bo w ten sposób powstają podwaliny wzajemnego zbliżenia. Tylko obydwa rządy powinny pamiętać, że dzięki inicjatywie profesora Jerzego Kłoczowskiego z Lublina już zrobiono wiele w tej dziedzinie. Warszawa i Kijów winny w

dalszych poczynaniach ten dorobek uwzględnić. Ale jest to — choć na pewno bardzo istotny — jednak tylko fragment całokształtu dzieła, którego nie ma dotychczas nawet w zarysach.

Jeśli Ukraina nie posiada dotychczas potrzebnej doktryny czy tylko ogólnej wizji w polityce zagranicznej poza codzienną obroną zdobytej suwerenności, to wydaje się, że jej starsza siostrzyca, Polska, też cierpi na podobne zjawisko. Niestety tak się sprawy złożyły, że w obydwu krajach panuje nieład na górze i na dole. Ukraina jest jednak w większej opresji. W toku ukraińskiej „wojny na górze” natłuczono jeszcze więcej porcelany niż swego czasu czy znowu ostatnio w Polsce. Władysław Czarnowił, który ze swą ideą plebiscytu i walki przeciw Krawczukowi doznał klęski, odwraca naprędce kurs i deklaruje — niestety poniewczasie — lojalność i pomoc wobec niedawnego adwersarza. A po drugiej stronie barykady podnosi głowę komuna, która zionie żądzą odwetu i szykuje się do przetrącenia ledwie co poczętej radykalnej reformy gospodarczej, nie według recept Balcerowicza czy Gajdara, a raczej opartej na wzorach kapitalizmu państwowego czy francuskiej planifikacji, czy może nawet w pewnym stopniu na modłę dawnych poglądów Studentowicza lub Bobrowskiego w Polsce. Leonid Kuczma, nazywany „żelaznym kanclerzem”, przejął po swym poprzedniku Fokinie kompletną ruinę. Jego zespół pracuje dzień i noc. Polska mu materialnie pomóc nie może, ale Warszawa mogłaby się głębiej i skuteczniej zaangażować w wypracowanie wspólnych inicjatyw. Jest cała skala niewykorzystanych czynników gospodarczych, projektów dla uruchomienia wspólnych mocy produkcyjnych, planów komunikacyjnych, transportowych.

Rozbicie wewnątrzpartyjne, walka podjazdowa przeciwko prezydentom w obu krajach, apatia naszych społeczeństw i zapatrzenie Polski na Brukselę i Wyszehrad — hamują współpracę na miarę istniejących jak nigdy szans i warunków. W takiej sytuacji nie pozostaje nic innego jak zjednoczyć wysiłki koncepcyjne ludzi świadomych tej rzadko w naszej historii nadarzającej się okazji. Powołanie nieformalnych zespołów dla opracowania wspólnej koncepcji na dziś i na jutro byłoby pierwszym krokiem do wyjścia z dotychczasowej łataniny dziur.

Bohdan OSADCZUK

Polsko-ukraińskie zgrzyty

Kiedy w listopadzie ub. r. ojcowie karmelici przystąpili do rozbiórki zabytkowej kopuły (rozpoczęto od demontażu krzyża), w środowiskach ukraińskich grekokatolików zawrzało. Ponownie bowiem karmelici i ich inspiratorzy dopuścili się prowokacji. Naruszona została, jak stwierdza Generalny Urząd Konserwacji Zabytków, ustawa o ochronie dóbr kultury oraz przepisy prawa budowlanego czyli, krótko mówiąc, doszło do złamania prawa (nie tylko zdrowego rozsądku). Na szczęście władze centralne nakazały wstrzymanie prac rozbiórkowych i ograniczenie się jedynie do remontu zabezpieczającego przed deszczami i wiatrami. Interweniowało również kierownictwo episkopatu, zaalarmowane tym potwornym szaleńczym wybrykiem karmelitów (z tym zakonem, skądinąd, władze kościelne mają od dawna poważne kłopoty wynikające z niesubordynacji). Tę „niefortunną decyzję”, jak ją określił pewien przedstawiciel Kościoła rzymskokatolickiego, należy przypisać przede wszystkim niepoprawnej, zainteresowanej stronie polskiej. Jak było do przewidzenia (p. mój dziennik z podróży po Ukrainie, *Kultura* nr 9, 1992 r.) i tym razem incydent w Przemyślu odbił się rykoszetem na terenie metropolii lwowskiej, gdzie wciąż jeszcze władze lokalne odmawiają zaspokojenia przynajmniej części dezyderatów Kościoła rzymskokatolickiego, (m.in. przydzielenia siedziby arcybiskupowi metropolii Jaworskiemu). Gdyby premier Suchocka wybrała się do Lwowa, fiasko jej wizyty na Ukrainie byłoby jeszcze bardziej widoczne. Prasa krajowa i ukraińska, wytykając te czy inne niedostatki tej wizyty, pominęła fakt, że prezydent Krawczuk, unikając spotkania z Suchocką, wolał nie wygrywać wobec Rosjan atutu polskiego przed ostatnim „szczytem” w Mińsku, gdzie uchylił się od podpisania statutu Wspólnoty Niepodległych Państw. Jak twierdzi Zbig Brzeziński, w najbliższych 3-5 latach czeka Ukrainę niezmiernie krytyczna i trudna faza konsolidacji, w której dobre stosunki i pojednanie z Rosją będą konieczne. Ambasador ukraiński w Rzymie Anatoli Oreł podkreśla, że niepodległa Ukraina potrzebuje obydwu państw, Rosji i Polski, w żadnym jednak razie nie jednego kosztem drugiego. Zwraca ponadto uwagę, że to co Polacy określają pejoratywnie jako nacjonalizm polega na dążeniu do „odzyskiwania twarzy”, czyli tożsamości narodowej. I choć sam jest religijnie obojętny, uważa iż tę tożsamość uosabia nie Cerkiew prawosławna (niezależnie do tego czy podlega formalnie rosyjskiemu patriarchatowi, czy tzw. autokefaliczna), lecz Kościół grekokatolicki. W tym

stanie rzeczy, biorąc pod uwagę także trudną sytuację w łonie tego Kościoła, który wyszedł z katakumb zaledwie trzy lata temu, strona polska powinna unikać wygórowanych żądań dotyczących położenia naszej mniejszości. Jest rzeczą znamionną, że nadal nie ma zadrażeń na terenach na wschód od Zbrucza (czyli dawnej granicy), natomiast w odniesieniu do dawnej Małopolski wschodniej przedstawiciele naszych kręgów politycznych postępują nieraz tak, jakby chodziło o wielkie liczby, zapominając, że w samym Lwowie naszych rodaków jest nie więcej jak 15 tys. (na 750 tys. mieszkańców), a razem z okresem ok. 25 tys. (na obszarze całej metropolii lwowskiej ok. 100 tys.). Zapominają lub nie doceniają (co praktycznie na to samo wychodzi) faktu, że gospodarzami są tam Ukraińcy i należy z tego wyciągnąć stosowne wnioski. Ciągłe podsycanie (nieraz, przyznać trzeba, słuszych) postulatów lokalnych przez przyjezdnych posłów i senatorów z Warszawy nie pomaga w rozładowaniu wzajemnych urazów i kompleksów. Te postulaty, jestem o tym święcie przekonany, można załatwić poprzez nawiązywanie obustronnie pożytecznych kontaktów, stwarzających sprzyjający klimat. Z drugiej strony także ukraińska strona wysuwa różne pretensje, jak np. brak potępienia „Akcji Wisła”. Niezależnie od takiego aktu, który miałby duży efekt psychologiczny, istnieje praktyczna kwestia repatriacji ukraińskiej ludności przesiedlonej na ziemie zachodnie i północne. Zgoda, duża część jej na pewno wrosła od dwóch pokoleń w nowe siedziby i nie kwapi się do powrotu. Z drugiej jednak strony w Bieszczadach i w całym południowym pasie dawnego woj. rzeszowskiego, po likwidacji PGR-ów, sporo ziemi leży odłogiem i panuje tam nędza. Z wiarygodnych źródeł dowiaduję się, że wiele osób przestało korzystać z zasiłków dla bezrobotnych (dzieci przychodzą głodne do szkoły), podczas kiedy ukraińska emigracja jest gotowa przyjąć z pomocą finansową rodaków powracającym do dawnych wiosek, wymagających inwestycji. A więc znowu, tak jak w sławetnym epizodzie przemyskim¹, mamy do czynienia ze zjawiskiem sprzężenia zwrotnego: brak inicjatywy z naszej strony, która *nb.* byłaby opłacalna, powoduje blokowanie realizacji polskich dezyderatów na wschód od Sanu. Głupota czy brak wyobraźni? Trudno orzec, co bardziej daje się tu we znaki, prawdopodobnie jedno i drugie. Przecież nie byłoby zbyt trudne stworzenie tam warunków dla uwłaszczenia i zagospodarowania tych ziem na rzecz ludności, którą siłą stamtąd wysiedlano.

1. Niefortunna decyzja podporządkowania historycznej diecezji grekokatolickiej w Przemyślu rzymskokat. prowincji warszawskiej będzie wkrótce naprawiona poprzez związanie jej bezpośrednio ze Stolicą Apost.

Tymczasem ukraińscy grekokatolicy z rosnącą niecierpliwością wyczekują na przyznanie im przez Watykan ustroju patriarchalnego. Trudno jednak wciąż przewidzieć, kiedy to nastąpi. Kościół ten — mówi się tu — musi najpierw okrzepnąć. Ostrożność Watykanu wiąże się jednak w tym szczególnym przypadku z rozbiciem w łonie prawosławia. Jeśli ta decyzja miałaby dojść do skutku w niedługim czasie, będzie to patriarchat lwowski-halicki, a nie kijowski. Kijów bowiem jako siedziba metropolitów prawosławnych prędzej czy później otrzyma autokefalię i tytuł patriarchy od Konstantynopola, dawnego Bizancjum, historycznej kolebki prawosławia. Wkrótce natomiast nastąpi zatwierdzenie trzech nowych diecezji, erygowanych na majowym Synodzie biskupów we Lwowie i w Tarnopolu oraz na terenach Ukrainy wschodniej, w Odessie i Czernichowie. Najpoważniejszą troską, która trapi ukraińskich biskupów i kapłanów są niesnaski wewnętrzne, wynikające głównie z długotrwałej izolacji miejscowego kleru (i niedawno zatwierdzonej hierarchii), nieprzygotowanego do działalności pasterskiej w nowych warunkach. Niezależnie od tego nie są oswojeni za zmianami w liturgii, dyscyplinie i kodeksie kanonicznym, które nastąpiły w Kościele ukraińskim po wojnie działającym aktywnie w diasporze, gdzie *nb.* rozwija się nadal, o czym świadczą m.in. ostatnie nominacje episkopalne w USA, Kanadzie i Australii.

Dominik MORAWSKI

Notatki rosyjskie

Dwa miesiące temu, spiesząc się z oddaniem „Notatek” do numeru, w ostatniej chwili dopisałem kilka słów o nowym premierze Rosji, którego po długich wahaniach wybrał zjazd deputowanych. Znajac poglądy i działalność Wiktora Czernomyrdina, doszedłem do wniosku, że nominacja jego oznacza, iż rząd Rosji zdominują „praktycy” i usuną w cień „teoretyków-monetarystów”.

Pospieszyłem się. Za wcześniej było sądzić, kto kogo usunie w cień, a sam zasiądzie w słońcu. Pierwszą niespodziankę zgotował wszystkim nowy rząd. Większość dawnych ministrów z rządu Gajdara zachowała teki. Wicepremierem od spraw reformy i finansów został Borys Fiodorow. Ten 34-letni ekonomista, minister finansów w rządzie Siłajewa, zdymisjonowany, kiedy Gorbaczow nie zgodził się na „program 500 dni”, zaczął pracować

w międzynarodowych instytucjach finansowych, a od października 1992 był dyrektorem do spraw Rosji w Banku Światowym. Jegor Gajdar w wywiadzie dla *Komsomolskiej Prawdy* (10.1.93) podkreślił, że Fiodorow odszedł do rządu „z bardzo wysokiej pensji, ponad 100 tys. dolarów”. Rosyjscy dziennikarze pisali, że Fiodorow podziela w sprawie reformy gospodarczej poglądy Gajdara, tyle że jest mniej ustępliwy, twardszy i bardziej agresywny. Nie mylili się. Ledwie Wiktor Czernomyrdin podpisał dekret o kontroli cen niektórych towarów, Borys Fiodorow, bawiący wówczas w Nowym Jorku, telefonicznie dekret uchylił.

I wszystko wróciło w utarte koleiny: dekret — kontrdekret, uchwała o reformie i uchwała przeciw. We wspomnianym wyżej wywiadzie Gajdar postawił prognozę gospodarczą: „W styczniu nie spodziewam się żadnych przykrości ani w dziedzinie kursu walut, ani w dziedzinie inflacji. Pierwsze dwa miesiące nowego roku będą dość spokojne...” Były premier głęboko się mylił. Inflacja galopuje jak szalona. Od końca ubiegłego roku przerodziła się w hiper-inflację. Minionego lata Gajdar ustalił kurs dolara na 120 rubli. W pierwszym tygodniu lutego dawano za dolara ponad 600 rubli.

Prywatyzacja trwa. Opiera się na różnych, często sprzecznych prawach i większość ludności nie rozumie jej sensu. A może rozumie aż za dobrze. Istnieją dwie główne formy prywatyzacji. Jedna jest powszechnie znana: przedsiębiorstwo staje się własnością kolektywu, czyli niczyją. W drugiej udziały wykupują prywatni ludzie i powstają grupy akcjonariuszy. W tym przypadku — uważa opinia publiczna — majątek narodowy rozgrabiają ludzie nomenklatury, aferzyści i mafiosi (te określenia coraz częściej uchodzą za synonimy).

Niektórzy reformatorzy uważają, że postępująca prywatyzacja zmienia strukturę gospodarki rosyjskiej, a zatem również mentalność ludzi. Niewykluczone, że tak się stanie. Możliwe też, że stanie się inaczej, bo produkcja spada na łeb na szyję, a obywatele Federacji Rosyjskiej chcieliby jeść co dzień. Co więcej, sądząc po relacjach z podróży Leopolda Ungera i Bohdana Osadczyka (*Kultura* nr 1-2/1993), jeść — też codziennie! — chcą również obywatele niezależnych republik Litwy i Ukrainy.

Największą niespodzianką, jaką zgotował wszystkim nowy rząd Rosji, był brak niespodzianek (wyjąwszy niespodziewanego premiera). Tylko jedna nominacja każe się zastanowić. W przeddzień zjazdu i podczas jego obrad, kiedy prezydent Rosji walczył jak lew z deputowanymi, ci ostatni atakowali niektórych ministrów, bliskich Borysowi Jelcynowi. Dla świętego spokoju Jelcyn złożył im w ofierze kilku doradców — m.in. Gennadija Burbulisa i Michaiła Połtoranina. Już po ogłoszeniu składu nowego gabinetu Jelcyn mianował Połtoranina szefem Biura In-

formacyjnego Rosji w randze wicepremiera. Sam zainteresowany powiada, że „podlega tylko prezydentowi”.

Stworzenie Biura Informacyjnego Rosji — organ taki dotychczas nie istniał — należy, moim zdaniem, uznać za element walki o władzę, którą w Rosji prowadzą wszyscy ze wszystkimi. Zbyteczne dowodzić, że kontrola informacji jest potężnym orężem w rękach władzy. Pozwala ono najwyższej instancji kształtować opinię publiczną stosownie do swoich potrzeb. W dzisiejszej Rosji brakuje wielu rzeczy, ale istnieje ministerstwo prasy i informacji (ministrem jest doktor praw, prof. Michaił Fiedotow) i Biuro Informacji. Michaił Połtoranin określił jego zdanie jasno i lakonicznie: „Nasz ośrodek będzie państwowym producentem informacji, a ministerstwu prasy pozostanie kontrola prawna i regulowanie — nie tylko państwowych, ale też niezależnych środków masowej informacji”. Różnica między dawnym (komunistycznym) a nowym (demokratycznym) systemem „produkcji i rozprzestrzeniania informacji” polega na tym, że szef, Michaił Połtoranin, w 1985 r. naczelny redaktor *Moskowskiej Prawdy*, wierny sojusznik sekretarza moskiewskiego komitetu partyjnego Borysa Jelcyna, został liberałem i demokratą, podobnie jak prezydent, któremu służy.

Choć istnieje jeszcze inna różnica. Dawniej, za czasów monopolu, produkcja i szerzenie informacji były prostsze aniżeli dziś. Dlaczego jednak nie spróbować?

Zmienił się premier, ale polityka gospodarcza — do dziś — została ta sama. Pozostał na stanowisku minister spraw zagranicznych Andriej Kozyriew, którego dymisji z uporem żądał zjazd. W polityce zagranicznej Rosji widać oznaki ożywienia i zmian. Powtarzam: oznaki, nie zmiany. Ale oznaki dostrzegalne. „Oficjalne koła rosyjskie” (bez nazwisk) badają teren w Niemczech: a nuż zechcą wespół z Rosją stworzyć przeciwagę Stanów Zjednoczonych? Poseł do Bundestagu Karl-Heinz Hornhuez ujawnił, że dostał z Moskwy propozycję, aby wespół z Rosją przeciwstawić się interwencji zachodnich sił zbrojnych w Serbii. Podczas wizyty w Indiach Jelcyn powiedział, że Stany Zjednoczone nie będą Rosji dyktować polityki i podpisał umowę o dostawach do Indii rosyjskich wyrzutni atomowych — przeciwko tej umowie protestował Waszyngton.

Najwyraźniejszym symptomem ożywienia rosyjskiej polityki zagranicznej jest pozycja Moskwy w Tadżykistanie. Rosja najpierw pomogła prokomunistycznym siłom zdobyć władzę w Duszanbe, a dziś wzmacnia swe oddziały w Tadżykistanie. Uzasadnienie tego jest nieco zaskakujące: granica Tadżykistanu z Afganistanem stanowi granicę rosyjską. Przemawiając niedawno we wschodniej Syberii wiceprezydent Rosji Ruckoj kategoricznie oświadczył: „Nie pozwolimy na rozpad kraju na 130 udzielnych

księstw. Komu marzy się, że zepchnie kraj w granice sprzed Iwana Groźnego, ten niech pamięta, że mieliśmy też Piotra Wielkiego”. Nie sposób dziś powiedzieć, na ile ta koncepcja da się wcielić w czyn i jak liczne są siły, które za nią stoją.

Pewna amerykańska gazeta doniosła o ostatnim sukcesie sowieckiej kosmonautyki: w kosmosie rozwieszono mianowicie ogromne kosmiczne lustro (z jakiejś masy plastycznej). Jest to próba generalna. W niedalekiej przyszłości lustro takie (tylko większe) pozwoli oświetlić miasta. Doskonały ten pomysł przypomina mi uwagę jednego z bohaterów powieści „Czewengur” Platonowa: „Rosja, której brakło paliwa dla oświetlenia swoich izb, zachciała nieść światło całemu światu”. Amerykanie podali tę wiadomość pod tytułem: „Rosjanie rozwiesili kosmiczne zwierciadło, ale i światło i jego przyszłość wyglądają mętnie”.

Mętnie wygląda i polityka. W strefie cienia odbywają się manewry, w których uczestnicy zmieniają obozy, zawiązują niepojęte koalicje i szybko je rozwiązują. 21-go stycznia *Niezawisimaja gazeta* poświęciła pół kolumny informacji, że powstał „Fundusz Wolnej Prasy”, któremu przewodniczy naczelny redaktor gazety, Witalij Tretiakov. Nic w tym komunikacie nie jest jasne. Fundusz obiecuje, że będzie wspomagał „projekty popierające wolność i niezależność zawodową tych organów prasowych, telewizyjnych i radiowych, a także poszczególnych dziennikarzy, którzy borykają się z trudnościami finansowymi albo którym grozi nacisk państwa lub struktur handlowych”. Obiecuje też, że stworzy „pierwszą wolną rosyjską drukarnię w Moskwie”. Generalnie zaś będzie pomagać, bronić, współdziałać i publikować. Nie wiadomo tylko, skąd wzięł — lub weźmie — na to pieniądze. Jest to tym bardziej zagadkowe, że *Niezawisimaja gazeta* praktycznie zbankrutowała, a w całej Moskwie ma 9.400 prenumeratorów. Największe zdziwienie budzi jednak zarząd funduszu. Należą do niego Witalij Tretiakov, znany ekonomista, były doradca Gorbaczowa, Grigorij Jawlinskij, deputowany i szef komisji praw człowieka w Radzie Najwyższej Sergiej Kowalow, pisarz Andriej Siniawski, a poza tym (czy też przede wszystkim?) były prezydent byłego ZSSR Gorbaczow i były premier Rosji Jegor Gajdar. Dlaczego dwóch byłych działaczy państwowych postanowiło wejść do zarządu funduszu, założonego przez zbankrutowaną gazetę? Zagadka. Jeszcze większa zagadka: dlaczego Gorbaczow i Gajdar się zjednoczyli? Przeciwko komu?

Kombinację *Niezawisimoj gazety* można uznać za znak, że Michaił Gorbaczow ożywił działania. Był on zawsze ulubieńcem inteligencji. Odnośnie wrażenie, że znużona marszem do kapitalizmu, zaczyna ona tęsknie wspominać złoty wiek *pieriestrojki*, kiedy nakłady gazet sięgały fantastycznych liczb, wychodziły książ-

ki, kręcono filmy i wystawiano sztuki. Dziś króluje wilcze prawo rynku, nakłady spadają, książki nie wychodzą (chyba że rokuje powodzenie), filmów się nie kręci, bo państwo nie ma pieniędzy... Obecne nastroje wyraża Władimir Maksimow w izraelskiej gazecie *Wiesti* (14.1.1993): „...W ostatnich miesiącach Michaił Gorbaczow przeszedł oszołamiającą ewolucję od komunistycznego reformatora i socjalistycznej opcji typu 'praskiej wiosny' do uznania powszechnych wartości demokracji i zasad cywilizowanego rynku. Ja przez dwadzieścia lat emigracji też straciłem niemałą część złudzeń co do bezwarunkowej przewagi niekontrolowanego kapitalizmu. W ten sposób zbliżyliśmy się do siebie. Powiem otwarcie: taki Gorbaczow podoba mi się. Takiego Gorbaczowa chciałbym widzieć na czele współczesnej Rosji. Taki — jest tego wart”.

Wśród licznych scenariuszy przyszłości Rosji coraz szerzej krąży ostatnio i taki: czerwono-brunatni (czyli komuniści i nacjonaści) obalają w parlamencie Jelcyna, biorą władzę i na prezydenta wybierają Gorbaczowa. Były generalny sekretarz KC KPZS będzie ich nobilitował w oczach zagranicy. Scenariusz ten na pierwszy rzut oka wydaje się fantastyczny, tak jakby i „prawica” i „lewica” potraciły głowy, przede wszystkim zaś jakby straciła głowę inteligencja, która nie ma już przywódców i nie wie, co robić.

Jedyna kwitnąca gałąź gospodarki rosyjskiej to handel tajemnicami i zagadkami. Zajmują się nim stróże przeszłości — czełkiści. Zdradzają oni niemałą przedsiębiorczość, smykałkę do handlu i doskonały zmysł reklamy. Handlują detalicznie i hurtowo. Sprzedają poszczególne dokumenty, całe akta, a także „wspomnienia” generałów, którzy opowiadają o swoich wyczynach. Byli oficerowie KGB założyli w Moskwie stowarzyszenie weteranów wywiadu sowieckiego. Szczególnie żywo poczyna sobie jeden z jego członków, pułkownik Prelin, który w 1991 r. był sekretarzem prasowym moskiewskiego zarządu KGB. W styczniu 1993 Prelin zjechał do Paryża, gdzie oświadczył: „Nie jestem sprzedawczykiem, jak piszą niektórzy dziennikarze. Opowiadam historię”. I rzeczywiście, opowiada historie. W grudniu 1992 sprzedał w Moskwie francuskiej gazecie sensację: „Jeden z najśłynniejszych aktorów francuskich, zmarły dwadzieścia lat temu, był współpracownikiem NKWD. Krąg jego agentów składał się głównie z kobiet. Mamy wszystkie dokumenty i kręcimy film o nim pod tytułem «Casanova z Łubianki»”. Francuzi szybko doszli do wniosku, że agentem jest Michel Simon! Tymczasem pułkownik stwierdził w styczniu w Paryżu: „Francuzi się mylą. Zaszedłem do archiwów KGB i GRU (wywiad wojskowy). Michel Simon w nich nie figuruje”. Rosjanie mówią w takich przypadkach „makaron na uszach suszy” — znaczy to

tyłe, co sprzedawać łatwowiernym durniom kolumnę Zygmunta. W KGB makaronu jest na tony, ale na świecie jeszcze więcej uszu, na których go można suszyć.

Do zachodnich wydawców napływają workami rękopisy „wyznań” byłych bohaterów „tajnego frontu”. W wewnętrznej recenzji dotyczącej wspomnień niejakiego Filipa Bobkowa, który w przeddzień puczu 1991 r. był wiceprezesem KGB, padło ważne pytanie. Filip Bobkow, dodajmy, trafił do KGB w 1946 r. jako młodszy lejtnant, a zakończył służbę w randze generała armii. „Jak mogło się stać, pyta recenzent, że zacięty przeciwnik represji Bobkow nie tylko nie został usunięty, ale niepowstrzymanie piął się w górę?” W rzeczy samej, jak to się mogło stać? Jak mogło się stać, że „zacięty przeciwnik represji” przez długie lata kierował instytucją, której celem była walka z „dywersją ideologiczną”, czyli opozycją? Odpowiedź generała jest zwięzła: służyłem ojczyźnie!

Wróćmy jednak do emerytowanych czekistów. Co dzieje się z tymi, którzy są za młodzi na to, by opuścić „tajny front”? Ci nadal robią swoje. Na przykład liberalno-demokratyczny burmistrz Petersburga Sobczak mianował niedawno szefem miejskiego wydziału bezpieczeństwa pułkownika W.W. Czerkiesowa, który był przez długie lata śledczym w KGB i zajmował się sprawami dysydentów. Protesty tych ostatnich oddalono, gdyż — jak powiadomił minister bezpieczeństwa Rosji Barannikow — zarzuty ich „nie potwierdziły się”. Minister sprawdził!

Warto może dodać, że inny byłý czekista z Moskwy przedzierzgnął się w agenta literackiego. W swoim czasie był rezydentem KGB we Francji, skąd wydalono go za szpiegostwo. Teraz znów często bawi we Francji jako agent literacki Anatola Sobczaka i innych memuarystów.

Liczne elementy obecnej działalności wczorajszych rycerzy „tarczy i miecza” a dzisiejszych handlarzy przeszłością składają się na koherentny obraz. Przede wszystkim sprzyja im koniunktura: popyt dopisuje. Dzisiejsi wydawcy — i w Rosji, i na Zachodzie — nie będą wydawać wspomnień ofiar, ale chętnie wezmą wspomnienia katów. Na fali koniunktury czełkiści sprzedają „sekrety” i ustawicznie sprawiają wrażenie, że sekrety są fałszywe. Jedną ręką wyciągają z archiwów dokumenty (które z reguły potwierdzają to, co było wiadomo), a drugą sięją wątpliwości co do ich autentyczności. Przeszłość staje się coraz mętniejsza, mętniejsza...

9.2.1993

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: W roku 1992 zanotowano w Niemczech największą inflację w ciągu ostatnich 10 lat, rzędu 4%. ■ Federalne Ministerstwo Gospodarki przeprowadziło w grudniu kampanię w USA w celu zachęcenia inwestorów amerykańskich do udziału w Niemczech Wschodnich. USA z sumą 2.673 miliardów marek zajmują pierwsze miejsce pod względem zapowiadanych już tam inwestycji. W odniesieniu do przejętych od Komisarycznego Urzędu Powierniczego zakładów USA zajmują jednak dopiero 5-te miejsce za Francją, Szwajcarią, Wielką Brytanią i Austrią. ■ W celu zwalczania pracy na czarno oraz wypierania z rynku pracy robotników niemieckich przez tanie przedsiębiorstwa z państw byłego bloku wschodniego, rzemiosło budowlane w Niemczech wywiera nacisk na zamianę „umów o dzieło” na umowy sezonowe. ■ Niemieckie urzędy pracy szacują, że w Niemczech pracuje na czarno około miliona osób. ■ Bezrobocie w części zachodniej Niemiec wzrosło w grudniu 92 r. do 1.884 miliona osób, a w Niemczech Wschodnich zmalało (minimalnie) do 1.087 miliona osób, nie licząc tzw. osób zatrudnionych na etacie zredukowanym. ■ Koncern samochodowy „Audi” postanowił zbudować fabrykę nie — jak pierwotnie planowano — w Niemczech Wschodnich, lecz na Węgrzech. Na podobny krok zdecydowało się też szereg innych firm, które ze względu na zbyt wysokie koszty produkcji w nowych krajach związkowych inwestują w Czechach i na Węgrzech. ■ Do końca września 3/4 przejętych w roku 1990 przez Komisaryczny Urząd Powierniczy przedsiębiorstw wschodniemieckich zostało sprywatyzowanych. We wrześniu w posiadaniu urzędu znajdowało się jeszcze 3.180 przedsiębiorstw z 670.000 zatrudnionych. ■ Przewodniczący partii FDP, hrabia Lambsdorf, uznał wsparcie finansowe programów tzw. polsko-niemieckiego „Regionu Nadodrzańskiego” za niemożliwe, głosząc zamiast tego konieczność samodzielnego dorównania przez stronę polską do poziomu po niemieckiej stronie Odry. ■ Według najnowszych analiz likwidacja pozostałości zakładów wydobywczych uranu w miejscowości Wismut, działających za czasów NRD jako spółka sowiecko-enerdowska, oraz wysypisk odpadów uranowych kosztować ma 13 miliardów marek. ■ Planowana Niemiecko-Polska Spółka Pomocy Gospodarczej (WFG) podjąć ma działanie w połowie 1993 roku. Do jej dyspozycji stoi suma 6,4 miliona marek rocznie wpłacanych na jej konto po połowie przez stronę polską i niemiecką. Na

początku działalności ma dokonać analizy stanu gospodarki w polsko-niemieckim rejonie przygranicznym. ■ Według wypowiedzi przewodniczącego Federalnego Stowarzyszenia Przekształceń Własnościowych i Zarządzania, hr. Stauffenberga, prywatyzacja 770.000 spośród ogółem 3 miliardów hektarów lasów w nowych landach trwać będzie 25 lat. ■ Rzecznik zarządu Deutsche Bank, Kopper, zażądał zniesienia ograniczeń importowych na towary z krajów Europy środkowej, aby ułatwić 400 milionom potencjalnych nabywców zdobycie koniecznego kapitału. ■ W roku 1991 5,2 milionów robotników cudzoziemskich w Niemczech oraz ich rodzin wpłaciło w formie podatków i składek na ubezpieczenia socjalne 90 miliardów marek, wykorzystano zaś tylko 65 miliardów. W ten sposób kasy państwowe i ubezpieczeń socjalnych uzyskały nadwyżkę 25 miliardów marek. ■ Republika Federalna ma największy udział w wydajności gospodarki EWG wynoszący 26,4%. Na drugim miejscu znajduje się Francja — 18,8%. ■ Niemcy z 16,8% znajdują się na trzecim miejscu po USA (28,9%) i Francji (22,9%) jako zagraniczny inwestor w Czechosłowacji, gdzie w roku 1992 zainwestowano ok. 1,2 miliarda dolarów kapitału zagranicznego. ■ **POLITYKA:** Strumień przesiedleńców z Europy Wschodniej powołujących się na swe niemieckie pochodzenie nie zmniejsza się. W roku 1992 przybyło ich do Niemiec 230.565, w tym 195.576 z byłego Związku Sowieckiego (1991 r. — 147.320; 1990 r. — 147.950), 17.742 z Polski (1991 r. — 40.129; 1990 r. — 133.872) i Rumunii 16.146 (32.178; 111.150). „Drzwi do Niemiec dla przesiedleńców niemieckich pozostaną otwarte również w przyszłości”, wypowiedział się sekretarz parlamentarny w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Horst Waffenschmidt. ■ Po raz pierwszy z okazji Dnia Żałoby Narodowej oficjalne przemówienie wygłosił obcokrajowiec, Władysław Bartoszewski. Przemawiając z tej okazji 14.11.92 r. Bartoszewski wezwał do przeciwdziałania wrogości do obcokrajowców i antysemityzmowi. ■ W roku 1992 w wyniku aktów przemocy dokonanych z pobudek rasistowskich bądź skrajnie prawicowych straciło w Niemczech życie 17 osób. Według danych Służby Ochrony Konstytucji w organizacjach skrajnie prawicowych zrzeszonych jest 41.400 członków, spośród których 6.400 gotowych jest do stosowania przemocy. 70% spośród tych ostatnich ma mniej niż 21 lat. Na podstawie przeprowadzonych badań szacuje się, że ogółem w Niemczech gotowość stosowania przemocy wobec obcokrajowców wyraża 50.000 ludzi młodych, czyli 1% ogólnej liczby młodych w wieku od 16 do 24 lat. ■ Przemawiając do akredytowanych w Bonn dyplomatów, kanclerz Kohl zapowiedział zaostrezenie prawa w stosunku do prawicowych ekstremistów. ■ Bawarska Służba Ochrony Konstytucji ogłosiła, że bierze pod obser-

wację wszystkich *skin-head*ów. ■ Pięć ministerstw niemieckich zapowiedziało rozpoczęcie kampanii przeciwko skrajnej prawicy. ■ Prezydent Bundestagu, pani Rita Süsmuth, wezwała żyjących w Niemczech Żydów, aby nie opuszczali Niemiec mimo ekscesów skrajnej prawicy. ■ Prezydent Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego, Necker, wezwał zakłady do zwalniania z pracy ekstremistów. ■ Niemiecki minister spraw wewnętrznych, Seiters, zabronił prowadzenia działalności kilku organizacjom skrajnie prawicowym. Równocześnie w wielu miastach zostały przeprowadzone rewizje ich członków i przywódców, podczas których czasowo zatrzymano kilka osób i skonfiskowano materiały propagandowe i broń. ■ Przebywający w październiku w Niemczech przywódca Wolnościowej Partii Austrii (FPO), Haider, zalecił Niemcom prowadzenie restrykcyjnej polityki w stosunku do cudzoziemców. ■ Federalna Służba Wywiadowcza zamierza otworzyć biuro w Moskwie, zaś wywiad rosyjski w Bonn. W ramach kooperacji obie strony zamierzają zająć się zwalczaniem nielegalnego transferu technologii, przemysłu i terroryzmu międzynarodowego. ■ Według programu publicystycznego „Panorama” w najwyższych władzach NRD było wielu starych nazistów. W tzw. „Urzędzie Gaucka” znajduje się 6,5 km akt dotyczących nazistowskiej przeszłości ponad miliona obywateli byłej NRD. ■ Nagrodę fundacji „Wartburg-Stiftung” za rok 92 otrzymali trzej politycy europejscy, Hans-Dietrich Genscher, Roland Dumas i Krzysztof Skubiszewski. ■ 600.000 byłych wypędzonych żyjących w nowych landach otrzymać ma po 4.000 marek odszkodowania wyrównawczego. ■ Burmistrz Kaliningradu (Królewcza) Wasilij Schipow przebywając z wizytą w Berlinie wypowiedział się za przywróceniem miastu starej nazwy „Königsberg”. ■ W celu powstrzymania lawiny wystąpień Kościół katolicki w Niemczech pragnie polepszyć swój *image* przy pomocy zmasowanej akcji reklamowej. ■ W Niemczech pod koniec roku w demonstracjach, koncertach i imprezach przeciw wrogości w stosunku do cudzoziemców i rasizmowi wzięło udział kilka milionów obywateli. ■ Wycofywanie wojsk sowieckich z Niemiec Wschodnich przebiega planowo. W latach 1991-1992 ziemię niemiecką w ramach tej akcji opuściło w sumie 330.000 osób, w tym około 210.000 żołnierzy. Pozostało zaś jeszcze około 220.000 wojskowych, pracowników cywilnych oraz ich rodzin. ■ Na dzień przed przyjęciem honorowego obywatelstwa Berlina Gorbaczow wziął w obronę siedzącego na ławie oskarżonych Ericha Honeckera, argumentując m.in., iż „Honecker uczynił dużo w celu pogłębienia stosunków między Rosjanami i Niemcami”. ■ W roku 1992 podanie o azyl polityczny w Niemczech złożyło ponad 400.000 cudzoziemców. ■ Gminy wschodniemieckie zamieszkiwane przez dwujęzyczną lud-

ność łązyczną znów wprowadzają szyldy drogowe i tablice w języku niemieckim i łązycznym, po krótkookresowej wymianie ich na szyldy tylko w języku niemieckim. ■ W celu zapobieżenia nielegalnej imigracji władze niemieckie planują zastosowanie techniki radarowej i noktowizyjnej do obserwacji granicy polsko- i czesko-niemieckiej. ■ W prasie niemieckiej odnotowano w rzeczowym tonie opublikowanie w Polsce materiałów i danych na temat mordów popełnionych na Niemcach przez Polaków w latach 1945-1946, w tym głównie w Łambinowicach i Niemodlinie. ■ KULTURA: Konieczność zastąpienia istniejących wciąż jeszcze dwu osobnych organizacji PEN-Clubu w Niemczech podkreślono na pierwszym wspólnym posiedzeniu PEN-Clubu zachodnio i wschodniemieckiego w Berlinie. Następne wspólne posiedzenie przewidziane jest na maj 1993 r. ■ Międzynarodowy Uniwersytet „Viadrina” we Frankfurcie nad Odrą zasылony ma zostać przez instytut naukowy po stronie polskiej „Collegium Polonicum” w Słubicach, podlegające uniwersytetowi w Poznaniu. ■ Z występami gościnnymi przebywał w Poznaniu Teatr Żydowski im. Racheli Kamińskiej z Warszawy ze sztuką „Noc na starym rynku” pióra Icchaka Pereca. ■ W roku 1993 Rosja zamierza zwrócić Niemcom zrabowane w czasie wojny zbiory księgarskie. ■ Dyrektor 130 instytutów im. Goethego za granicą oznajmił, iż na instytuty te spada niesłychana fala antypatii z powodu ekscesów antycudzoziemskich w Niemczech i że maleje w nich liczba zgłoszeń na kurs języka niemieckiego — w Korei np. aż o 30%. ■ Na 11-tym festiwalu piosenki kabaretowej we Frankfurcie nad Odrą zwyciężył Polak Andrzej Hübner-Ochodło. ■ Niemiecka Rada Naukowa poparła projekt utworzenia Niemieckiego Instytutu Naukowego w Warszawie. ■ Z powodów trudności finansowych wydatki z budżetu federalnego na kształcenie w roku 1993 wzrosnąć mają tylko o 1,3% do sumy 6,5 miliarda marek. ■ Senat uniwersytetu w mieście Greifswald zamierza relegować studentów biorących udział w akcjach przeciwko obcokrajowcom. ■ W ramach 35-go Festiwalu Filmu Dokumentalnego i Animowanego poniżej 45 min. pierwszą nagrodę zdobył film pt. „Illustrated Auschwitz” reżysera australijskiego, Jackie Farkasa. ■ Co piąty maturzysta z Niemiec Wschodnich studiuje w Niemczech Zachodnich. W odwrotnym kierunku udaje się tylko 100 studentów. ■ W ramach „Niebieskiej serii” Instytut Polski w Darmstadzie wydał zbiór dzieł wybranych Ottona Forsta de Battagli na temat literatury polskiej w opracowaniu Marka Zybury. ■ Nagrodę Niemieckiej Akademii Języka i Poezji im. Georga Büchnera otrzymał pisarz i reżyser teatralny George Tabori. ■ Uniwersytety w Cottbus i Poznaniu uzgodniły współpracę w ramach wymiany profesorów i studentów. ■ W przysłości ambasady Niemiec i Francji mają

ściśle koordynować swoje plany na polu współpracy w zakresie kształcenia młodzieży w krajach środkowo i wschodnioeuropejskich. ■ W listopadzie otwarte zostały w Kolonii najważniejsze targi sztuką XX wieku „Art Cologne”. Udział w nich wzięło 269 galerii z 20 krajów. ■ Liczącą się nagrodę „Atelier Preis” za rok 1992 przyznawaną artystom plastynom przez towarzystwo „Karl-Hofer-Gesellschaft” otrzymał pochodzący z Polski malarz Mikołaj (Niko) Brykalski z Berlina. ■ W Halle zdjęto z programu spektakl „Teatru Ludowego” z Nowej Huty, w którym grać mieli również polscy *skin-head*'zi. Umotywowano to zastrzeżeniami do poziomu artystycznego i obawami przed ewentualnymi reakcjami miejscowych *skin-head*'ów. ■ Język niemiecki znajduje się na 12 miejscu wśród tzw. języków światowych i jest używany przez 100 milionów osób na świecie, w tym na co dzień przez 90 milionów.

Andrzej STACH

Z prasy ukraińskiej

GRUDZIEŃ — STYCZEŃ: Wedle ostatnich sondażu Kijowskiego Centrum Socjologii 54% mieszkańców Kijowa opowiedziało się za jak najszybszą zmianą parlamentu, a 22% opowiedziało się przeciwko nowym wyborom. ■ Gazeta *Weczirnij Kyjiw* podała, że prezydent Krawczuk otrzymuje wynagrodzenie w wysokości 50.600 karbowanów. „To nieprawda — kategorycznie sprostował kierownik służby prasowej prezydenta, Wołodymyr Szliaposnykow. — Prezydent otrzymuje pensję w wysokości 17.170 karbowanów”. W listopadzie na kijowskim czarnym rynku jeden dolar kosztował 700 karbowanów. Prezydent Ukrainy zarabia więc 25 albo 71,5 dol. ■ Od pierwszego stycznia obywatele Ukrainy mogą swobodnie podróżować za granicę. Na przeszkodzie stoi jednak brak paszportów, których potrzeba 35 mln. Władze Ukrainy uporają się z tym problemem w okresie krótszym niż pięć lat — stwierdził jeden z wyższych urzędników ukraińskiego MSZ. ■ 17 stycznia w Sewastopolu odbyła się największa z dotychczasowych, 10-tysięczna manifestacja rosyjskich separatystów, domagających się przyłączenia Krymu do Rosji. ■ Wedle danych otwartego w grudniu 1992 ukraińskiego poselstwa w Tel-Awiiw ogólna liczba mieszkańców Ukrainy pochodzenia żydowskiego, którzy wyjadą do Izraela, wy-

niesie 200 tys. osób. ■ Prezydent Krawczuk wydał decyzję o utworzeniu państwowej kampanii „Diamenty Ukrainy”, która będzie zajmować się wydobywaniem i obróbką diamentów oraz metali szlachetnych, uniezależniając się od firm rosyjskich. ■ Laureatami nagrody Związku Pisarzy Ukrainy za rok 1992 zostali młodzi poeci — Wasyl Żurakiwskij za tom wierszy „Prichodiat ljudi do riky” i Ljuba Proć za zbiór „Dubljany”. ■ Stowarzyszenie „Ukraińska awangarda”, którego zadaniem jest odtworzenie historii i wielkich osiągnięć awangardowej sztuki ukraińskiej w latach 10-tych i 20-tych naszego wieku, pracuje nad cyklem filmów pod ogólnym tytułem „Ukraińska awangarda”, poświęconych twórczości K. Malewicza, braci Burluków, Bojczuka i dokonaniom „bojczukistów” Archipenki, Hanny Sobaczko, Ermiłowa, historii stowarzyszenia „Hyleia”. Dotychczas odbyły się międzynarodowe wystawy ukraińskiej awangardy w Niemczech, Francji, b. Jugosławii. Planuje się także dużą wystawę w 1993 roku na ogólnoswiatowym kongresie Ukraińców w USA. ■ Znany poeta i polityk, prezydent międzynarodowej organizacji ukraińców Iwan Dziuba został ministrem kultury w rządzie premiera L. Kuczmy. ■ Na swoje 75-lecie, przypadające w maju 1992 r., znany ukraiński poeta żyjący na emigracji w Stanach Zjednoczonych, Ostap Tarnawskij, przygotował zbiór swoich utworów. „Wiersze zebrane” ukazały się już po śmierci poety, który zmarł w końcu ub. roku. ■ Większość ukraińskich gazet emigracyjnych zamieściła nekrologi i artykuły wspomnieniowe po śmierci poety Iwana Switycznego, a *Ukraińskie Słowo* z Paryża trzydziściu esej o twórczości poety pióra L. Pluszcza. Stosunkowo niewiele pisano o tym wydarzeniu w ukraińskiej prasie krajowej. ■ Patriarcha Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej Mstisław wydał decyzję o wykreśleniu ze składu Episkopatu UACP władcy Antonija, który z własnej woli porzucił cerkiew, wiążąc się z byłym Metropolitą Fiłaretem pozbawionym przez episkopat godności patriarszej za uległość wobec Moskwy. ■ Wedle danych ministerstwa gospodarki na Ukrainie w ub. roku było 61 tys. bezrobotnych. ■ Zarejestrowano 1,5 tys. zagranicznych inwestycji, głównie przedsiębiorstw *joint ventures*. Tylko połowa z nich prowadzi aktywną działalność gospodarczą. ■ Budżet Ukrainy wyniósł ok. 760 mld. karbowanów i przewyższył dochody o 340 mld. Dodatkowa emisja pieniądza zwiększyła się w porównaniu z rokiem 1991 ok. 30-krotnie. ■ Ukraiński tygodnik *Nasze Słowo* ukazujący się w Warszawie opublikował pismo Zarządu Głównego Związku Ukraińców w Polsce skierowane na ręce Jana Lityńskiego, przewodniczącego Sejmowej Komisji Polityki Społecznej, w sprawie przyznania uprawnień kombatanckich obywatelom polskim narodowości ukraińskiej, więzionym w Centralnym Obozie Pracy w

Jaworznie w latach 1947-49. W zakończeniu wniosku czytamy: „Pragniemy jednocześnie wyrazić opinię, że dalsze pozbawianie obywateli polskich narodowości ukraińskiej — ofiar represji stalinowskich — uprawnień do zadośćuczynienia za doznane krzywdy, przy jednoczesnym zarezerwowaniu tych uprawnień wyłącznie dla osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego, stanowić będzie — w naszym odczuciu — przejaw naruszenia równości obywateli Państwa wobec prawa”. ■ 11 stycznia program II TVP wyświetlił film dokumentalny „Akcja Wisła” o genezie i przebiegu wysiedlenia 150 tys. Ukraińców z terenów Bieszczad w roku 1947. ■ Na Ukrainie żyje 219 tys. Polaków. Spośród nich 12,5% uznaje język polski za ojczysty, a 67% traktuje tak język ukraiński — podało *Nasze Słowo*. ■ Ukraińsko-polskie Towarzystwo w Gdańsku i gdyński oddział Young Men's Christian Association zorganizowały w Gdyni w dniach 15-17 stycznia 1993 I Ogólnopolski Festiwal Mniejszości Narodowych. Zaproszono do prezentacji swojego dorobku kulturalnego, teatralnego, muzycznego i literackiego przedstawicieli mniejszości białoruskiej, greckiej, litewskiej, niemieckiej, cygańskiej, słowackiej, ukraińskiej i żydowskiej. Zdaniem organizatorów obecny kryzys, cechujący się wzmożeniem narodowych konfliktów i szowinizmu, można przezwyciężyć przede wszystkim na płaszczyźnie współpracy i wymiany kulturalnej. ■ W zamian za złagodzenie stanowiska w sprawie rozbrojenia nuklearnego Ukraina uzyskała od Rosji obietnicę zwiększenia dostaw ropy naftowej w 1993 roku co najmniej o 11 mln ton w zamian za żywność i artykuły przemysłowe, ale po cenach światowych. To ostudziło zapał Krawczuka do dalszych rozmów, albowiem takie stanowisko Rosji grozi gospodarce ukraińskiej katastrofą. Potrzebuje ona około 50 mln ton ropy naftowej, oferując za nią Rosji swoje produkty po dotychczasowych cenach — jeden rubel do jednego karbowanica. Nie doszło też do porozumienia w sprawie definitywnego podziału długów i aktywów byłego ZSSR. ■ 22 stycznia w Mińsku odbył się szczyt WNP, zakończony fiaskiem gdy idzie o zbudowanie formalnych podstaw przyszłej wspólnoty. Ukraina odrzuciła prawie wszystkie propozycje Kremla w sferze powołania centralnych instytucji wspólnoty. Wspólnie z Mołdawią i Turkmenistanem nie podpisała statutu WNP, lecz z jej składu na razie nie wystąpiła. Jednym z ważniejszych punktów zapalnych między Rosją a Ukrainą jest status Krymu. Ukraina traktuje problem Krymu wyłącznie jako sprawę wewnętrzną, z czym Rosja nie zgadza się.

Z prasy ukraińskiej wynotował:

Bogusław BAKUŁA

SEZON BAŁTYCKI W PARYŻU

We wrześniu 1992 roku rozpoczął się w Paryżu „Sezon Bałtycki”. Odbyły się przede wszystkim imprezy kulturalne: wystawy fotograficzne (do stycznia 1993), przegląd filmów (listopad-grudzień), spotkania z pisarzami i poetami bałtyckimi, występy muzyków i solistów z trzech republik. W lutym 1993 otwarto wystawę współczesnej litewskiej sztuki plastycznej, a w czerwcu-lipcu odbędzie się wspólna wystawa współczesnej sztuki bałtyckiej.

Wstępną częścią „Sezonu Bałtyckiego” była dyskusja okrągłego stołu poświęcona perspektywom państw bałtyckich (22.10.1992) oraz trzydniowa konferencja: „Niepodległość państw bałtyckich: początki, przyczyny i konsekwencje. Porównanie krytycznych lat 1918/1919 i 1990/1991”, zorganizowane przez M. Eberharda Demma, profesora Uniwersytetu Lyońskiego III.

Największą grupę uczestników obrad stanowili Łotysze z wiceministrem spraw zagranicznych Martinem Virsisem i oni też razem z Estończykami zdominowali dyskusję, tym bardziej, że łączyło ich zarówno doświadczenie historyczne (polityka niemiecka) jak też wspólny problem kolonizacji rosyjskiej i kwestia obywatelstwa, przyznawanego obecnie jedynie dawnym obywatelom Łotwy i Estonii oraz ich potomkom. Spośród tematów aktualnych właśnie zagadnienie obywatelstwa, a raczej krytyka jaką wywołał na Zachodzie sposób jego rozwiązania i nie dość energiczna reakcja MSZ Łotwy, były najbardziej dyskutowane. Łotysze i Estończycy porównują ludność napływową w swych republikach, w ogromnej większości rosyjskojęzyczną, do imigracji zarobkowej na Zachodzie i uważają, iż należy ją traktować w taki sam sposób, tj. zastosować procedurę naturalizacji (przyznawania obywatelstwa) pod określonymi warunkami.

Przeważająca część konferencji poświęcona była przypomnieniu okresu uzyskiwania niepodległości przez państwa bałtyckie po I wojnie światowej, a zwłaszcza polityce niemieckiej (np. prof. Demm, historycy z Rygi). Zrelacjonowano też w sposób standardowy okres *pierestrojki*, który doprowadził do ogłoszenia deklaracji niepodległości. Jedynie Françoise Thom (Sorbona IV), omawiając etapy dekomunizacji w republikach bałtyckich, podała w wątpliwość ich rzeczywistą niepodległość.

Żywą krytykę wywołał referat J. Darskiego, który postawił tezę, iż mechaniczne przejmowanie w obozie niepodległościowym tradycyjnych litewskich schematów myśli politycznej w stosunku do Polski i Polaków i posługiwanie się propagandą antypolską (np.

decyzje rządu o kolonizacji litewskiej w okręgach polskich czy przedstawianie AK jako organizacji założonej „z inspiracji” hitlerowców) jako metodą konsolidacji własnej grupy, wypycha mniejszość polską w ramiona komunistów Brazauskasa, co zakończy się związaniem Polaków na stałe z tym obozem politycznym i przekreśli możliwość ugody z antykomunistami skupionymi wokół V. Landsbergisa.

Pod względem reform gospodarczych najbardziej wydaje się być zaawansowana Estonia, choć na Litwie zwrócono już ziemię 20 tys. gospodarzy. Doradcy rządów bałtyckich, wywodzący się z emigracji, są zgodni, że gospodarkę trzeba budować od nowa, tworząc małe prywatne zakłady, zwłaszcza w Estonii i na Łotwie, gdzie królują ogromne kombinaty wybudowane na potrzeby całego imperium i obecnie całkowicie nieprzydatne. Właściwie należałoby zamknąć wszystkie fabryki. Zależność ekonomiczna państw bałtyckich od Rosji jest nadal przytłaczająca, zaś ich możliwości konkurencyjne na rynku zachodnim żadne.

Omówiono też pomoc francuską dla krajów bałtyckich. Jak na razie przybrała ona formę wysyłki podręczników do nauki języka francuskiego oraz grupowych wyjazdów Francuzów do krajów bałtyckich w okresie letnim. Inicjatywy francuskie na tym polu mają charakter całkowicie prywatny i nie wykraczają poza działania grupki zapaleńców.

W A W E L

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kronika kulturalna

Jerzy Stajuda, wszechstronna bujność...

Właściwie nie wiem, kiedy go poznałem. Nieraz wydaje mi się, że znałem go „od zawsze”, a przecież to nieprawda, prawdą jest raczej, że spotykaliśmy się nieczęsto, nawet w tym pierwszym okresie, w którym łączyła nas grupowa wspólnota (bo żeby nie wiem jak się odżegnywać, to chyba jednak tygodnikowi *Współczesność* na pewien czas udało się ją stworzyć) i różne zwariowane eskapady suto podlewane alkoholem, w którym zapewne niejeden z nas topił swoje prywatne zwątpienia i rozpacz. Bo epoka to była wtedy pełna podniosłej afirmacji i wiary. W każdym razie na zewnątrz. Jan Kott właśnie pouczał nas, że wyrok historii jest nieodwracalny, że jej krok jest absolutnie zdecydowany i że kto temu krokowi się przeciwstawi, ten zostanie rozdeptany. Żółkiewski mówił to samo, tyle że dużo mniej subtelnie.

Z tego towarzystwa najlepiej pamiętam poetów i choć pisałem już prozę, za poetę też się uważałem; jeden z nich wkrótce powiesił się w Warszawie, drugi niebawem potem w Paryżu, trzeci — ten co z prawdziwego przekonania kładł nam do głów jedynie słuszną teorię — gdy mu później wywietrzała z głowy, zginął tajemniczo zakłuty nożami w jakiejś z warszawskich bram, czwarty, piąty... tak — wszyscy nie żyją, no może jeden Sven Czachorowski, choć i on, jak się zdaje, dla świata umarł. Więc choć spotykaliśmy się ze Stajudą nieczęsto, zawsze wydawało mi się, że jest gdzieś blisko mnie lub blisko moich bliskich, a gdy teraz usiłuję sobie przypomnieć nasze spotkania z jego malarstwem, to te osobiste, w każdym razie te z końca lat pięćdziesiątych i później sześćdziesiątych, toną we mgłę, że spotkań zaś z jego malarstwem musiałem po namyśle wykluczyć wystawy w kraju, uświadomiwszy sobie, że tylko jeden raz widzia-

łem jego płótna publicznie dopiero dużo później (i tylko na wystawie zbiorowej), było to w Paryżu w „Salon de Mai” bodajże, w 81 albo w 82 roku, gdzie zawiodła mnie pewna entuzjastka nie jego zresztą, ale zupełnie innego malarza, zatem to, co naprawdę widziałem, nad czym mogłem spokojnie się zadumać, widziałem w prywatnych mieszkaniach jedynie. Z tamtej gęstej mgły późnych lat pięćdziesiątych przypominam sobie jednak, że Staszek Grochowiak i ktoś jeszcze, może był to Władysław Terlecki albo Witold Dąbrowski, może ktoś inny, nie pamiętam, zaciągnęli mnie gdzieś pod Warszawę, gdzie w strasznym jakimś, przyciasnym mieszkaniu, Stajuda, który był ode mnie kilka lat młodszy, wydał mi się tego wieczora człowiekiem nadzwyczaj dojrzałym i nie tylko niezmiernie wykształconym, ale i pełnym niezwykłych pomysłów; twierdził wtedy, iż każdy utwór muzyczny można przełożyć na zapis malarski, coś mniej więcej takiego, swą teorię ilustrował którąś z fug Bacha i to tego wieczora właśnie dowiedziałem się, że maluje, wcześniej bowiem znałem go jedynie jako krytyka. Myślę, że od tamtego wypadu za miasto z Grochowiakiem czy z kimś jeszcze utrwalił się w mej pamięci jako malarz piszący, w ogóle postać trochę renesansowa, a i barokowa co nieco. Renesansowa, bo diabelnie wszechstronna — grał na kilku instrumentach (można było doń trafić na świetny prywatny koncert), może nawet trochę komponował, tego nie jestem jednak tak pewien, w każdym razie znał się na muzyce, pisał o sztuce i literaturze (miał bodajże stałą rubrykę we *Współczesności*), malował, rysował, a rozmawiać z nim można było dosłownie o wszystkim, z absolutem jako gorącym tematem włącznie. Natomiast jeżeli do określenia „postać renesansowa” dokładam, że i „barokowa”, to przez to chciałem zaznaczyć wrażenie bujności jego umysłu i natury, a i szczodrości w obdzielaniu sobą innych, również specyficzne, jemu właściwe poczucie humoru, czasem czarnego, czasem szderczego, ale nigdy nie raniącego. Myślę, że w tej jego obfitości pod koniec lat pięćdziesiątych (kiedy ja tylko do Warszawy przyjeżdżałem często) i później na początku lat sześćdziesiątych (kiedy już w Warszawie mieszkałem) było dużo prób, eksperymentów, zabawy, ale nieco później mówiło się już o nim przede wszystkim: malarz, rysownik, plastyk, to zaś, że był i piszącym, traktowało się jako świetny dodatek; więc chyba wtedy się zdecydował. Ale wciąż był przez nas, adeptów literackiego trudu, traktowany jako pomost do innych środowisk artystycznych, czy osób z tych środowisk. U niego bodajże poznałem młodych wówczas kompozytorów, chyba Blocha, chyba Patkowskiego, także chyba reżysera Antoniego Libere; można tam było spotkać (a mieszkał już w samej Warszawie) zarówno poetów, jak filmowców, malarzy, architektów, najwięcej zaś oryginałów z różnych

tych branży. Był w tym środowisku, które wyrosło ze *Współczesności* albo ukształtowało się w jej pobliżu, koneserem i znawcą. A co znaczy znawca, to sam definiował tak: „...co w geście pokazania palcem coś transformuje i udziela ze swego znawstwa rzeczy dawnych, ze swej świadomości rzeczy teraźniejszych i ze swej gotowości przyjęcia rzeczy, które mogą nadejść — zarówno z Ameryki jak Grochowa”. Choć to zdanie wyczytałem w jakimś jego wywiadzie dopiero później, po wielu latach. Później nie widywałem go długi czas, co było zrozumiałe; mój wyjazd za granicę, a potem emigracja rozdarły wiele związków. Ale niekiedy spotykałem jego prace za granicą u naszych wspólnych znajomych, najczęściej były to rysunki; zawsze fascynujące. Poza tą jedną, wspomnianą już wystawą w Paryżu, na jego kilka akwrel natknąłem się też kiedyś przypadkowo w Muzeum Miejskim w Bohum. A potem, po długich latach (to była moja druga podróż do kraju) kilkudziesięciokartową kolekcję rysunków, fantazji na temat kobiecego aktu pokazywał mi już osobiście. Już złożony był śmiertelną chorobą, już nie podnosił się z tapczanu, choć cierpienie znosił spokojnie i mężnie; tym razem rzeczywiście zaprowadził mnie do niego na Wiejską Władysław Terlecki.

W pokoju, w którym gawędziliśmy, stały dwa staroświeckie instrumenty — fortepian i fisharmonia — na jednym, otwartym, na podniesionym pulpicie oparte były nuty, jakby jeszcze ktoś na nim grywał; wydawało mi się, że czysty dźwięk fortepianu pamiętam jeszcze sprzed wielu lat, ale to może było tylko złudzeniem. Następnie kilkaset wspaniałych akwrel oglądałem w tym samym jego mieszkaniu w podwórzu przy Wiejskiej miesiąc albo półtora po jego śmierci. Jego wieloletnia towarzysząca życia, pani Semenowicz, wynosiła z głębi mieszkania opasłe teczki, a ja układałem na podłodze karty w grupy i zwykle tylko na wyczućcie, tylko według podobieństwa, bliskości nastroju i tonacji kolorystycznej, oznakowanie bowiem, kaligraficznymi znakami, chińskimi bodajże, jedynie on sam potrafił odczytywać. Forte-pian był zamknięty, nie było tam również nut na pulpicie.

Przyznam się, że nie umiem jego sztuki oddzielić od osoby, nie umiem na nią spojrzeć chłodno, zakwalifikować jej, nazwać, omówić w kategoriach oceniających. A przecież pisywałem od czasu do czasu o malarstwie, także przyjaciel. Sztuka Stajudy natomiast wymykała mi się zawsze i tłumaczę to sobie tym, że jednak znam ją zbyt fragmentarycznie; może dlatego. Ale przecież zawsze pozostawałem pod wrażeniem zetknięcia się z niezwykle wrażliwą wyobraźnią, z bujnym, zgnarniającym, wciągającym światem jego imaginacji, ze światem podniecającym, w który — jeżeli tylko mogłem pozwolić sobie na puszczenie wodzy własnej fantazji — potrafiłem niejako wejść i wędrować

tam wzdłuż tych jego płaszczyzn nadmorskich plaż, nawiedzać tajemnicze budowle, konstrukcje architektoniczne i ogrody, w mrocznych komnatach czekać na zjawienie się Komandora, uczestniczyć w spotkaniach zbuntowanych Aniołów, nasłuchiwać kroków Księcia Ciemności. Zawsze podziwiając jednocześnie precyzję rysunku i sposoby kładzenia farby. Perfekcyjność, w sensie technicznym związane z tradycją, jednocześnie nowoczesność, przede wszystkim — temperament, zmysłowość, osobność. Siłę wyobraźni i siłę urzekania drugich. Zawsze wydawało mi się, że kształt i brawa tajemniczo ewokowały dźwięk, zapach, nastrój, a te z kolei uruchamiały strumień myśli. Wyobraźnia Stajudy, jego język symboli i metafor działały więc twórczo.

Czy jednak, przyznając się, że jego malarstwo wymyka się mojej ocenie, że wymyka się możliwości opisania, mógłbym jednocześnie powiedzieć, że go nie rozumiem? Ależ wręcz przeciwnie! Rozumiałem, i kiedy spoglądał na jego rysunki i akwarele, które posiadam, wydaje mi się, że to zrozumienie pogłębiał. Ale czy sztukę trzeba umieć opisać? Czy obraz nie jest wprawdzie po to, żeby nań patrzeć, czuć i z nim obcować? Aby integrował się z moim światem, albo ten świat poszerzał?

Włodzimierz ODOJEWSKI

Sztuka Celnikiera

Od 1 grudnia 1992 do 28 lutego 1993 trwać będzie w Memorial du Martyr Juif Inconnu (17, rue Geoffroy-l'Asnier, 75004 Paris) wystawa dwu cyklów graficznych (rylec i sucha igła) Isaaka Celnikiera: „La mémoire gravée” i „Birkenau”: dwadzieścia siedem dużych plansz graficznych krzyczy przeraźliwym czarno-białym głosem świadectwo jednego z tych, którzy tam wtedy byli.

Isaac Celnikier urodził się w Warszawie w 1923 roku i Shoah zagarnęła go, gdy miał lat szesnaście. W 1939 uchodził z Warszawy do Białegostoku; lata 1941 do 43 przesiedział zamknięty w getcie w tym mieście, potem w Łomży, a następnie deportowany do obozów w Stuthoff, Birkenau i Buna* w Oświęcimiu, Sachsenhausen i Flossenburg. Uwolniony w 1945 i

1. Buna: obóz o 4 km od Auschwitz I i II (w Oświęcimiu).

Birkenau: obóz o 3 km od Auschwitz (wg.: Wielka Encyklopedia Powszechna)

od razu internowany w sowieckim obozie w Sumperku na Morawach, uciekł stamtąd, by znaleźć się w Pradze. Tam studiował malarstwo u Emila Filli. Wrócił do Warszawy w 1952, w lecie 1955 uczestniczył, wystawiając drugą wersję cyklu „Ghetto”, w historycznej już dziś Wystawie Młodej Plastyki w Arsenale: wystawie, która oznaczyła kres sztuki realizmu socjalistycznego w Polsce. Od 1957 mieszka i tworzy w Paryżu. Skromny karton towarzyszący wystawie przypomina o piętnastu najważniejszych wystawach jego malarstwa i grafiki, pokazanych od 1962 do 1991 we Francji, w Izraelu, w Szwajcarii, w Norwegii, a także o tym, że od 1967 Celnikier jest Chevalier des Arts et des Lettres.

Powiedzieliśmy wyżej niemądrze, że grafiki Celnikiera są „świadectwem”: łatwy schemat w banalnym żargonie krytyka. Żadna sztuka nie jest świadectwem, albo raczej — tylko całkiem niedużą sztuką bywa nim, gdy opowiada coś lub opisuje. Sztuka wielka działa przez odpowiedniki; przez znaki, przez skróty, przez porażające nas olśnienia. Jak zresztą inaczej próbować wyrazić niewyraźne i nieopowiadalne, które jednak jakoś wyrazić i jakoś przekazać się musi? Są ludzie którzy, przeżywszy to, co przeżył Celnikier, zamknęli to na zawsze w absolutnym milczeniu. To jest jakaś obrona. Isaac ma to szczęście, że jest artystą i że potrafi nazwać nienazywalne. Mówię: ma to szczęście, ponieważ on je nazwać musi. A również, z pewnością, powinien — ale to już jest inna sprawa.

Z tego musu i z tego obowiązku Isaac Celnikier wywiązuje się przez całe życie: całym swoim malarstwem, całą swoją grafiką. Czy robiąc to, coś splota? Nie wiem i nie ośmielię się o to pytać.

Czy oddawał coś pomordowanym w „Okropnościach wojny” (Shoah, niestety, okropnością wojny nie była, i to tym straszniej) Goya, do którego Isaac co chwila się odwołuje — m.in. ostentacyjnie do „Rozstrzelania powstańców 3 maja 1814” w planszy „Jour de sélection” i do czarownic z malowideł w Quinta del Sordo w planszy „Gina Frydman” z cyklu „La mémoire gravée”? Albo Picasso w „Guernice”, o której pamięć Celnikier sygnalizuje planszą „Femmes et enfants” z tryptyku „Birkenau”? To znaczy, przywołuje największych: na miarę tego co sam przeżył i co sam usiłuje powiedzieć.

Czy mam teraz pisać o artystycznej wielkości sztuki Isaaca Celnikiera? O absolutnym mistrzostwie środków, o posłuszeństwie kreski, o — pozorowanej zapewne — łatwości w operowaniu światłem podporządkowanym nadrzędnej idei wyrażenia, oddania tego, co się wyrazić musi? O zapierającej dech w piersiach grze światła w planszy „La fin de Janusz Korczak”? O monumentalizmie i hieratyczności tryptyku „Birkenau” i o dramatyzmie prze-

szywających go diagonali? O olbrzymiej kulturze, o imponującym *musée imaginaire*, o dojrzałości, o rozumie i o rozumieniu rzeczy? O świadomości obcowania z pięknem, którą oczywiście w obliczu tych straszliwych scen przecież mamy?

Na swoje szczęście — lub nieszczęście — Celnikier należy do tych, w których dziele doniosłość tematu i ciężar posłannictwa usuwa w cień artystę: sprawia, że w obliczu tego, przed czym stoimy, mówienie o „sztuce” wydaje się nieprzystojne. Tak, jakby sztuką, przez duże S, nie było właśnie razem to wszystko: i to, co, i to, jak się mówi. Bardzo wielką Sztuką.

Joanna SZCZEPIŃSKA-TRAMER

WYRÓŻNIENIA POLCUL-u

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 23.1.1993 Fundacja przyznała dalszych 20 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. Wyróżnienia otrzymali:

Mieczysław BAGIŃSKI — za rozwój Technikum Rolnictwa Ekologicznego w Wojewodzinie

Adam BERNARCZYK — za rozwój kultury w Hży

Barbara FUSTOSZENKO — za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej

Jerzy FIJAŁKOWSKI — za pracę społeczną na Ziemi Staszowskiej
Grażyna GRABOWSKA — za rozwój plastyki wśród dzieci w województwie tarnowskim

Jagoda HERNIK — za pracę nad zbliżeniem polsko-litewskim

Sokrat JANOWICZ — za pracę nad zbliżeniem polsko-białoruskim

Barbara JÓŹWIAK — za rozwój Technikum Rolnictwa Ekologicznego w Wojewodzinie

Irena KEMPA — za działalność na rzecz ochrony środowiska na Śląsku

Wiesław KĘSIK — za pracę społeczno-kulturalną w Ciechanowie

Adam KULIK — za pracę nad zbliżeniem polsko-litewskim

Zygmunt KWIATKOWSKI — za pracę społeczno-kulturalną w Golublu

Maria PODLASIECKA — za pracę dydaktyczno-wychowawczą

Ryszard PRASZKIER — za pracę społeczną w Fundacji SYNAPSIS

Genowefa ROMANOWSKA — za rozwój Technikum Rolnictwa Ekologicznego w Wojewodzinie

Danuta SENDERACKA — za rozwój Technikum Rolnictwa Ekologicznego w Wojewodzinie

Jan Paweł WORONCZAK — za inwentaryzację i ochronę cmentarzy żydowskich w Polsce

Jerzy WORONCZAK — za inwentaryzację i ochronę cmentarzy żydowskich w Polsce

Maria WRONISZEWSKA — za pracę z dziećmi upośledzonymi w Fundacji SYNAPSIS

Teresa GAŚSIOR-WYSOKIŃSKA — za pracę społeczną w dziedzinie psychoterapii

Z wymienionych wyróżnień szóste jest im. Krystyny i Bolesława SINGLER oraz trzecie jest im. Eudoksji RAKOWSKIEJ.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

Kazimierz DOBROWOLSKI — 01-456 WARSZAWA, ul. Krępowieckiego 9/95, tel.: 376221
oraz

Jan HANASZ — 87-100 TORUŃ, ul. Krasińskiego 57 m. 10, tel.: 28206
lub też zwrócić się wprost do:

POLCUL FOUNDATION

P.O.Box 193

ROSE BAY, N.S.W. 2029, Australia

tel.: (61-2) 3262863; fax: (61-2) 3315697

Uwaga: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

KOMUNIKAT

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim potwierdza otrzymanie w listopadzie 1992 r. i w grudniu 1992/styczeniu 1993 r. kolejnych darów na rzecz bibliotek i dziękuje:

- Krzysztofowi Sakowi z Wydawnictwa Akapit za 412.500 zł,
- Wydawnictwu Akapit za 5.000.000 zł,
- Leokadii i Lucynie Targosz za 100.000 zł,
- Nataszy Gorbaniewskiej z Paryża za 176 egz. pism,
- Markowi Krawczykowi z Oficyny Wydawniczej Pomost za 900 egz. *Kultury*,
- Agencji Poligraficznej PRIMA za 3000 egz. książek,
- Irenie Przytułskiej za 16 egz. książek,
- Agencji Wydawniczej PETRA za 5810 egz. książek,
- Wydawnictwu Otwarta Brama za 201 egz. książek,

- Wydawnictwu Kwartalnik Literacki-Kresy za 271 egz. książek (przekazanych w kwietniu 92 r.),
- DK Stowarzyszeniu Wolnego Słowa za 1587 egz. książek,
- Wydawnictwu AiR za 2880 egz. książek (przekazanych w maju 92 r.),
- Instytutowi Literackiemu w Paryżu za 300 egz. książek

ADRES FUNDACJI: ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa, tel./Fax 628 42 57, tel. 21 70 75.

N° KONTA: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, PBK III ODDZIAŁ w WARSZAWIE, nr konta 370015-975148-132-3.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najsmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Książki

Bartoszewski: pół wieku pisarstwa (1942-1992)

W Wiedniu, nakładem wydawnictwa Irsa, ukazał się 150-stronicowy tomik dużego formatu: trójjęzyczna (po polsku, po niemiecku i po angielsku) bibliografia pięćdziesięcioletniego dorobku pisarskiego Władysława Bartoszewskiego, znakomitego publicyisty i historyka naszych czasów, obecnie Ambasadora R.P. w Wiedniu. Poza głosem wstępną Aleksandra Gieysztor nic więcej, sama naga bibliografia. Trzeba być doprawdy pisarzem niezwykłym, śledzącym nieprzerwanie i z niesłabnącą ani na chwilę czujnością własną epokę, aby obraz własnego pisarstwa powierzyć tylko bibliografii, ufając że poprzez tytuły artykułów, rozprawek i książek da czytelnikowi pojęcie o zasięgu i wytrwałości służby pisarskiej autora. Bo w wypadku Bartoszewskiego należy koniecznie posłużyć się słowem *służba* w jego najpiękniejszym i najszlachetniejszym znaczeniu. Bardzo słusznie do bibliografii pisarstwa Bartoszewskiego dołączono calendarium jego działalności publicznej w opracowaniu A.K. Kunerta. Związek obu tych dziedzin w życiu dzisiejszego ambasadora R.P. w Wiedniu jest nierozzerwalny.

Pod znakiem „kultu niepodległości” (tytuł wywiadu z Bartoszewskim) rozwija się przed oczami czytelnika bibliografii seria wystąpień publicystycznych, kronikarskich i książkowych Bartoszewskiego od artykułu w podziemnej *Prawdzie Młodych* (1942) aż do tekstu *Zjednoczenie Niemiec-Polska-Europa* z roku 1992. Okupacja niemiecka, działalność akowska, akcja pomocy Żydom, apogeum Powstania Warszawskiego, powojenne pióro skierowane mniej lub więcej otwarcie przeciw komunistycznemu „syndykatomu zbrodni” (wyrażenie Bartoszewskiego), bogaty plon artykułów i książek w innych językach (przede wszystkim po niemiecku), współpraca z prasą emigracyjną. Wszystko to razem jest

imponujące, oparte na najczystszych motywach („pomagając Żydom ratowałem też własną duszę”), zrosnięte mocno z naszym życiem w minionym półwieczu. Bartoszewski jest pisarzem, któremu nic co ludzkie i polskie nie jest obce. Wolny, suwerenny (nawet w latach niewoli) pisarz polski, który walczy piórem o wolność swej ojczyzny, ale potrafi również po klęsce Trzeciej Rzeszy budować cierpliwie pomosty sąsiedzkiego współżycia polsko-niemieckiego.

Profesor Gieysztor chwali „rozległość i głębokość kwerendy źródeł archiwalnych i czasopiśmienniczych, w szczególności umiejętność użytkowania relacji świadków”. Wymienia monumentalne, blisko 600-stronicowe *Doświadczenia lat wojny 1939-1945* jako „piękny przykład edytorstwa źródeł historii najnowszej”. Gieysztor zauważa też słusznie „wysoką temperaturę uczucia”, przytaczając zdanie Bartoszewskiego o tym, że „wielkość i heroizm człowieka i narodu w warunkach próby” są zjawiskiem równie uniwersalnym jak „nędza i małość”. Kiedy więc, na przykład, Bartoszewski omawia „moralno-historyczne wartości Powstania Warszawskiego”, potrafi dojrzeć to, co jego krótkowzroczni adwersarze nazywają ironicznie „resztkami romantyzmu”. Dzięki tym „resztkom” Polacy ostali się jako naród, wbrew radom tchórzliwych, kunktatorskich „realistów”. Bartoszewski rozumie to doskonale.

Zakończyć wypada tytułem książki Bartoszewskiego *Warto być przyzwoitym*, która tak wielkie powodzenie miała zarówno po polsku jak po niemiecku. Tak, warto. I w czasach takich jak nasze jedyna to droga do ocalenia wartości elementarnych, bez których giną lub nijakiej kontynenty, narody, ludzie.

G.H.G.

„Papierowa rewolucja”

We wrześniu 1992 roku odbyła się we Freiburgu w Szwajcarii wystawa poświęcona funkcjonowaniu „drugiego obiegu” wydawniczego w Polsce w latach 1976-1990. Tytuł wystawy zaczerpnięty został z piosenki Jana Kelusa — „Papierowa rewolucja”. Można tylko żałować, że podobnych wystaw nie było więcej — w odróżnieniu bowiem od innych krajów byłego bloku moskiewskiego polski „drugi obieg” był fenomenem. Oczywiście, można się długo spierać na temat tego, jak i dlaczego było to w

Polsce możliwe. Powodów było wiele: począwszy od dyktowanej koniecznością kontynuowania zachodnich pożyczek „wyrozumiałości” władz PRL, poprzez zaangażowanie się w ten ruch ludzi stanowiących wówczas w Polsce autorytety moralne, aż po zdolność zgromadzenia dla „drugoobiegowych” wydawnictw poważnych funduszy wśród polskiej emigracji oraz niektórych instytucji zachodnich. Dość, że ruch ten był zjawiskiem poważnym, stał się rzeczywistym konkurentem oficjalnych wydawnictw, zaangażował dziesiątki tysięcy ludzi, wreszcie oferował czytelnikowi setki, jeśli nie tysiące wartościowych publikacji literackich, historycznych, socjologicznych, ekonomicznych, politologicznych — polskich i tłumaczonych z innych języków.

Dotychczasowe publikacje na ten temat — wyjąwszy bibliografie (i te zresztą nie dość starannie i szczegółowo opracowane) — rzadko zdają w pełni sprawę ze swoistości i zasięgu tej „papierowej rewolucji”. Dlatego też warto poświęcić uwagę katalogowi, towarzyszącemu wystawie we Freiburgu, a opracowanemu przez Claudio Fedrigo oraz Jacka Sygnarskiego*. Ta niezwykle starannie wydana książka nie jest, rzecz jasna, pracą specjalistyczną — tym bardziej, że przeznaczona została dla odbiorcy na ogół nie orientującego się w sprawach Polski. Ale może też właśnie dlatego — eksponując tezy dla każdego w Polsce oczywiste, lecz rzadko wypowiediane wprost — staje się ważnym dokumentem. Warto też może uzmysłwić sobie, że dla ludzi, którzy rzeczywistość polską oglądali z zewnątrz lub zostali z nią właśnie przy okazji tej wystawy skonfrontowani, zjawisko „drugiego obiegu” staje się wartością, której znaczenia sami uczestnicy tego ruchu być może nie są w stanie w pełni zrozumieć. Jest praktycznym, ale nie deklarowanym, przykładem korzyści przynoszonych społeczeństwu przez uprawianie „obywatelskiego nieposłuszeństwa”.

Słusznie podkreśla w przedmowie do tomu Jacek Sygnarski: „Fenomen podobny do ruchu wydawnictw podziemnych nie ma precedensu w historii. Więcej: żaden kraj z byłego bloku komunistycznego nie może się pochwalić podobną przedsiębiorczością”. Można sobie tylko wyobrazić, jak mogli na podobne zjawisko reagować ludzie zwiedzający ową wystawę w spokojnej Szwajcarii. Dlatego ważne stało się uzupełnienie jej przez dwa bloki materiałów, zaprezentowane w omawianej książeczce. Pierwszy to wypowiedzi autorów, którzy w „drugim obiegu” byli w Polsce upowszechniani: nie są to zresztą głosy zupełnie bezkrytyczne, lecz ważne, gdyż stanowią dokumentację osobistych odczuć i emocji. Znajdujemy tu wypowiedzi Alain Besançona, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Leszka Kołakowskiego oraz Leopolda Ungera.

* *Papierowa rewolucja. Underground Publishing in Communist Poland*, Freiburg 1992, s. 233. ilustr.

Na część drugą składają się szkice omawiające historię niezależnego ruchu wydawniczego w Polsce, jego zasięg, dorobek, sprawy techniczno-organizacyjne itd. Na ten temat piszą: Mirosław Suprunik, Marek Jastrzębski, Adam Rysiewicz, Waldemar Baraniewski, Witold Pronobis, Nina Kozłowska, Marek Krawczyk i Stefan Czaja. Interującym uzupełnieniem jest artykuł Adama Rolińskiego o bibliotece Jacka Sygnarskiego we Freiburgu, zawierającej bogaty zbiór wydawnictw „drugoobiegowych”. Przyznam, że czytając i przeglądając — książka wyposażona jest w ilustracje — ten katalog, zastanawiałem się, czy w Polsce kiedykolwiek ukaze się tom tak wszechstronnie ukazujący polskiemu czytelnikowi dorobek wydawnictw niezależnych. Na razie, można sięgnąć po wydawnictwo szwajcarskie — wystarczy znać francuski, niemiecki i angielski.

Leszek SZARUGA

Bez wioseł i steru

Zbigniew Machej należy do poetów wyczulonych na konkret i szczegół. Potrafi drobniaczko obserwować rzeczywistość, czerpie z niej swe obrazy, odkrywa w niej nagle — zmieniając perspektywę widzenia — nowe, ukryte przestrzenie:

Łodzią
bez wioseł i steru przeprowiałem się
na drugi brzeg rzeki, za wodę wielką,
gorzką i niezbyt czystą. Kamiennie mosty
płynęły tuż za mną. Na trzeci brzeg.

„Trzeci brzeg” — ku któremu kieruje nas również tytuł tomu* — wyprowadza nas z rzeczywistości w świat wyobraźni. Doświadczenie wewnętrzne zmierza ku światu jeszcze nie zróżnicowanemu. W tym samym, tytułowym wierszu zbioru, przeczytamy:

Jakiś głos mówił:

*musisz powrócić tam, gdzie nic
nie krystalizuje się w minerał,*

* Zbigniew Machej: *Trzeci brzeg*. Oficyna Literacka, Kraków, 1992, s. 64, ISBN 83-85158-66-9.

*nie wyodrębnią w roślinę, zwierzę,
człowieka, musisz powrócić
do początku.*

„Trzeci bieg” byłby zatem „brzegiem powrotu”? Być może. Jedno wydaje się w tej poezji istotne: prowadzi ona ze świata precyzyjnie opisywanego konkretnie w obszar nieoznaczoności, niepochwytności. Jak przy zbyt dużym zbliżeniu, tło okazuje się nagle bardziej wyraziste od obserwowanego detalu, którego kontury nagle się rozmazują. Tłem życia jest przemijanie — ono też wyznacza ramę tego zbioru zaczynającego się „Wierszem pożegnalnym o uśmiechach”, a kończącego „Poematem na pożegnanie młodości”.

Zderzenie przemijania i powrotu do nieodróżnionego przestrzeni początku wyznacza podstawowe napięcia poznawcze tej poezji, zarazem też napięcia estetyczne: to, co konkretne i poznawalne, roztapia się w nieskończoności, rozplywa we własnym tle. Zmysłowość doznań zanika w abstrakcyjnej refleksji. Nakładanie się na siebie, przenikanie obu wymiarów doświadczenia, z których pierwszy kieruje nas ku konkretowi, drugi zaś przenosi w obszar uogólnienia, wyzwala poetycką energię słów i obrazów.

Bez wątplenia kluczowym wierszem tomu (a chyba i całej dotychczasowej poezji Macheja) jest „Przypis do pewnej teorii widzenia”:

*Astygmatyczne oczy są właśnie po to, by
— bezbłędnie odróżniając głębię od otchłani —
odważniej móc przekroczyć tysiąc płynnych granic.
To nic, że czasem przy tym makijaż zniszczy ły.*

Oko poety, zauważył kiedyś Tadeusz Różewicz, świetnie przecież osadzony w głębokiej tradycji antyku, zdolne jest wykryć *lacrimae rerum*, łyżki rzeczy. Zarazem jednak oko — wpatrujące się w dalsze przestrzenie i zmierzające znów do pochwycenia ostrości widzenia detalu — także łązi. Łży rzeczy i łyżki widzącego je oka zmywają makijaż, odsłaniając twarz. I tylko tak możliwe jest nazywanie bez masek, bez kostiumu — właśnie to podpatrzył kiedyś Różewicz u Leopolda Staffa. Cóż jednak w ostatecznym rachunku mamy widzieć? Tu — myślę — znajdujemy u Macheja odpowiedź niebanalną: widzieć siebie. Tak w głębi, jak na dnie otchłani. Rozróżnienie między „głębią” i „otchłanią” jest istotne, określa bowiem sens widzenia. Doskonale pochwycił to Władysław Strzemiński analizując „realizm wynikający z pełni zawartości wzrokowej”: „Ten proces widzenia dostarcza wielu sprzecznych relacji. Każde spojrzenie wnosi inne określenia formy, niż były zawarte w spojrzeniu poprzednim.

Dla poszukiwacza jedności przedmiotu (jeśli ma on wrażliwość wzrokową) powstaje chaos sprzecznych nawarstwiających się spojrzeń i sprzeczność relacji formy. Zamiast utraconej jedności przedmiotu widzi on powikłania nie do przezwyciężenia. Wyjście z nich leży w świadomym wyborze kształtującej woli i świadomości celu, do jakiego się dąży”.

Przekraczanie granic (wyznaczonych przez konwencje, teorie, recepty) jest przenikaniem pod powierzchnię zjawisk. Odróżnienie między głębią i otchłanią (jeśli ma się wrażliwość językową) jest istotne, nie zmienia jednak faktu, iż w ostateczności dostrzeżę się własne oblicze, też zresztą przemijające:

*O jego przyszłych dziejach milczy w rzece ryba
i słońce je odbija w wystawowych szybach,
w których się przeglądają wciąż nowi przechodnie.*

Bez wątpienia też nowy tom Macheja w najbardziej dotąd spójny sposób ewokuje jego wizję świata, w której nakładają się na siebie różne perspektywy, trwa przekraczanie „tysiąca płynnych granic” w powrocie ku nieoznaczonej wielości i jedności początku, z której wyłoniły się rzeczy poszczególne. Stąd zresztą usprawiedliwiona jest inwokacja do owej poszczególności: „Kropło deszczu, moja nauczycielko”. Ale też, zaświadczać dojrzałość, skupienie poznawcze, jest ten tom zarazem świadectwem nie tyle może niedojrzałości, co niepokoju artystycznego. To tom przełomowy — z wszystkimi zaletami i niedostatkami wywoływanymi przez ten stan rzeczy. Uderza przede wszystkim — zwłaszcza w zestawieniu z bardziej artystycznie spójnym drugim tomem tego autora („Śpiąca muza”) — jego niejednorodność. Czytając te wiersze odnosi się wrażenie, że Machej ma poczucie kryzysu własnej poetyki i że zarazem nie wie, jak ów kryzys przezwyciężyć. Uderza zwłaszcza eklektyzm formalny: obok świetnie opanowanego wiersza wolnego pojawiają się utwory o regularnym układzie rytmicznym, obok prozy poetyckiej — wiersze rymowane (także zwieńczone „przesłaniem” autorskim). Ta niejednorodność, trzeba to stwierdzić, jest irytująca, jednocześnie też intrygująca. Irytuje coś, co można by nazwać ekspozycją wprawek formalnych, umiejętności warsztatowych, intryguje zaś — przyszłość tej poezji. Bo przecież coś musi w końcu Macheja zdecydować, coś z wyraźnego, znaczącego i w dodatku uświadomionego sobie kryzysu jego poetyki powinno się wyłonić.

Osobiście odbieram to miotanie się jako zapowiedź nowych możliwości. Ten tom jednak jeszcze ich nie ukazuje — zbyt wiele tu naśladownictwa, zbyt wiele zwłaszcza ech Miłosza czy Zagajewskiego, być może nieświadomie wpisywanych w wiersz, jednak wyraźnie słyszalnych. „Trzeci brzeg” to głos poety najwy-

rażniej przeżywającego mutację. Jak zwykle w takich razach pojawiają się sztuczne tony. Przyznać muszę, że — przynajmniej dla mnie — jest ich zbyt wiele. Jednocześnie odczytuję w tym zbiorze świadomość kryzysu, która oznaczać może przesilenie — ku niemu zresztą zwraca Macheja jego niekwestionowany talent, jego językowa wrażliwość. Jest wciąż niepewny tego, czym ma być „początek”, ku któremu nakazuje mu wrócić „jakiś głos”. Póki co jednak, porusza się „bez wiosel i steru”.

Leszek SZARUGA

Nadesłane nowości wydawnicze

- ŁĘTOWSKA (Ewa). *Jak zaczynał Rzecznik Praw Obywatelskich*. Str. 544. (Wyd. Agencja Master, Łódź 1992).
- BORKOWSKI (Jan). *Witos a Polska*. Str. 572. (Wyd. Historic Institute of Wincenty Witos, Chicago 1992).
- TENENBAUM (Natan). *Chochoty*. Str. 148. (Wyd. Zebra, Warszawa 1992).
- STEINHAUS (Hugo). *Wspomnienia i zapiski*. Str. 588. (Wyd. Aneks, Londyn 1922).
- MIĘDZYRZECKI (Artur). *To samo miasto, ta sama miłość*. Str. 408. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).
- MOSTWIN (Danuta). *Tajemnica zwyciężonych*. Str. 464. (Wyd. PFK, Londyn 1992).
- HABIELSKI (Rafał). *Niezlomni, nieprzejednani. Emigracyjne „Wiadomości” i ich krąg 1940–1981*. Str. 244. (Wyd. PIW, Warszawa 1991).
- KUROPIESKA (Józef, gen.). *Od Października do Marca*. Str. 224 i fotografie. (Wyd. BGW, Warszawa 1992).
- ŁUKASIEWICZ (Maciej, opr.). *Sprawa pułkownika Kuklińskiego. Bohater czy zdrajca. Fakty i dokumenty*. Str. 222. (Wyd. MOST i Presspublica, Warszawa 1992).
- NAJDUS (Walentyna). *Zygmunt Marek, prawnik i polityk 1872–1931*. Str. 234 i ilustracje. (Wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa 1992).
- ŻUŁAWSKI (Juliusz). *Przydługa teźraźniejszość*. Str. 120. (Wyd. Foliolum i YOHO, Warszawa 1992).
- SERCZYK (Władysław Andrzej). *Poczet władców Rosji (Romanowie)*. Str. 238, ilustracje, genealogia nlb. (Wyd. PULS, Londyn-Warszawa 1992).
- LENKIEWICZ (Antoni). *Zapomniany pułkownik*. Str. 140 i fotografie. (Wyd. Linowski i Orzechowski, Wrocław 1992).
- WINNICKI (Zdzisław). *Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy (1917–1918)*. Str. 352 i 106 i 22. (Wyd. „Wektory”, Wrocław 1992).
- Katyń, dokumenty ludobójstwa. *Dokumenty i materiały archiwalne przekazane Polsce 14 października 1992 r.* Str. 184. (Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1992).
- TRZECIŃSKA-FRUHLINGOWA (Irena, wybór i opr.). *Anioł w poezji*. Str. 96. (Wyd. Michalium, Warszawa 1992).

- TYRANKIEWICZ (Jadwiga). *Ślady*. Str. 60. (Wyd. Oddział Bydgosko-Toruński Stow. Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 1992).
- 50 lat pisarstwa Władysława Bartoszewskiego 1942-1992. *Bibliografia z głosem wstępną Aleksandra Gieysztor*. Str. 144. (Wyd. IRSA, Wiedeń 1992).
- Collegium Polonorum* nr 11/1992. Str. 208. (Wyd. Papieskie Kolegium Polskie, Rzym 1992).
- STOPA (Roman). *Spod chłopskiej strzechy na katedry uniwersytetu*. Str. 78 i 6 nlb. (Wyd. UJ, Kraków 1992).
- NOWAK (Roman). *Taniec na chlebie z piasku*. Str. 80. (Wyd. Helikon, Poznań 1992).
- POGONOWSKI (Jerzy). *Bój o Lwów. Wojna polska 1918-1921*. Str. 100. (Wyd. Gryf, Warszawa 1992).
- NYE (Robert). *Faust*. Przeł. Piotr Siemion. Str. 312. (Wyd. Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1992).
- Gospodarka polska w latach 1990-1992, doświadczenia i wnioski*. Praca zbiorowa pod red. Leszka Zienkowskiego. Str. 178. (Wyd. Zakład Badań Statystyczno-Ekonomicznych GUS i PAN, Warszawa 1992).
- Ad vocem. Supplement do konferencji „Twórczość dramatyczna i teatralna polskiej emigracji 1939-1989”* (pod red. D. i J. Ratajczaków). Str. 128. (Wyd. nie podane, Poznań 1992).
- SOLIŃSKI (Krzysztof). *Albo (fragmenty fragmentów)*. Str. 120. (Wyd. Oddział Bydgosko-Toruński Stow. Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 1992).
- GROCHOWINA (Józef Andrzej). *Niedokształt*. Str. 96. (Wyd. Anagram, Warszawa 1992).
- BRANDT (Christine), CZERWIAKOWSKI (Ewa). *Oczami sąsiadów/Mit den Augen der Nachbarn. Ludzie - okolice - stosunki nad Odrą i Nysą*. Publikacja dwujęzyczna, polsko-niemiecka. Str. 228. (Wyd. Brandenburska Centrala Edukacji Politycznej, Poczdam 1992).
- Unia Brzeska i jej następstwa. Materiały z sesji naukowej*. Str. 112. (Wyd. Koło Naukowe Historyków Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1992).
- KORCZAK (Jerzy). *Misja ostatniej nadziei*. Str. 148. (Wyd. Volumen, Warszawa 1992).
- Malarstwo polskie w kolekcji Ewy i Wojciecha Fibaków*. Album. Str. 268 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Auriga i WAF z pomocą Banku PKO i LOTU-u, Warszawa 1992).
- STRASZEWICZ (Czesław). *Turyści z bocianich gniazd*. Str. 304. (Wyd. PIW, Warszawa 1992).
- GRYNBERG (Henryk). *Życie codzienne i artystyczne*. Str. 240. (Wyd. PIW, Warszawa 1991).
- ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Zapomniane, nieuśmierzone...* Str. 168. (Wyd. PIW, Warszawa 1991).
- KROH (Antoni). *O Szwejku i o nas*. Str. 194 i fotografie. (Wyd. Sądecka Oficyna Wydawnicza, Nowy Sącz 1992).
- MIKKE (Stanisław). *Prawdziwa relacja z prac ekshumacyjnych w Charkowie i Miednoje*. Str. 72 i fotografie. (Wyd. Contrast, Warszawa 1992).
- O politykę przemysłową państwa. Materiały z seminarium w Politechnice Warszawskiej*. Str. 120. (Wydawca nie podany, Warszawa 1992).
- Polska - Polacy - mniejszości narodowe*. Str. 162 i fotografie. (Wyd. PFK, Londyn 1992).
- IWAŃSKA (Alicja). *Właśnie tu! Rzecz o dziewiętnastowiecznym Jeanie Marie Guyau i dwudziestowiecznej sobie samej*. Str. 162 i fotografie. (Wyd. PFK, Londyn 1992).
- O Gustawie Herlingu-Grudzińskim*. Materiały z sesji pod red. Ireny Furnal i Jana Paclawskiego. Str. 178. (Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Jana Kochanowskiego w Kielcach, 1992).
- JAKIMOWICZ (Irena). *Konstanty Brandel 1880-1970*. Album. (Wyd. Pol-Swiss Art, Warszawa 1992).

- TERPIN (Bronisław). *Przeigrani zwycięzcy. Odyseja żołnierza polskiego Drugiego Korpusu*. Str. 172. (Wyd. OB, London, Kanada 1989).
- HERBST (Lothar). *Rdza na trąbce*. Str. 68. (Wyd. Wydawnictwo A, Wrocław 1992).
- CHABROWSKI (Tadeusz). *Panny z wosku*. Str. 566. (Wyd. Norbertinum, Lublin 1992).
- GUZIUR (Oswald), STARCZEWSKI (Mieczysław). *Lido i stragan. Ślązany w wywiadzie Armii Krajowej*. Str. 134. (Wyd. Wydawnictwo Olza, Czeski Cieszyn 1992).
- CIECHANOWSKI (Jan M.). *Na tropach tragedii. Powstanie Warszawskie 1944 w nowym świetle*. Str. 392. (Wyd. BGW, Warszawa 1992).
- SZYPER (Adam). *Diabeł Żyd*. Str. 64. (Wyd. Oficyna Bibliofilów, Łódź 1992).
- SZCZEPAŃSKI (Michał). *Girl-Guide*. Str. 124. (Wyd. Verba, Chotomów 1992).
- CYMBORSKA-LEBODA (Maria). *Dramat pod znakiem Dionizosa. Myśl estetyczna a poetyka gatunków symbolistów rosyjskich*. Str. 240. (Wyd. Uniwersytet Marii Curii-Skłodowskiej, Lublin 1992).
- POKSIŃSKI (Jerzy). *„TUN” Tatar - Utnik - Nowicki*. Str. 304. (Wyd. Wydawnictwo „Bellona”, Warszawa 1992).
- Order wojenny Virtuti Militari (1792-1992)*. Opracowanie staraniem Zgromadzenia Kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari w Argentynie. Str. 133 i 5 nlb. (Wyd. Związek Polaków w Argentynie, 1992).
- DE CHAMPEAUX-KLECZYŃSKI (Denise). *Józef Kleczyński. Patriota polski XIX stulecia zapomniany i przywrócony pamięci*. Str. 92 i 20 nlb. dokumentów. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, seria „Źródła i monografie” 134, Lublin 1992).
- SZMIDT (Andrzej). *Skrzypeczki* (poezje). Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. Bi-
blioteka „Więzi”, Warszawa 1992).
- NIEMIADOMSKI (Andrzej). *Panopticum i inne wiersze*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Literackie „Kresy”, Lublin 1992).
- SULIMA (Roch). *Słowo i etos*. Szkice o kulturze. Str. 222. (Wyd. Zakład Wydawniczy FA ZMW „Galicja”, Kraków 1992).
- Zofia Dembowska-Romer — katalog wystawy obrazów*. Str. 232 — w języku polskim, litewskim i angielskim. (opr. Muzeum Narodowe w Warszawie i Państwowe Muzeum Sztuki M.K. Ciurlionisa w Kownie, przy udziale Andrzeja T. Romera w Brukseli, 1992).
- MICKIEWICZ (Adam). *Les aïeux*. Przeł. Jacques Donguy i Michel Masłowski. Str. 400. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1992).
- FINK (Ida). *Le voyage*. Przeł. Laurence Dyèvre. Str. 252. (Wyd. Laffont, Paryż 1992).
- KOWZAN (Tadeusz). *Spectacle et signification*. Str. 296. (Wyd. Les Editions Balzac, Candiac, Que, Kanada 1992).
- STRYJKOWSKI (Julian). *Le rêve d'Azril*. Przeł. Eric Morin-Aguilar. Str. 144. (Wyd. Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).
- KAPLAR (Anna). *Retour. Poèmes*. Tłumacze różni. Str. 66. (Wyd. Editions de la Librairie Fleur, Troyes 1992).
- BOJTAR (Endre). *East European Avant-Garde Literature*. Str. 156. (Studies in Modern Philologie 10, Akadémiai Kiadó, Budapest 1992).
- Opening New Doors: A Business Survey in the People's Republic of China*. Str. 254. (Wyd. Eburon Publishers, Delft, Holandia 1992).
- Privatisation: an International Symposium*. Str. 134. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, Londyn 1992).
- LAUB (Gabriel). *Unordnung ist das ganze Leben. Die besten Satiren*. Str. 366. (Wyd. Langen Müller, Monachium 1992).

Wolna trybuna

Co nas dzieli?

Mówi się od pewnego czasu o podziałach w środowisku literackim. O podziałach wśród pisarzy, tak niedawno jeszcze solidarnie „opozycyjnych” wobec władzy komunistycznej. Na tle współczesnej Polski — jej problemów, dylematów, wstrząsów — rola literatury i ludzi ją tworzących zmalała niewątpliwie. Zbladła. Pisarze znaleźli się na marginesie toczącego się burzliwie życia w wolnej Polsce. Są różne przyczyny tej sytuacji. Głębsze, jak sądzę, niż na ogół się uważa. Ale nie o tym chciałbym mówić. Interesuje mnie właśnie fenomen podziałów w środowisku „ludzi pióra” nie tak dawno przecież solidarnie walczących z komunizmem. Tworzących „jednolity front” i „czołowy oddział awangardy antykomunistycznej”, by użyć języka komunistycznej propagandy. Co dziś zostało z „literatury niezależnej”, z postaw „opozycyjnych” w literaturze, ze wspólnej niezgody na dyktaturę cenzorów? Co nas poróżniło i podzieliło?

Jeszcze jedna uwaga na wstępie: staram się nie nadużywać słowa „pisarz”. W okresie rządów komunistycznych to słowo zdewaluowało się, podobnie jak wiele innych pojęć. Słowem „pisarz” szafowano tak jak orderami, nadając je zbyt wielu ludziom. Poza tym — nazwać kogoś „pisarzem” to zawsze ryzyko. W którym momencie człowiek piszący zostaje pisarzem? Może się przecież zdarzyć, że na przestrzeni pół wieku, z ogromnego tłumu piszących, do historii literatury przejdzie zaledwie kilku. Tym bardziej warto zachować ostrożność.

W końcu jednak to słowo używane jest w potocznym języku dość często. Tak nazywani są nie tylko prozaicy i poeci, ale eseści, tłumacze, krytycy. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich użyło tego słowa w nazwie właśnie w tym — szerokim — znaczeniu. I tylko w tym znaczeniu mówię o „pisarzach” w niniejszym szkicu.

O pisarzach wydających książki w drugim obiegu nie mówiło się, że są „opozycjni” — raczej, że są „niezależni”. Podobnie o literaturze: nie „opozycyjna”, ale „niezależna”. Chodziło przecież o uwolnienie się od nadzoru władzy komunistycznej. Ten przymiotnik wyrażał niezgodę na system, który czynił człowieka zależnym we wszystkich dziedzinach — między innymi w literaturze.

Przez dziesiątki lat pisarze w krajach komunistycznych byli świadkami realizacji utopijnej doktryny, która czyniła człowieka zależnym pod każdym względem. Miała stworzyć raj na ziemi, a doprowadziła do zniewolenia, jakiego chyba nigdy przedtem człowiek nie doświadczył. Uważam, że możliwość opisanie tej właśnie komunistycznej rzeczywistości — szarzyzny życia, zakłamania, niesprawiedliwości, propagandy, obrzędowości systemu, itd., itp. — stwarzała wielką szansę. To było wyzwanie, przed którym stawali „ludzie pióra”. Na to wyzwanie można było — oczywiście — odpowiedzieć lub nie. Tak jak można wstać lub nadal klęczeć. Warunkiem było odrzucenie autocenzury i pisanie wbrew cenzurze państwowej, ale alternatywą okazywała się zawsze „zależność”. Zawsze postawa klęczącego.

Myślę, że to między innymi dlatego — zwłaszcza pod koniec lat siedemdziesiątych — wybór był w gruncie rzeczy łatwiejszy. Wobec niereformowalności systemu, głupoty władz, coraz silniejszej presji cenzury — łatwiej było zdobyć się na niezależność. To raczej dziś, w wolnej Polsce, sytuacja pod tym względem skomplikowała się. Po upadku komunizmu zaczynają grozić inne — nowe — „zależności”. Mam wrażenie, że pisarze znów ulegają różnym presjom. Już nie cenzury i władzy komunistycznej, ale np. opinii pewnych grup czy środowisk. Wiadomo, że skłonność do utożsamiania się z grupą i uznawania poglądów tej grupy za własne, jest cechą ludzką. Myślę, że ta skłonność jest szczególnie niebezpieczna dla ludzi piszących. Rola pisarzy, jako bezstronnych, obiektywnych i niezależnych obserwatorów rzeczywistości, zostaje natychmiast przekreślona.

Modne było za czasów komunistycznych ozdabianie pisarzy przymiotnikami. Mówiło się np. „partyjny pisarz”, „ludowy pisarz”, „katolicki pisarz”. Także podkreślało patriotyzm przez dodawanie przymiotnika „polski”. Obecnie modny jest przymiotnik „chrześcijański”, jakkolwiek nie słyszałem jeszcze o „chrześcijańskich pisarzach”. Uważam, że wszystkie te przymiotniki sygnalizowały — i sygnalizują nadal — ograniczenie lub zależność.

Dziś zależność nie jest już dopisywana, nakazywana czy narzucana, jak za czasów komunistycznych. Jest teraz kwestią wyboru, ale taka wybrana zależność jest równie niebezpieczna dla piszącego. Sądzę, że jeśli pochylimy głowę przed jakimkolwiek

sacrum — stajemy się zależni. Jeśli zajmujemy stanowisko w strukturach władzy — w rządzie, sejmie, senacie — również, chcąc nie chcąc, skazujemy się na zależność. Także wtedy, gdy podporządkowujemy swoje pisanie gustom i oczekiwaniom czytelników, wydawców, krytyki (szczególnie dziś, kiedy książka stała się towarem). Przede wszystkim jednak niebezpieczne wydaje się uleganie presji opinii i przekonań — tych akceptowanych i uznawanych za jedynie słuszne przez daną grupę. Uleganie tej przemożnej potrzebie stałej obecności w grupie, zdobywania jej podziwu, poklasku i uznania.

To przecież różne grupy polityczne (partie) i wyznaniowe (kościół) — dziś, w wolnej Polsce, po upadku komunizmu — znów zaczynają dyktować, co słuszne a co niesłuszne. Jak należy myśleć i pisać. Co można, a czego nie można krytykować. O co można a o co nie wypada pytać. Pojawiły się nagle tematy „tabu” — niepisane zakazy. Coraz częściej ktoś kogoś poucza z pozycji niezachwianej pewności siebie: „tylko my mamy rację”. Od tej pewności do cenzury był jeden krok.

Myślę, że to co dzieli dziś pisarzy (i nie tylko pisarzy) — tak niedawno solidarnie „niezależnych” wobec komunistycznego systemu — to właśnie różna ocena spraw objętych niepisaniem „tabu”.

Mówić źle o komunizmie i komunistach? Nie wypada, ponieważ tylko ludzie małostkowi źle mówią o swoich prześladowcach lub decydują się na „kopanie leżącego”.

Poruszać serio problem „lustracji” i teczek? Któż będzie się „babrać” w podobnych „obrzydlivościach”?

Krytykować Kościół i ortodoksję polskich biskupów? Nie wypada, ponieważ cała Polska jest katolicka, Kościół jest instytucją świętą, a przed instytucją świętą należy raczej klękać niż krytykować.

Pisać o „hańbie domowej” i pytać o postawy z czasów stalinowskich? Przejaw złej woli, „grzebanie w cudzych życiorysach”.

Przypominać, co wypisywali w czasach stanu wojennego niektórzy pisarze i dziennikarze obecnie nadal aktywni w rolach „moralnych autorytetów”? Nie wypada, ponieważ w gruncie rzeczy to wszystko jest „wypominaniem” w złych intencjach.

Oczywiście, że wobec takiego nastawienia proste pytanie „jak było naprawdę?” wydaje się w równym stopniu zbędne co małostkowe. Myślę, że tu właśnie dotykamy sedna podziałów: jeśli pytamy o prawdę, narażamy się na zarzut ulegania fobiom, nienawiści, wywoływania resentymentów, itd., itp. Jeśli — z drugiej strony — pominiemy milczeniem to proste pytanie, być może przyczynimy się do sfalszowania obrazu 45-letniej historii

naszego kraju. Myślę więc, że — mimo wszystko — trzeba wybierać. W imię własnej niezależności.

Należę do tych, którzy nie mówią o komunizmie jako o „porażce umysłów ludzkich w XX wieku” czy też nawet jako o „wielkiej porażce”. Uważam, że był to system zbrodniczy, zbudowany na utopijnej doktrynie. Stawiam również wyraźny znak równości między komunizmem a hitlerowskim nazizmem. Ludzi, którzy byli związani z komunizmem przekonani, wiązali z nim nadzieje lub uwierzyli w komunizm — skłonny jestem uznać jedynie za naiwnych. Ta choroba, jak wiadomo, opanowała wiele świątłych umysłów. Natomiast nic — moim zdaniem — nie może usprawiedliwiać czołowych komunistów polskich, którzy świadomie godzili się na rolę współzrządzających krajem w imieniu protektorów z Moskwy. Uważam, że byli to po prostu zdrajcy i kolaboranci.

Jest kilka takich „papierków lakmusowych”, które odślanają podziały wyraźnie i bez niedomówień. Jeśli — oczywiście — złamiemy „tabu” i zaczniemy mówić o sprawach o których, w gruncie rzeczy, mówić nie wypada. Otóż jedną z nich jest właśnie ocena postawy komunistów polskich zajmujących kluczowe stanowiska w PRL.

Uważam, że ujawnione niedawno dokumenty katyńskie z podpisami Stalina i jego towarzyszy świadczą przede wszystkim o tym, że ta decyzja — zamordowania kilkunastu tysięcy jeńców-oficerów polskich — musiała być znana nie tylko czołowym komunistom sowieckim, ale również czołowym komunistom polskim. Od Wandy Wasilewskiej zaczynając. Nie do obrony wydaje się teza, że czołowi komuniści polscy prawdy o Katyniu nie znali i byli przekonani, że zbrodnię popełnili Niemcy. Jak wielka naiwność musiałaby cechować tych ludzi, gdyby istotnie tak było? A jeśli wiedzieli, to jak mogli godzić swój patriotyzm, o którym często teraz mówią, z tą przerażającą prawdą? A jeśli milczeli — to czy milcząc nie akceptowali tym samym zbrodni Stalina?

Moim zdaniem obrona komunistów polskich przez niektórych znanych opozycjonistów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, także ze środowiska literackiego, jest przede wszystkim z historycznego punktu widzenia błędem. Ta obrona zaciemnia historię ostatnich kilkadziesiąt lat, ponieważ fundamentem PRL był Katyń i tej okrutnej prawdy zmienić się nie da.

Błędne jest także — co powinno być oczywiste — przypisywanie komunistom polskim szlachetnych intencji. Zwłaszcza dotyczy to okresu przed upadkiem PRL, kiedy generał Jaruzelski poparł ruch reformatorski i ideę „okrągłego stołu”. Zapomi-

na się o przyziemnych przyczynach nagłego zwrotu i szlachetnych zachowań: po prostu padał Związek Sowiecki, a komunistom polskim usuwał się grunt pod nogami. Oczywiście, że zmienili front, ale gdyby Związek Sowiecki nie rozchorował się śmiertelnie, zapewne czekalibyśmy na „okrągły stół” do dzisiaj. Dlaczego więc, wybielając polskich komunistów, zapomina się o tej głównej przyczynie?

Podobnie „papierkiem lakmusowym” stał się spór o Józefa Mackiewicza — „zaciekłego antykomunistę”, jak często nazywają go przeciwnicy. Nie wnikając w szczegóły polemik, które ciągną się na łamach prasy polskiej, w kraju i na emigracji, od wielu lat, chcę powiedzieć, że — moim zdaniem — to także spór o stosunek do komunizmu.

Józefowi Mackiewiczowi wypomina się bez końca publikację kilku tekstów w piśmie *Goniec Codzienny*, ukazującym się w Wilnie w czasie okupacji niemieckiej. Przylepiono mu etykietę „fanatyka” opanowanego nienawiścią do komunizmu czy też „nienawiścią” w ogóle. Takie postawienie sprawy oznacza — oczywiście — potępienie ekstremalnej postawy pisarza a nie komunizmu, jako systemu ludobójczego.

Nota bene można uznać za niewątpliwy sukces propagandy komunistycznej to, że do dziś, w Polsce, potępia się powszechnie jedynie narodowy socjalizm i nazistów, natomiast w stosunku do komunizmu i komunistów obowiązuje coś w rodzaju „taryfy ulgowej”. Postawy heroiczne zazerwowano jakby wyłącznie dla antyfaszystów. Antykomuniści jakże często uważani są nadal za maniaków, obsesjonistów, a nierzadko zdrajców.

Jeśli chodzi o Mackiewicza, istotne są także przemilczenia. Choćby fakt, że krytykując jego postawę „proniemiecką”, jednocześnie nie dostrzega się postawy tych wszystkich — licznych — pisarzy polskich, którzy w latach 39-41, we Lwowie i Wilnie, uczestniczyli w życiu literackim i drukowali w pismach sowieckich, takich jak *Czerwony Sztandar*, *Nowe Widnokreگی* czy *Prawda Wileńska*. Ich teksty — czytane dzisiaj — są rzeczywistie dowodem zdrady. I z taką właśnie niekonsekwencją — selektywną oceną ludzkich postaw — nie sposób się pogodzić.

Ostatnio „papierkiem lakmusowym” stała się sprawa pułkownika Kuklińskiego. Przez dziesiątki lat w PRL wychowywano dzieci na filmie, którego bohaterem był szpieg — kapitan Kloss — przebrany w mundur niemiecki. Ten wymyślony szpieg, wykradający najtajniejsze plany, niepokonany i do szaleństwa odważny, stał się nieomal bohaterem narodowym. Obecnie, kiedy pułkownik Kukliński chce wrócić do Polski, nagle wielu ludzi — również z dawnych środowisk opozycyjnych — mówi o nim niechętnie. Na przykład: „nie wiadomo jak było naprawdę”, „szpieg jest szpiegiem”, itp. Co więcej: skazanych przez sądy PRL,

za współpracę z wywiadami zachodnimi, nadal traktuje się jak zdrajców i wrogów Polski (jak w artykule Jacka Żakowskiego pt. „Dobry szpieg” — *Życie Warszawy* z 1 grudnia 92). Istotę sprawy pomija się milczeniem. To, mianowicie, na czyją szkodę działali: Polski lub armii polskiej (całkowicie przecież podporządkowanej sowieckim generałom) czy na szkodę ZSSR i jego planów militarnych, stanowiących realne zagrożenie nie tylko dla naszego kraju, ale dla całej reszty świata? Zapomina się nagle, kto był agresorem na Węgrzech, w Czechosłowacji, w Afganistanie? Komu służył i czym był Układ Warszawski?

To także wielki (pośmiertny) sukces komunistycznej propagandy, ale również ponury paradoks historii: fakt, że dziś, kiedy pułkownik Kukliński chce wrócić do wolnej Polski, opinię o nim nadal kształtują ludzie, którzy przez długie dziesięciolecie wiernie służyli ZSSR. Natomiast ci, którzy chętnie bronią czołowych komunistów polskich — „amerykańskiego szpiega” bronić nie chcą.

Podaję te trzy przykłady kontrowersji, które dzielą także środowisko literackie, zakładając, że — być może — wszelkie podziały w okresie przejściowym, po upadku komunizmu, są naturalne. I naturalny jest podobny zamęt — szukanie odpowiedzi na wiele zasadniczych pytań. Tym niemniej to z tego powodu zapomina się o tym, co łączy. Nagle zaczyna się mówić źle o przyjaciółach. Traci się wspólny język. Zrywane są wieloletnie więzy.

Poglądów swoich, tu przedstawionych, nie chcę nikomu narzucać. Nie jestem zwolennikiem powszechnej dekomunizacji, „lustracji” czy też przeglądu postaw z lat komunistycznej niewoli. Ale jednocześnie nie mogę akceptować sytuacji, kiedy z jednej strony broni się ludzi, którzy jawnie i bez żenady pełnili role narzuconych półgubernatorów tej półkolonii, jaką była PRL — a z drugiej strony tych, którzy z komunizmem walczyli, potępia nazywając kolaborantami, zarzucając im zdradę, fanatyzm lub postawę zdominowaną przez nienawiść. Uważam, że na takie stawianie rzeczy na głowie i na takie pomieszanie pojęć — zgodzić się nie można.

Warszawa, grudzień 1992

Kazimierz ORŁOŚ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16. 12. 93

Zmarł w Krakowie w wieku 86 lat Wacław Kubacki, profesor UJ, historyk, krytyk literatury, pisarz i dramaturg.

31. 12. 92

W wydawnictwie Biblioteki Narodowej w Warszawie *Ruch wydawniczy w liczbach* (Nr 37) podano nakłady książek. Podajemy dane dotyczące niektórych pisarzy:

	Tytuły ogółem	Egzemplarze ogółem 1944-91	w tym w 1991
ANDRZEJEWSKI Jerzy	77	2133	23
BRANDYS Kazimierz	70	1100	20
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw	32	432	73
IWASZKIEWICZ Jarosław	190	5065	3
KADEN-BANDROWSKI Juliusz	29	744	18
KISIELEWSKI Stefan	36	698	50
KONOPNICKA Maria	323	25154	455
KRASZEWSKI Józef Ignacy	591	24965	345
LEM Stanisław	126	4747	45
MIŁOSZ Czesław	46	1498	8
NEWERLY Igor	78	3084	20
RODZIEWICZÓWNA Maria	138	9639	1757
RÓŻEWICZ Tadeusz	75	1550	8
SIENKIEWICZ Henryk	578	32938	1016
SZCZYPIORSKI Andrzej	44	1444	20
WITKIEWICZ Stanisław Ignacy	40	1215	34

1. 1. 93

Rząd w Warszawie ustalił, które soboty w 1993 roku będą wolne, a mianowicie: 2, 9, 23 i 30 stycznia; 6, 20 i 27 lutego; 6, 13 i 20 marca; 3, 10 i 24 kwietnia; 8, 15 i 29 maja; 5, 19 i 26 czerwca; 3, 10, 24 i 31 lipca; 7, 14 i 21 sierpnia; 4, 11 i 25 września; 2, 9, 23 i 30 października; 6, 20 i 27 listopada; 4 i 18 grudnia. Dni ustawowo wolne od pracy to Nowy Rok; Poniedziałek Wielkanocny 12 kwietnia; 1 i 3 maja; Boże Ciało 10 czerwca; Matki Boskiej Zielnej 15 sierpnia; Dzień Zmarłych 1 listopada; 11 listopada; Boże Narodzenie 25 i 26 grudnia. ■ W ciągu trzech pierwszych kwartałów 1992 roku wydano cudzoziemcom w Polsce 345 zezwoleń na zakup gruntów oraz 48 na kupno lokali. Najwięcej zezwoleń uzyskali Niemcy — 155, następnie Szwedzi — 28, Austriacy — 27, a Amerykanie — 24.

6. 1. 93

Nagroda literacka miesięcznika *Odra* za rok 1992 została przyznana Ja-

rostawowi Markowi Rymkiewiczowi za całokształt twórczości. ■ Jury nagrody publicystycznej im. Adolfa Bocheńskiego przyznało nagrody za rok 1992. Laureatem pierwszej został Jerzy Turowicz, drugiej — Jan Malicki.

10. 1. 93

Dziennik *Słowo Powszechne*, oficjalny organ Stowarzyszenia PAX, decyzją prymasa Glempa uzyskał oficjalny status gazety katolickiej. Nazwa pisma będzie zmieniona na *Słowo* z podtytułem „Dziennik Katolicki”. Dotychczasowy skład redakcji pozostaje bez zmian z wyjątkiem stanowiska redaktora naczelnego, którego nazwiska jeszcze nie podano. Asystentem kościelnym pisma został ks. Naumowicz z ATK. Wydawcą *Słowa* będzie nadal Inco Veritas — koncern handlowo-produkcyjny PAX-u.

11. 1. 93

Zmarła w Warszawie w wieku 92 lat Jadwiga Sosnkowska, żona gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

20. 1. 93

Jury nagrody literackiej Marii Ginter przyznało nagrodę za najlepsze wspomnienia roku Agnieszce Osieckiej za książkę „Rozmowy w tańcu”.

26. 1. 93

Staraniem Fundacji „Muzyka Kresów”, ośrodka badań muzykologicznych i kulturowych w Europie Środkowowschodniej, odbyła się w Lublinie IV międzynarodowa sesja etnomuzykologiczna: „Muzyka obrzędów rodzinnych Europy Środkowowschodniej — chrzty i pogrzeby”.

28. 1. 93

W księgarni Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim w Warszawie odbył się wieczór autorski Andrzeja Żuławskiego.

10. 2. 93

Zmarł w Warszawie w wieku 45 lat Jan Walc, historyk i krytyk literacki, publicysta polityczny.

ZACHÓD

17. 12. 92

Prezydent Austrii nadał Władysławowi Bartoszewskiemu Krzyż Honorowy I Klasy za Zasługi dla Nauki i Sztuki.

7. 1. 93

W Waszyngtonie dr inż. Wojciech Rostafiński, wybitny naukowiec NASA i popularyzator nauk ścisłych i podboju kosmosu, został odznaczony przez ambasadora RP komandorią Orderu Polonia Restituta.

12. 1. 93

Zmarł w Kalifornii Józef Lubański, działacz społeczny, wydawca pisma *Fragments*. O tym ciekawym człowieku będziemy pisali osobno.

13.1.93

W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów w Paryżu odbyło się spotkanie z Leszkiem Moczulskim, postem na Sejm RP, przewodniczącym Konfederacji Polski Niepodległej.

14.1.93

Zmarł w Hadze w wieku 78 lat Manfred Lachs, wybitny specjalista w dziedzinie prawa międzynarodowego, doktor *honoris causa* 18 uniwersytetów na świecie, wieloletni sędzia Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

15.1.93

Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie miał miejsce odczyt senatora Andrzeja Celińskiego pt. „Kapitalizm bez kapitału. Uwarunkowania polityczne rozwoju gospodarczego w Polsce”. ■ Nakładem Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego ukazała się książka pt. „Trwanie w walce. Kulturowa analiza S.P.K. w Kanadzie” autorstwa Edwarda Soltysa i Benedykta Heydenkorna.

21.1.93

W Uniwersytecie Aix-Marseille odbyła się uroczystość nadania doktoratu *honoris causa* prof. Leszkowi Balcerowiczowi.

24.1.93

Zmarł w Kornwalii (Anglia) w wieku 93 lat Bolesław Leitgeber, dyplomata, dziennikarz, pisarz, malarz. Wyższy urzędnik ONZ w latach 1946-1960. Ostatnio ukazała się jego książka „Rzym w radościach i troskach dawnej Polski”, wydana w Londynie w 1991 r.

31.1.93

Jury nagrody Jurzykowskich przyznało następujące nagrody za rok 1992:
Medycyna: Zbigniew Religa, ur. 1933, wybitny kardiochirurg. Dokonał w 1985 r. pierwszej w Polsce transplantacji serca. Członek nowojorskiej Akademii Nauk.

Biologia: Paweł Kisielow, ur. 1942, międzynarodowo uznany autor rytet w dziedzinie immunologii.

Matematyka: Andrzej Hulanicki, ur. 1933, profesor matematyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Od 1968 do 1983 kierownik Instytutu Matematycznego wrocławskiej sekcji PAN.

Chemia: Zbigniew R. Grabowski, ur. 1927, profesor w Instytucie Chemii Fizycznej PAN, członek niemieckiej Akademii Nauk „Leopoldina”.

Filozofia: Władysław Stróżewski, ur. 1933, profesor i dziekan Wydziału Filozofii UJ oraz wykładowca estetyki na Akademii Muzycznej w Krakowie.

Historia: Krystyna Kersten, ur. 1931, członek PAN od 1958 r. Autorka sześciu książek i 33-ch artykułów, zajmuje się głównie najnowszą historią Polski. Przed upadkiem komunizmu w Polsce współpracowała z wydawnictwami podziemnymi i część prac tam publikowała.

Historia kultury: Witold M. Rybczyński, ur. 1943 w Szkocji, profesor w School of Architecture of the McGill University w Montrealu. Autor wielu prac o historii i socjologii kultury.

Literatura: Jarosław M. Rymkiewicz, ur. 1935, prozaik, poeta i eseista, dramaturg, tłumacz i historyk literatury.

Muzykologia: Michał Bristiger, ur. 1921. Członek PAN, profesor teorii muzyki warszawskiej Akademii Muzycznej i w Instytucie Muzykologii w Calabrii we Włoszech.

Malarstwo: Jacek Siennicki, ur. 1928, profesor warszawskiej ASP, malarz i rysownik.

10.2.93

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się koncert białoruskiego wiolonczelisty, solisty Filharmonii w Mińsku, Olega Olovnikova i pianisty pochodzenia polskiego Jacques Schaba. Poprzednio w Bibliotece Polskiej odbyły się następujące imprezy: 4.02.br. prof. Jerzy Pravi z Uniwersytetu Warszawskiego wygłosił odczyt „Montalambert współpracownik Mickiewicza w latach 30-tych”, a 23.01.br. Aleksander Pruszyński, redaktor i wydawca pisma polskiego w Mińsku *Pryzmat*, mówił o współczesnej Białorusi.

11.2.93

Zmarł w Kolonii w wieku lat 80 Jan Halpern, ekonomista, wykładowca uniwersytetów w Warszawie i Frankfurcie.

19.2.93

W Centre du Dialogue w Paryżu Andrzej Wajda wygłosił odczyt pt. „Polityka w życiu kulturalnym kraju”. Upřednio, 5.02.br. prof. Janusz Pasierb mówił na temat „Józef Czapski: człowiek i twórca” (7.02.br. w kościele akademickim przy ul. Cler w Paryżu została odprawiona msza św. za duszę Józefa Czapskiego, homilię wygłosił ks. prof. Janusz Pasierb), 29.1.br. ambasador Litwy w Paryżu, Osvaldas Balakauskas, mówił na temat „Litwa w świecie dzisiejszym” (odczyt został wygłoszony w języku polskim), a wreszcie 15.01.br. znany reżyser-teatrolog Kazimierz Braun wygłosił odczyt pt. „Świat wartości w polskim teatrze wobec zagrożeń postkomunizmu i protokapitalizmu”.

12.3.93

W Maisons-Laffitte zostanie otwarta wystawa „Malarze polscy”, zorganizowana przez Towarzystwo Francusko-Polskie „Aura”, Bogusława Sonika — dyrektora Instytutu Polskiego w Paryżu oraz mera Maisons-Laffitte, Jacques Myard i jego zastępcę Denis Ferri. Wystawa potrwa do 21 marca.

KRONIKA NORWESKA

18 lipca zmarł w Oslo Ivar Lunde (ur. 1908). Prawnik, wieloletni ambasador Norwegii w wielu krajach, w tym w Polsce i Związku Sowieckim. Urodził się w norwesko-polskiej rodzinie. Świetnie władał naszym językiem. Był między innymi tłumaczem literatury polskiej i korespondentem *Kultury*. ■ Norwegia jako jedyny kraj Sojuszu Atlan-

tyckiego graniczący bezpośrednio najpierw ze Związkiem Sowieckim, a obecnie z Rosją, obawiała się swego wielkiego sąsiada. Tymczasem ataku na spokojne miasta norweskie nie wykonali komandosi, lecz handlarze. Na pogranicze z Murmańska i okolic zwalają się codziennie autobusy z rosyjskimi handlarzami. Co oferują? To samo co u nas: wódkę, papierosy, pamiątki, aparaty fotograficzne, sprzęt sportowy, a dziewczyny swoje wdzięki. Można też kupić broń i narkotyki. Celnicy norwescy w tym rejonie są jak dotąd bezsilni. Nic dziwnego: jest ich zaledwie czterech. ■ 19 listopada w późnych godzinach wieczornych parlament w Oslo większością głosów wyraził zgodę na złożenie wniosku o przyjęcie Norwegii do Wspólnoty Europejskiej. Rząd w negocjacjach z EWG będzie stawiał twarde warunki: między innymi w sprawie kontroli nad zasobami naturalnymi (chodzi głównie o złoża ropy naftowej i ławice ryb), utrzymania rolnictwa oraz zachowania osadnictwa na rozległych terenach kraju. ■ Przebywający w listopadzie z oficjalną wizytą w Rosji norweski minister obrony Jorgen Holst swoimi wypowiedziami wywołał burzę. Powodem była jego propozycja wspólnych manewrów morskich Rosji i państw NATO. Holst był norweskim kandydatem na sekretarza generalnego NATO. ■ Deficyt budżetowy w roku 1993 ma wynieść 51 miliardów koron, czyli około 8 miliardów dolarów. ■ 9 grudnia w Norwegii było 170.000 bezrobotnych. W tym 100 tysięcy przypada na poszukujących pracy mężczyzn. ■ 10 grudnia korona norweska została zdewaluowana o 5%. ■ 10 grudnia w Oslo odebrała pokojową Nagrodę Nobla za rok 1992 34-letnia Indianka z Gwatemali, Rigoberta Menchu. Rigoberta Menchu zamierza przeznaczyć nagrodę na fundację imienia jej zamordowanego ojca. Celem fundacji, z siedzibą w Meksyku, ma być budzenie świadomości wśród Indian oraz przeciwdziałanie rasizmowi. ■ 22 grudnia premier Norwegii Gro Harlem Brundtland zapowiedziała utworzenie ogólnoeuropejskiej organizacji młodzieżowej przeciw faszyzmowi. ■ 7 stycznia samotny narciarz dotarł do bieguna południowego. Był nim adwokat z Oslo Erling Kagge. Jest pierwszym, który nie był zaopatrywany z przygotowywanych z góry magazynów czy ze zrzutów lotniczych. Wszystko — a było tego 120 kilo — ciągnął sam na sankach. Średnio przebywał 26 km dziennie. ■ 11 stycznia w norweskim Kirkenes spotkali się szefowie MSZ-tów Rosji i pięciu państw skandynawskich oraz władz z siedmiu przygranicznych województw. Zaproszono też przedstawicieli Lapończyków zamieszkujących w Norwegii, Szwecji, Finlandii i Rosji. Celem spotkania było utworzenie Regionu Barentskiego. Organem kierowniczym ustanowiono Radę Ministerialną i Radę Regionu. Pierwsza gromadzić ma ministrów spraw zagranicznych zainteresowanych stron. W Radzie Regionu mają zasiąść reprezentanci siedmiu granicznych województw i Lapończyków. Problemy, jakie piętrzą się przed nową organizacją są przeogromne, szczególnie w dziedzinie ochrony przyrody. By zredukować zanieczyszczenia, czy bombę w postaci nuklearnych odpadów nagromadzonych np. w rejonie Murmańska, potrzebne są środki jakimi nie dysponują kraje skandynawskie. Inne państwa Europy Zachodniej są więc zaproszone do współpracy.

Oslo, 28.01.93

Paweł GAJOWNICZEK

Listy do Redakcji

Paryż, 2 lutego 1993

Szanowny Panie Redaktorze,

Z pewnym zdziwieniem, jako fachowiec (od czternastu lat prowadzę dział literatury środkowo-wschodniej w znanym wydawnictwie paryskim) przeczytałam obszerną recenzję pt. „Poeci Apokalipsy” zamieszczoną w nr. 1-2/1993 *Kultury* (rubryka „Książki”). Sposób, w jaki oświetla sytuację polskiej prozy i poezji na rynku wydawniczym Francji p. Paweł Molksi jest oceną poety chodzącego z głową w chmurach. Już wstępne stwierdzenie: „Moda na literaturę polską we Francji trwa i zatacza coraz szersze kręgi. Wiąże się to niewątpliwie z ogólnym wzrostem zainteresowania krajami Europy środkowej i wschodniej”, wprowadza czytelnika w błąd. W roku 1989, w związku z klęską komunizmu, można było rzeczywiście zaobserwować we Francji nagły wzrost zainteresowania książką środkoeuropejską, nawet kilka znanych oficyn (np. Albin Michel, Flammarion, Balland, La Découverte) powierzyło wówczas swoim specjalistom zorganizowanie pod tym kątem nowych serii. Ale wkrótce ci, którzy spodziewali się wpaść na żyłę złota, odkryli że takowa nie istnieje i że bardzo już nasycony rynek źle wchłania zwielokrotnione tłumaczenia z obszaru „wschodniej” Europy. Następnie, w związku z generalną recesją, nastąpiło załamanie rynku i po bardzo trudnym roku 1991 nadszedł katastroficzny rok 1992 ze spadkiem sprzedaży o często więcej niż 50% w porównaniu z cyframi z lat osiemnastu lat. W rezultacie, szereg wydawców zbankrutowało, a ci, którzy zostali na rynku, zmuszeni są do drastycznego zmniejszenia ilości publikacji i często do wycofania się z wcześniej podpisanych umów.

Oczywiście, to prawda, że w ciągu ostatnich trzech lat ukazało się sporo tłumaczeń z języka polskiego, często zresztą tekstów, które wiele lat czekały na wydawcę i którym pomógł rok 1989. Z drugiej strony, jest kilku solidnych wydawców we Francji, materialnie zasobnych i mogących pozwolić sobie na politykę długofalową, nie obliczoną na natychmiastowe zyski, jak Fayard, wydawca Miłosza czy La Différence, ze swoją świetnie prowadzoną dwujęzyczną serią poezji światowej „Orphée”, stale zasilaną o nowe ambitne teksty, gdzie, o dziwo, mógł się ukazać właśnie Jan Kochanowski. Istnieją również nadal oficyny, jak L'Age d'Homme, których specyfiką, ale przecież nie od dzisiaj, jest otwar-

cie literatury na obszary literatury wschodnioeuropejskiej, zwłaszcza rosyjskiej, albo Noir sur Blanc, młoda oficyna roztaczająca swój mecenat nad literaturą polską. Są to zresztą wydawcy szwajcarscy związani pochodzeniem z „naszą” Europą (Vladimir Dimitrjewicz jest Serbem, Jan Michalski Polakiem). Ich publikacje są niskonakładowe, obliczone na wąski krąg umotywowanych i wykształconych odbiorców. Jeszcze inną kategorią wśród tych, których wlicza jednym tchem Pan Molski, są struktury w rodzaju „Cahiers Bleus” czy Granit, „konfidencyjne” w tym sensie, że liczba ich czytelników nie przekracza na ogół 100-200 osób w całej Francji. Błędem jest umieszczenie na tym samym planie wydawców tak różniących się między sobą profilem, siłą przebiecia i polityką edytorską, a tym bardziej przypisywanie im grupowo intencji „odrobienia wielkich zaległości” w dziedzinie tłumaczeń z poezji polskiej. Nie mówiąc już o tym, że i tu interweniuje czasem zbieg okoliczności. Bo jak wytłumaczyć inaczej, że nagle, po przeszło 150-ciu latach od powstania „Pana Tadeusza”, dwóch sympatycznych i zapalonych Francuzów, korzystając z przejścia na emeryturę, postanowiło, bez zamówienia ze strony jakiegokolwiek wydawcy, spontanicznie i nic nie wiedząc jeden o drugim, ofiarować współziomkom tłumaczone aleksandrynem arcydzieło naszej literatury?

Aby uczynić zadość sprawiedliwości, muszę stwierdzić, że pochopność i przesadny entuzjazm oceny ustępują miejsca skrupulatności znawcy z prawdziwego zdarzenia z chwilą, kiedy Pan Molski przystępuje do szczegółowej analizy antologii „Poetów Apokalipsy”. Trudno się nie zgodzić z jego zastrzeżeniami co do nierównego poziomu czy wręcz potknięć tłumaczy, chociaż słusznie podkreśla on również „imponujące rozmiary i oryginalność koncepcji” tej pracy wykonanej przez zespół polonistów z uniwersytetu w Lille pod kierownictwem profesorów Daniela Beauvois, Jean-Marie Delmaire’a, Stanisława Beresia i Maryli Laurent. Natomiast, kiedy wyraża żal, że nie zaproszono do współpracy poetów francuskich „tak jak to zrobił Konstanty Jeleński w swojej słynnej „Antologii poezji polskiej” (L’Age d’Homme, 1981)”, zapomina, że czasy były inne, kiedy Konstanty Jeleński przygotowywał swoją antologię i że szerokim strumieniem płynęły wówczas amerykańskie fundusze na te cele (*nota bene* wymienione poszerzone wydanie z 81 roku, które sama redagowałam na prośbę Jeleńskiego, już żadnych subwencji nie otrzymało i dlatego z oficyny Le Seuil, pierwotnego wydawcy, wylądowało w L’Age d’Homme, gdzie właśnie z braku środków na staranne opracowanie wynikło wiele niesnasek między wydawcą i redaktorami, a w rezultacie sporo usterek edytorskich. Zespół polonistów z uniwersytetu w Lille pracował bezinteresownie, gdyż wydawca, Presses Universitaires de Lille, wypuszczając książkę na rynek w nakładzie tysiąca egzemplarzy, nie mógł liczyć na żaden zarobek. Piękne jest to, że mogą jeszcze ukazywać się we Francji książki, dla których prestiż jest jedyną rekompensatą.

Łączę wyrazy poważania

Zofia BOBOWICZ

Londyn, 29 grudnia 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze względu na nieoczekiwane wezwanie do szpitala na operację, nie zdążyłam sprawdzić ostatecznego brzmienia swego tekstu „Stulecie PPS”, który był Pan tak dobry umieścić w grudniowej *Kulturze* (nr 12/543, str. 34).

Z tej przyczyny w maszynopisie wysłanym do Pana opuszczony został akapit dotyczący walki PPS o demokrację w międzywojennej Polsce. Proszę mi zatem pozwolić przytoczyć owo opuszczenie *in extenso*:

„Po przewrocie majowym, który partia poparła, PPS wraz z ludowcami utworzyła Centrolew w celu przeciwstawienia się autorytarnemu rządowi Piłsudskiego. Między innymi sześcioro PPSowskich działaczy Centrolewu: Liberman, Barlicki, Ciołkosz, Dubois, Mastek i Prażaczki zostało sadzonych w Brześciu 10 IX 1931 w okresie kolejnych wyborów”.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Lidia CIOŁKOSZOWA

14 grudnia 1992

Drogi Redaktorze,

jak Pan wie, pracowałam w Bibliotece Narodowej w Warszawie od jej początków do r. 1939 i dotąd łączą mnie z moją macierzystą Biblioteką serdeczne więzy. Pamiętano o mnie w najgorszych nawet okresach, odwiedzano po cichutku w Londynie, dzielono się radościami i kłopotami Biblioteki. Wielokrotnie mówiłam w audycjach RWE o pilnej potrzebie stworzenia BN właściwych warunków pracy w *odpowiednich* pomieszczeniach.

Ostatnio doszła do mnie dziwną drogą, bo via *Życie Warszawy*, wiadomość o zamierzonym odebraniu Bibliotece Narodowej Pałacu Rzeczypospolitej, w którym wielkim nakładem pracy i kosztów urządzono działy specjalne ze starymi drukami na czele. Obecnie postanowiono zrywać tym samym więzy łączące BN z Biblioteką Rzeczypospolitej Żałuskich zwaną, z której wyrosła w Dwudziestolecie Biblioteka Narodowa. Nie było to przewidywane w planach budowy i jest nieprzyjemnym zaskoczeniem. Nowoczesny gmach nie jest właściwym tłem dla zbiorów historycznych. Jest nim Pałac Rzeczypospolitej przystosowany do ekspozycji zbiorów specjalnych, a położony w śródmieściu w pobliżu Zamku Królewskiego i Starego Miasta.

Myszę, że nie zapadła jeszcze ostateczna decyzja, bo gdyby tak było, wiedziałyby o niej wcześniej Dyrekcja Biblioteki, kompletnie zaskoczona informacją z *Życia Warszawy*. Ze jednak w panującym obecnie chaosie groźba zagrożenia jest realna, wołam na alarm: „Nie

wyrwyjacie starych druków, rękopisów — skarbów kultury polskiej — z Pałacu Rzeczypospolitej do nowoczesnego gmachu, w którym długo musiałyby się aklimatyzować, a tu już nieco odpoczęły po poniewierze wojennej”. Nie piszę tego głośno — w Bibliotece Uniwersyteckiej w Cambridge przenosi się starodruki z nowoczesnych metalowych półek na drewniane (zabezpieczone od korników), bo okazały się zdrowsze!

Łączę serdeczne pozdrowienia

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA
b. Kierowniczka Bibl. Polskiej w Londynie (1942–1973)

Fontenay 23.01.1993

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł pana Zbigniewa P. Zagórskiego zamieszczony w styczniowo-lutowym numerze *Kultury* „Skutki dezinformacji naukowej”. Zgadzam się z tezą autora o przepaści pomiędzy stanem badań nauk przyrodniczych, a świadomością elit umysłowych nauk humanistycznych. Podzielam także zaniepokojenie autora jakże powszechnym w Polsce kultem niekompetencji. Niektóre z opinii pana Zagórskiego wymagają jednak polemiki.

1. Czytając omawiany artykuł można odnieść wrażenie, że w polemice na temat elektrowni w Żarnowcu (czy nawet na temat szeroko pojętego wyboru nuklearnego w energetyce) dyskutujący podzielili się na profesjonalistów-zwolenników kontynuacji budowy z jednej strony, a z drugiej strony niedokształconych, nieodpowiedzialnych (bo narażających społeczeństwo na półmiliardową stratę) dziennikarzy, być może nawet dywersantów! Ci ostatni są zresztą wspierani przez rozhisteryzowanych zielonych z organizacji zbliżonych do *Greenpeace*. Obraz ten niezbyt odpowiada prawdzie. Spór o Żarnowiec podzielił prasę na dwa obozy (linia podziału przebiegała praktycznie niezależnie od sympatii politycznych), zresztą także wśród polityków nie brakowało zwolenników atomowej elektrowni jak i jej przeciwników pośród fizyków, chemików czy biologów. Jeżeli w tej kampanii prasowej do kogoś można mieć pretensje, to właśnie do zwolenników „nuklearnej opcji”, którzy nie potrafili (lub nie chcieli) w sposób uczciwy przedstawić zagrożeń związanych z budową Żarnowca, ani rzeczywistego bilansu ekonomicznego ani nawet przyznać się do niedoskonałości naszej wiedzy na dyskutowany temat. Argumenty typu, że przeciwnikami Żarnowca są stomatolodzy czy znieśławianie dziennikarzy (zarzucanie im złej woli, działania na szkodę społeczną czy insynuowanie, że praca ich oparta jest na plagiacie!) nie zastępują rzeczowej dyskusji na jakikolwiek temat i w dodatku nie najlepiej świadczą o kulturze dyskutującego.

2. Warto zastanowić się także nad społeczną rolą ekspertów. Temat wyjątkowo w Polsce aktualny (i chyba zasługujący na odrębny artykuł w *Kulturze*) ze względu na zalew Europy środkowej przez zachodnioeuro-

pejskie i amerykańskie „pseudekspertyzy”. Nie można zapominać, iż dla każdego dowolnego problemu można znaleźć utytułowanych ekspertów proponujących skrajnie odmienne rozwiązania. Jako ciekawostkę można dorzucić, że nawet dziura ozonowa i efekt szklarniowy atmosfery podzieliły środowisko nauki. Wybitny francuski wulkanolog, klimatolog i ekolog Haroun Tarzieff uważa wymienione problemy za nieistniejące, a mediatyczno-naukowe zainteresowanie nimi za rezultat manipulacji i nieuczciwości profesjonalnej. Jeśli chodzi o grupę „ekspertów nukleoników”, to trudno się dziwić iż nie cieszy się ona społecznym zaufaniem w żadnym z wysoko rozwiniętych krajów. Jest to przecież rezultatem nie jakiegoś dziennikarsko-ekologicznego spisku, a zwykłej konfrontacji prognoz stawianych przez nukleoników i rzeczywistości. Ceną tej konfrontacji jest zdrowie i życie dziesiątków tysięcy ludzi na całym świecie. Dotychczas żadnego z ekspertów nigdzie nie pociągnięto do odpowiedzialności za spowodowane szkody.

3. Rezerwat nietoperzy w Międzyrzeczu (istniejący już wiele lat) ze względu na swoje walory przyrodnicze jest miejscem unikalnym w skali światowej. Miejsce zimowania i odpoczynku w trakcie migracji kilkunastu tysięcy nietoperzy (wszystkich europejskich gatunków) od lat przyciąga przyrodników z całego niemal świata. Rezultaty badań prowadzonych przez polskich biologów pod kierunkiem śp. profesora Wacława Skuratowicza, a zwłaszcza przez pana dr. Z. Urbańczyka, nad tą ciekawą, mało poznaną i jakże istotną dla człowieka grupą zwierząt były publikowane w najbardziej renomowanych czasopismach przyrodniczych. Przedstawianie Międzyrzecza jako „nikomu niepotrzebnych bunkrów” jest znakomitym przykładem stosowania dezinformacji naukowej. Dezinformacja ta miała na celu zamianę rezerwatu przyrody w radioaktywny śmietnik. Tylko dzięki mobilizacji opinii społecznej (polskiej i międzynarodowej) nie doszło do realizacji tej kolejnej atomowej inwestycji. Należy podkreślić, iż opinia publiczna została zaalarmowana dzięki solidarnej akcji nie jakichś „niedouczonek dziennikarzy”, ale pracowników PAN i wyższych uczelni, często wybitnych przyrodników. Czy naprawdę ambicją części polskich elit nuklearnych jest ściągnięcie naszego kraju do poziomu trzecioświatowych afrykańskich (choć i kraje Czarnego Łądu coraz częściej odmawiają tego typu transakcji) importerów radioaktywnych śmieci?

Łączę wyrazy szacunku

Piotr DASZKIEWICZ

Monachium, 18.12.1992

Szanowny Panie Redaktorze,

W Pańskim znanym i cenionym czasopiśmie numer 10/541 1992 r. ukazał się artykuł p. B. Osadczyka „Ukraińskie dekompozycje”, w którym m.in. powiedziano: „Ofensywę na wielką skalę podjęło z emigracji — głównie z Niemiec, Belgii, Anglii i Holandii — kierownictwo OUN

(Radykalnego, banderowskiego autoramentu). Jego duchowym zapleczem jest monarchijski Wolny Uniwersytet Ukraiński, z którego usunięto demokratów”.

Stwierdzamy stanowczo, że p. dr Osadcuk mówi nieprawdę, przez co tworzy fałszywy i nieprawdziwy obraz również swojej *Alma mater*.

Jednocześnie informujemy, że Wolny Ukraiński Uniwersytet stoi na stanowisku pluralizmu zarówno politycznego jak i religijnego. Oznacza to, że wśród pracowników naukowych i administracyjnych naszego uniwersytetu są ludzie różnych wyznań religijnych jak i poglądów politycznych, co nie może i nie ma wpływu na działalność WUU.

Również nieprawdą jest stwierdzenie p. dr Osadcuka, że z Wolnego Ukraińskiego Uniwersytetu „usunięto demokratów”. Podkreślamy z całą stanowczością, że takie „usunięcia” nie miały miejsca.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Prof. Dr Petro GOY, rektor

Rzym, 30 stycznia 1993

Szanowny Panie Redaktorze

W jednej z rozmów zamieszczonych w prasie krajowej poruszając sprawę niewykorzystania przez polskie władze państwowe wybitnych specjalistów na emigracji słusznie Pan zauważył: „Przecież ci ludzie nie dążą do zajmowania stanowisk”. O co więc chodzi? W korzystaniu z rad tych osób przeszkadza — Pana zdaniem — „bardzo niechętny do nich stosunek elit politycznych w Polsce”. Sprezyżowałbym to nieco inaczej: nie tyle niechętny, ile pełen zarozumiałości, arogancji, pewności siebie, a więc tym samym nie widzący takiej potrzeby. Świadczy o tym m.in. los projektu powołania analogicznego, jak w Czecho-Słowacji, zespołu doradców emigracyjnych, jaki złożyłem 30 stycznia ub. roku Sekretarzowi Stanu w Kancelarii Prezydenta RP, prof. Januszowi Ziółkowskiemu. Uczyniłem to po uprzedniej (w marcu 1991 r.) rozmowie w Belwederze z prezydentem Lechem Wałęsą (świadkiem tej rozmowy był ówczesny jego sekretarz polityczny, Arkadiusz Rybicki). Wałęsa odniósł się przychylnie do tej inicjatywy i prosił o opracowanie stosownego projektu. Wśród osób, które mogłyby wejść w skład takiego zespołu, wymieniłem m.in. A. Ciechanowieckiego w Londynie, B. Wierzbiańskiego w Nowym Jorku, prof. J. Wojciechowskiego w Ottawie, prof. Zubrzyckiego w Australii, Stanisława A. Morawskiego w Rzymie. Autorytet, kompetencje i wpływ *in loco* tych i innych jeszcze osób mogłyby z wielkim pożytkiem być wykorzystane na rzecz polskich interesów politycznych, gospodarczych i kulturalnych, w sposób zaprogramowany w skali krótko- i długofalowej. Minister Skubiszewski, który okazał zainteresowanie dla tej inicjatywy, zalecając mi przekazanie projektu prof. Ziółkowskiemu (tego rodzaju zespół musiałby ze zrozumiałych względów być akredytowany przy Głowie Państwa), określił natomiast jako czystą „dekorację” alternatywny pomysł, wychodzący z kręgu doradców prezydenta, powołanie rady złożonej z osobistości cudzoziemskich (widziano w

niej wówczas m.in. panią Thatcher i Giscarda d'Estaing). Jest oczywiście jasne, że tego typu „rada” nie miałaby w praktyce żadnego znaczenia. Projekt mój, przesłany *via* MSZ, ugrzązł bez odpowiedzi w teczkę prof. Ziółkowskiego względnie jego współpracowników. Wniosek? Wszelkie sugestie czy propozycje, które mogą polepszyć *image* dzisiejszej Polski za granicą, oddać jej bezinteresowne usługi i służyć w rozwiązywaniu konkretnych kwestii, rozbijają się niestety o mur niekompetencji, oportunistów i egocentrycznej głuchoty.

Dominik MORAWSKI

Edmonton, dn. 9.1.1993 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W dwunastym numerze *Kultury* z ubiegłego roku ukazał się ciekawy skądinąd artykuł p. Roberta Kaczmarka „Mała Youko i groźny celnik”. Pisząc o Japonii, autor poświęca część artykułu jej historii; wspomina przy tym o buddyzmie, natomiast całkowicie pomija milczeniem znaczenie, jakie odgrywa w życiu Japończyków sintoizm, zakorzeniony tam od zarania istnienia Japonii i stanowiący jej narodową religię. Jej istota zasadza się na kulcie natury, historii narodowej (głównie bohaterów narodowych) oraz przodków. Pominąć jej znaczenie to tak jakby pisać o Polsce nie wspomnieć o roli Kościoła katolickiego. Przekonałem się o tym podczas rocznego pobytu w Japonii. Jak tłumaczył mi pewien znajomy kolega — Japończyk: kiedy Japończyk przychodzi na świat, przyjmuje go i wdraża w codzienne życie narodowe sintoizm; kiedy umiera — odprowadza go w zaświaty buddyzm.

Także wzmianka o kradzieży jaka spotkała p. Kaczmarka w Japonii może wywołać fałszywe wrażenie, że trzeba tam wystrzegać się przede wszystkim złodziei i być na baczności. Oczywiście ostrożność nigdy nie zawadzi, ale życzyłbym, aby każdy czuł się równie bezpiecznie w wielkich metropoliach Zachodu (szczególnie oczywiście Stanów Zjednoczonych) jak się czuje bezpiecznie na ulicach miast japońskich.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i pozdrowienia!

Edward MOŻEJKO

Edmonton, dn. 9.1.1993 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Byłbym Panu bardzo zobowiązany za umieszczenie w *Kulturze* mojego listu-odpowiedzi Panu Adamowi Czerniawskiemu (zob. *Kultura* nr 12/1992 r., s. 140-141), który zechciał łaskawie skreślić kilka polemicznych uwag w związku z moim artykułem „O literaturze emigracyjnej i nadmiarze krytyki” (*Kultura*, nr 10/1992, s. 126-128).

Jestem bardzo wdzięczny Panu A. Czerniawskiemu zarówno za jego uwagi krytyczne jak i sposób polemiki. Najchętniej oczywiście porozmawiałbym z nim na te tematy przy kawie, ale ponieważ mieszkamy na bardzo odległych od siebie krańcach świata, muszę uciec się do pośrednictwa Redakcji *Kultury*.

Pan Czerniawski pisze o szkodliwości polityki wieloetnicznej dla zachowania odrębności narodowej i kulturalnej tych, którzy niefortunnie przyłapani zostali w różnych koniecznościach historycznych. Powołuje się on na przykład Anglii, gdzie odrębność etniczna nie była rzekomo tolerowana (przynajmniej nie bezpośrednio po wojnie) i to zmuszało Polaków do skuteczniejszej obrony i zachowania swej odrębności w znacznie wyższym stopniu niż to miało miejsce w tolerancyjnych czy „liberalnych” Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Nie wiem, nie badałem tej sprawy i trudno mi coś na ten temat powiedzieć. Swoje własne i jakże bolesne doświadczenie opisałem w *Zeszytach Historycznych* nr 100/1992 i to, co tam powiedziałem, przemawiałoby za tym, co pisze p. Czerniawski. Istotnie: opresja i prześladowania przyczyniały się nie tylko do wzmożonej odporności narodowościowej, ale i do nieustraszonej walki o polskość. Oczywiście są różne stopnie nietolerancji. Terror na Wschodzie doprowadził tam do wytepienia mniejszości polskiej. Dziś jednak żyjemy w innych czasach i zastanawiam się, czy na przykład większe zrozumienie odrębności etnicznych w Jugosławii nie przyczyniłoby się do złagodzenia konfliktów. Ale tu wkraczamy już poza interesującą nas temat. Chciałem jeszcze przy tej okazji zwrócić uwagę na pewną nieścisłość, jaka wkrađa się do uwag p. Czerniawskiego, kiedy wrzuca on do jednego worka Stany Zjednoczone i Kanadę i określa je jako „niespójne konglomeraty ludzkie, których nic nie łączy poza Disneylandem i pogonią za mirażem dobrobytu”. Jest w tym wiele racji: zgoda na Disneyland, zgoda na „pogoń za mirażem dobrobytu” — to są cechy tzw. kultury północnoamerykańskiej, które mnie również nie zachwycają, ale przecież nie można przeoczyć faktu, że oba wspomniane kraje prowadzą bardzo odrębną politykę kulturalną. Kanada nigdy nie była spójnym konglomeratem, bo u podstaw jej państwowości legły dwie bardzo odrębne i nieprzyjazne wobec siebie grupy narodowościowe — francuska i angielska, które nawarstwiały się na tubylczą ludność indiańską. To przyczyniło się do ukształtowania pewnej tradycji. Stany Zjednoczone od początku swego istnienia przyjęły zasadę integracji, tak zwanego *melting pot*, mającej doprowadzić do zespolenia wszystkich grup w jeden homogeniczny organizm narodowy. Drugą zasadą kształtującą tradycję kulturalną Stanów Zjednoczonych było to, co kanadyjski filozof Charles Taylor nazwał „proceduralnym liberalizmem”. Polega on na tym, że państwo zobowiązuje się przestrzegać w sposób bezwzględnie bezstronny wyłącznie praw indywidualnych obywateli, ale staje się niesprawiedliwe z chwilą, kiedy zaczyna popierać czy wyróżniać jakąś jedną grupę w propagowaniu jej ideałów ponad ideały innych grup. Liberalizm proceduralny domaga się równorzędności także i w tym zakresie. W ten sposób, na przykład, kultura czy sztuka nie zasługują na większe poparcie finansowe niż zapasy w błocie (tzw. *mud wrestling*). Nie trzeba tłumaczyć, że tego rodzaju zasady nie sprzyjają popieraniu aspiracji kulturalnych mniejszości etnicznych. Inaczej ukształtowały się te sprawy w Kanadzie, co znalazło potwierdzenie i usankcjonowanie w

oficjalnej polityce tzw. wielokulturowości, polegającej na poszanowaniu specyfiki różnych mniejszości narodowych i popieraniu ich aspiracji kulturalnych. Dotychczas nie mieliśmy w Kanadzie tak ostrych i tragicznych w skutki konfliktów rasowych czy narodowościowych, jakie obserwowaliśmy w USA czy nawet w Anglii. W porównaniu z innymi krajami, Kanada pozostaje wciąż oazą spokoju mimo, że posiada chyba największą na świecie mieszaninę różnych grup etnicznych.

„Kto jak kto — ciągnie dalej p. Czerniawski — ale Polacy powinni wiedzieć co to znaczy, kiedy ktoś narzuca politykę kulturalną”. Otóż nikt nikomu w Kanadzie polityki kulturalnej nie narzuca. Istnieje raczej prawo wyboru: jeśli komuś odpowiada „rozpłynąć się” w morzu anglosaskim czy zidentyfikować się z grupą francuską może to bez przeszkód uczynić, ten zaś kto pragnie kontynuować swoje własne tradycje kulturalne może liczyć na oficjalne (często finansowe) poparcie rządu federalnego czy też rządów prowincjonalnych bez obawy, że poddany zostanie ostracyzmowi. Otóż wydając kilka lat temu tomik pt. *Siedmiu polsko-kanadyjskich poetów*, autorzy skorzystali po prostu z tego prawa wyboru. Co zaś do kwestii, czy pisarz polski może być uznany za pisarza innego kraju, to jest to oczywiście możliwość dosyć osobliwa, jak dotychczas niespotykana i dlatego dziwna. Pragnę jednak dodać, że w myśl kanadyjskiej polityki wielokulturowości pisarz piszący po polsku może być uznany za pisarza kanadyjskiego nie tylko dlatego, że porusza w swej twórczości problematykę kanadyjską, ale po prostu dlatego, że mieszka i tworzy w Kanadzie. Dlaczego jednak nie możemy uznać A. Mickiewicza za pisarza rosyjskiego z powodu jego *Sonetów krymskich* czy Słowackiego za pisarza szwajcarskiego, a Herlinga-Grudzińskiego za włoskiego itd., jak słusznie sugeruje p. Czerniawski? Otóż „cały w tym ambaras, aby dwoje chciało naraz”. Ani Rosjanie, ani Szwajcarzy, ani Włosi nie zgodzą się na tak dalece posuniętą „otwartość”, tolerancję czy rewizję swoich tradycji kulturalnych. Kanada jest po prostu krajem młodym, próbującym kształtować zupełnie inną wizję ludzkiego współżycia. Czy to się uda — pokaże przyszłość. I na zakończenie jeszcze jedno wyjaśnienie: w swoim artykule nie występowałem ani jako obrońca wielokulturowości, ani jako zwolennik traktowania pisarzy polskich żyjących w Kanadzie jako pisarzy kanadyjskich, tym bardziej nie występowałem jako rzecznik liberalizmu. Po prostu stwierdzałem pewne fakty. Skreśliłem jednak dodatkowo powyższe uwagi w nadziei, że pozwolą one lepiej zrozumieć istotę kanadyjskiej specyfiki kulturalnej. Ileż to razy w życiu słyszeliśmy, czytaliśmy o rzeczach dziwnych, a jednak z biegiem czasu przyzwyczajaliśmy się je przyjmować jako dosyć normalne, nawet oczywiste.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i przesyłam moc jak najserdeczniejszych pozdrowień!

Edward MOŻEJKO

Antony, 5 lutego 1993 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Adama Podgóreckiego (*Kultura* 12/1992), mam następujące trzy uwagi:

1. Przedstawianie Bronisława Baczki w roku 1992 jako „zawziętego i bezwzględniego marksisty” świadczy o tym, że nie czytało się żadnej książki tego autora wydanej w ciągu ostatnich czterdziestu lat. A było ich co najmniej osiem. Zaś sugerowanie, jakoby robił on sobie reklamę na łamach *Kultury* czy innych, musi jawić się każdemu kto zna Bronisława Baczkę jako niezamierzony dowcip.

2. Prawdą jest, że w 1952 r. Baczko ogłosił artykuł „O poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Tadeusza Kotarbińskiego”. Nie sposób analizować tu tego epizodu. Zrobiłem to gdzie indziej (por. „Baczko: lumières et révolution”, *Revue européenne des sciences sociales*, XXVII, 1989, No 85, ss. 13-25, zwł. 15-16). Zauważę tylko, że prof. Kotarbiński mógł odpowiedzieć swemu krytykowi — jak zresztą prof. Ajdukiewicz swemu — na łamach opanowanej przez marksistów *Myśli Filozoficznej*, co było, jak na owe czasy, czymś najzupełniej niezwykłym.

3. Wbrew, temu co insynuuje p. Podgórecki, nie pociągnęło to za sobą żadnych skutków dla prof. Kotarbińskiego. Miałem zaszczyt słuchać Jego wykładów i zdawać u Niego egzaminy w roku akad. 1952/53 i w roku akad. 1955/56. Przez wszystkie te lata kierował On Katedrą Logiki Wydziału Filozofii UW, gdzie Jego asystentami byli m.in. Marian Przełęcki i Klemens Szaniawski. W latach 1957-62 był on prezesem Polskiej Akademii Nauk.

Pozbawieni prawa nauczania w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych byli natomiast z profesorów Wydziału Filozofii UW Maria i Stanisław Ossowsky oraz Władysław Tatariewicz.

Przywracania prawdy o przeszłości nie należy zaczynać od nowych fałszerstw.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku

Krzysztof POMIAN

Poznań, 15.1.1993 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

Po ogłoszeniu na łamach Pana — od dziesiątków lat cieszącego się niesłabnącym autorytetem i znaczeniem — miesięcznika (*Kultura* nr 6, 1992) mojego listu mówiącego o losach poznańskiej synagogi — od 1942 r. do chwili obecnej bez żadnej przerwy wykorzystywanej jako pływalnia — zapadło intrygujące milczenie, od czasu do czasu jedynie przerywane tyle ogólnikowymi co bezzasadnymi deklaracjami o ponoc powszechnej, nie tylko wyznaniowej zresztą, tolerancji współczesnych Polaków, w co uwierzyć ewentualnie może tylko ten, kto nigdy w co-

dziennym życiu naszego kraju nie uczestniczył i osobiście nie zetknął się z panującymi tu obsesjami i fobiami oraz rządzącymi obyczajami — na przestrzeni kilku ostatnich lat liczba Polaków przekonanych o nadmiernej roli i za dużym znaczeniu Żydów w naszym życiu wyraźnie rosła i sięga już prawie 50% zapytywanych, a obiekty żydowskiej religii i kultury nadal pełnią uwłaczające im role.

W związku z tym nasuwa się zasadnicze pytanie, na które odpowiedź może mieć decydujące znaczenie dla moralnej oceny zachowań ludzkich w ogóle — do jakich granic szlachetny nawet motyw najgłębszego choćby patriotyzmu usprawiedliwiać może opinie i sądy kłamliwe o niesympatycznym smaku nacjonalizmu nie tylko kulturowego?

A poza wszystkim — ciekawe jak długo jeszcze w Poznaniu będziemy musieli podziwiać ten pomnik szowinistycznej buty i arogancji pogardy dla podstawowych wartości ludzkich.

Z wyrazami najgłębszego szacunku i poważania

Jan A. TOMASZKIEWICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

K.F., Polska, M.W. Francja, S.D., Polska, K.B.-Ś., Polska; R.S., Szwecja — Z wierszy nie skorzystamy.

K.J., Francja — Wybraliśmy do druku wiersz *Oda do kota*.

J.S., Australia — Niestety, Pana próbki krótkich opowiadań są słabe. Szczególnie *Pomrózek*, który zupełnie nie trafia w ton i atmosferę *Monizy Clavier*.

J.B., Francja — Notę o Nowej Fali wydrukujemy.

P.S., Polska — Ma Pan słabość do powtarzania zjawisk już opisanych i dyskutowanych. Dotyczy to także artykułu *Polityczna poprawność w akcji*.

S.O., USA — Główne zdanie Pana surowej reprimendy pod adresem redaktora *Kultury* brzmi tak: „Jako emigracja musimy akceptować Polskę taką jaka jest, i rządy z prezydentem takim, jakiego większość sobie wybrała”. Takie „demokratyczne” pouczenie dla „krytykantów” mógłby Pan z równym powodzeniem skierować do wielu pism w Polsce, a nie tylko do *Kultury*.

H.V., Polska — Pana wspomnienie o Kisielu, zważywszy że napisał je przyjaciel zmarłego, jest zaskakująco banalne. Czytało się to już wielokrotnie w dziesiątkach artykułów pośmiertnych.

Z.J.P., Austria — Nie trafiły nam do przekonania ani recenzja z tomu Lizakowskiego, ani *Kartka z Austrii*.

I. Cz., Kanada — Fryderyk Hayek zasługuje niewątpliwie na obszerną monografię. Zasługuje też na popularną broszurę, jaką Pan o nim (na 40 stronicach) napisał. Ale trudno nam tak ogromny tekst umieścić w *Kulturze*.

A. S., Polska — Dziękujemy za odbitkę z *Przeglądu Polonijnego*. Pani szkic o Mieroszewskim wydaje nam się bardzo dobry, świadczy o doskonałej znajomości jego publicystyki. Chcemy tylko sprostować kilka nieścisłości. Mieroszewski nigdy nie był *attaché* prasowym ambasady RP w Rumunii, nie organizował przerzutów internowanych wojskowych z Rumunii do Francji i na Bliski Wschód, wygłaszał tylko odczyty w obozach dla internowanych z ramienia ambasady. Na Środkowym Wschodzie był współredaktorem tygodnika *Parada*, który ukazywał się w Kairze i nie był pismem frontowym. Może byłoby warto, by Pani wymieniła tytuły powieści sensacyjnych, które publikował w *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym*.

SPROSTOWANIE

Adam Wójcicki z Instytutu Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego cytuje artykuł Dominika Morawskiego „Sacrum i profanum” (*Kultura* nr 12/543 z 1992 r.), w którym Morawski, omawiając m.in. artykuł Sławomira Mazurka z *Gazety Wyborczej*, przypuszcza, że Sławomir Mazurek to kryptonim, a nie prawdziwe nazwisko. Adam Wójcicki oświadcza, że Sławomir Mazurek jest prawdziwym imieniem i nazwiskiem, pod którym autor ukończył studia i obecnie przygotowuje pracę doktorską w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, jak również ogłasza prace literackie.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzić najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Edward L. Salamoński, Saint Petersburg, FL (USA) — po raz 30-ty — dol. 20,00	F. 110,00
Prof. Ihor Sevcenko, Cambridge, MA (USA) — dol. 100,00	F. 550,00
11 lutego br. zmarł w Kolonii nasz najlepszy przyjaciel prof. dr Jan Halpern. Myśli i wyrazy najgłębszego współczucia śle naszej Kochanej Kamili — rodzina Strelcyńów	F. 300,00
Julitta Szylar, New York, NY — zamiast kwiatów na grób śp. Józefa Czapskiego — dol. 100,00	F. 550,00
Jan Świtalski, Barrington, RI (USA) — pamięci Jerzego Lerskiego — dol. 50,00	F. 275,00
Konrad Tatarowski, Niemcy	F. 600,00
W ósmą rocznicę śmierci mego nieodżałowanego Męża i Przyjaciela, śp. Edwarda Puacza, założyciela księgarni „Polonia” w Chicago, Mira Puacz — dol. 500,00	F. 2.750,00
Zamiast kwiatów na grób Józefa Czapskiego — Leda	F. 400,00
Tadeusz Żaba, Ennetbaden (Szwajcaria) — po raz 2-gi	F. 400,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — zamiast kwiatów na grób najlepszego Przyjaciela, Józefa Czapskiego	F. 300,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria) — po raz 17-ty	F. 516,04
•	
A.H. Cassel-Kokczyński, Londyn — dla uczczenia pamięci Józefa Czapskiego na pomoc dla Polaków w Rosji £ 100,00	F. 790,00

DZIĘKUJEMY

DRUKARNIA POLSKA Breitensteinstrasse 33 • D-W 8209 Schlossberg-Rosenheim
Telefon 08031 / 7777 • Telefax 49 8031 73113
KONTRAST wykonuje: Skład elektroniczny we wszystkich
książki, broszury, katalogi, prospekty, językach europejskich,
ulotki, blankiety, karty świąteczne oraz głównie w polskim i rosyjskim.
wszelkie inne prywatne i komercyjne druki. Solidne wykonanie — ceny umiarkowane.

KSIĄŻKI		
G.H.-G.:	<i>Pół wieku pisarstwa (1942-1992)</i>	143
Leszek Szaruga:	<i>Papierowa rewolucja</i>	144
Leszek Szaruga:	<i>Bez wiosł i steru</i>	146
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	149
WOLNA TRYBUNA		
Kazimierz Orłoś:	<i>Co nas dzieli?</i>	152
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca i Kronika norweska</i>	158
•		
Z. Bobowicz, L. Ciołkoszowa, M. Danilewicz Zielińska, P. Daszkiewicz, P. Goy, S. Magala, D. Morawski, E. Możejko, K. Pomian, J.A. Tomaszkiwicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	163
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	173
—	<i>Sprostowanie</i>	174

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 1248-1993

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1993			
FRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. N w Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zh. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 60,00	K.S. 330,00	K.S. 650,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95

TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy: O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120

TOM 479 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZECI

zawiera opracowania: Mirosław Czech: *Kwestia ukraińska w III Rzeczypospolitej*; Andrzej Friszke: *Memoriał polityczny Adama Bienia (kwiecień 1944)*; Z.S. Siemaszko: *Ujawnione dokumenty katyńskie*; Jerzy Timoszewicz: *Z dziejów Teatru Wileńskiego. Parę uwag o latach 1832-1864*; Maria Turlejska: *Uwagi o tzw. „Wspomnieniach W. Gomułki”*; Krzysztof Tarka: *Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego — Krajowcy wileńscy 1937-1939*; *Dezercje Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie*; Dora Kacnelson: *Kustosz Władysław Abramowicz*; Nika Kłosowska: *Fragmenty wspomnień*; Walentyna Najdus-Smolarkowa: *Lwów obecnie*; Bogusław Bakula: *W oczach historyków*; Piotr Wandycz: *O dyplomacji II Rzeczypospolitej*; Wojciech Krzyżanowski: *Źródłowa praca o żołnierzach polskich w Rumunii*; Adam W. Kulik: *„Obrządek słowiański w dawnej Polsce” czyli krzyżowanie historii*; Andrzej Suchcitz: *W cieniu Kapitolu*; Tadeusz Wyrwa: *Słownik biograficzny kobiet poległych w walce w okresie okupacji niemieckiej*; Andrzej Chwalba: *Wykłady historyczne Józefa Piłsudskiego*; Hanna Świdorska: *Przyczynki do „rozhachunków z sanacją”*; Andrzej Friszke: *Listy Macieja Rataja do A. i S. Urbanowiczów*; Józef Dużyk: *Historycy; Polskie służby specjalne a organizacje emigracyjne na Zachodzie oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.